

VIVAT AKADEMIA

Periodyk Akademii Górniczo-Hutniczej dla Absolwentów AGH



**Władze AGH na kadencję 2012–2016
zostały wybrane – patrz s. 2 i 3**

Władze AGH na kadencję 2012–2016



Od lewej stoją: prof. T. Szmuc, prof. A. Tytko, prof. T. Słomka, prof. Z. Kąkol, prof. A. Siwik, prof. M. Karbowniczek
– fot. Z. Sulima 16 kwietnia 2012 rok

Z wydarzeń ostatnich tygodni...

Wydarzeniem ostatnich tygodni w AGH, przed zamknięciem 8 numeru VA, był wybór Władz Rektorskich Uczelni na czteroletnią kadencję 2012–2016 rozpoczynającą się 1 września 2012 roku.

Serdecznie gratulujemy wyborcu, być może na niełatwy czas, życzymy widocznych i odczuwalnych sukcesów z poczuciem sensu wykonywanej pracy.

Na stanowisko Rektora AGH Uczelniane Kolegium Elektorów wybrało:

prof. dr. hab. inż. Tadeusza Słomkę

Prorektorami w kadencji 2012–2016 zostali:

dr hab. inż. Mirosław Karbowniczek, prof. nadzw.
Prorektor ds. Ogólnych

prof. dr hab. inż. Zbigniew Kąkol
Prorektor ds. Nauki

dr hab. Anna Siwik, prof. nadzw.
Prorektor ds. Studenckich

prof. dr hab. inż. Tomasz Szmuc
Prorektor ds. Współpracy

dr hab. inż. Andrzej Tytko, prof. nadzw.
Prorektor ds. Kształcenia

Na kanwie wyboru nowych władz uczelni można przytoczyć słowa Antoniego Kępińskiego twórcy teorii metabolizmu informacyjnego, który swoje przemyślenia o pracy tak zapisał: „Praca, której sensu się nie rozumie lub której bezsens się widzi (wielogodzinne posiedzenia, bezużyteczne narady i sprawozdania), znacznie szybciej wywołuje znużenie, niż praca celowa”.

Ktoś kiedyś zanotował, że grupy pracownicze w naszym kraju, pozostawione same sobie mają tendencję do stałego wzrostu osobowego i mnożenia ponad miarę stanowisk kierowniczych wraz z przynależnym personelem, czyli że czynnik osobisty dominuje ponad interesem przedsiębiorstwa. Obserwuje się obecnie na co dzień rozkwit systemów planowania, nadzoru, sprawozdawczości i kontroli, które potęgują rozrost i tak już wymownej biurokracji. Do wspomnianych na wstępie życzeń nowo wybranej władzy rektorskiej dodajemy życzenie mądrej polityki kadrowej i płacowej.

Szanowni Absolwenci

Bardzo serdecznie dziękujemy za Wasze nadsyłane do redakcji VA wspomnienia z lat studiów, strofy poezji, wspomnienia podróżnicze i różnego rodzaju relacje z osiągnięć w pracy zawodowej. Nasz periodyk VA ujawnia talenty poza zawodowe naszych absolwentów, a więc nie jesteśmy „takie sobie wykształciuchy” jak to kiedyś mawiano o absolwentach szkół technicznych. Trudności wydawnicze sprawia nam Wasza korespondencja odręcznie pisana i obszerna kilkudziesięciostrońnicowa. Prosimy o skrócenie swoich wypowiedzi maksymalnie do 8 stron maszynopisu z fotosami włącznie lub przesłanie jej drogą elektroniczną.

Zachęcając Was do dalszej współpracy „dziękujemy za już i prosimy o jeszcze”.

Artur Bęben
Redaktor Naczelny



foto: P. Stachnik

Spis treści

Z wydarzeń ostatnich tygodni...	3
Uroczysty przemarsz ulicami miasta i msza św. w Kolegiacie św. Anny – fotografie	4
Uroczyste posiedzenie Senatu AGH 2011 z okazji Barbórki 2011 – fotografie	4
Skok przez skórę – fotografie	5
Tradycyjne spotkanie Gwarków – fotografie	5
Profesor Kazimierz Sztaba Profesorem Honorowym AGH	6
Centrum Informatyki AGH otwarte	7
Wydarzenia w AGH	9
AGH Uniwersytet dla Aktywnych	15
Z cyklu sylwetki absolwentów AGH	
Andrzej Ptak	16
Piotr Chmieliński	17
Józef Górny	19
Józef Hojda	21
Andrzej Laszczyk	23
Już nie tam, a jeszcze nie tutaj...	24
Cudowne lata z „Krakusem”	29
Honorowy Członek SW AGH J. Strzempiek ukończył 80 lat	33
Pierwsza górnicza	35
Zdzisława Barglika wierszo-pisanie	36
Andrzej Kapłanek	39
Z kopalnianych podziemi do tropikalnych lasów i na andyjskie płaskowyże	40
Stefana Bajera wspomnienia czasu studiów...	43
Pożegnanie z Azją	49
Wspomnienie z praktyki studenckiej w Czechosłowacji	53
Krakowskie echa cieszyńskiego Pomnika Legionów	55
Terenowe Koło Grodzkie SW AGH „Czeczott” w Tychach – coraz liczniejsze	57
Stanisław Dyguda – wspomnienie	58
Ignacy Łukasiewicz w polskiej dokumentacji filatelistycznej	60

Periodyk dla Absolwentów Akademii Górniczo-Hutniczej Vivat Akademia, nr 8 maj 2012 r.

Redaguje zespół:

Artur Bęben (redaktor naczelny),
Zbigniew Sulima (redaktor prowadzący),
Wacław Muzykiewicz, Piotr Ubowski, Małgorzata Krokoszyńska,
Teresa Nosal, współpraca Zespół ds. Informacji i Promocji

Adres redakcji:

AGH, paw. A-0, pok. 16
al. Mickiewicza 30, 30-059 Kraków,
tel. (12) 617-34-49,
swagh@agh.edu.pl

Opracowanie graficzne, skład:

Scriptorium „TEXTURA”
tel. 604 270 770, e-mail: textura@textura.pl

Druk:

Drukarnia „Kolor Art” s.c.
ul. Kotlarska 34, 31-539 Kraków,
tel. (12) 421-09-86

Kolportaż:

SW AGH, Sekretariat Główny AGH i redakcja

Nakład:

4500 egz. darmowych wydanych w całości nakładem Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie

Na okładce:

Insygnia władzy Rektora AGH – fot. Marek Gardulski

Uroczysty przemarsz ulicami miasta i msza św. w Kolegiacie św. Anny – 4 grudnia 2011

fotografie: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=241



fot. Z. Sulima



Uroczyste posiedzenie Senatu AGH z okazji Barbórki 2011 – 9 grudnia 2011

fotografie: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=246



fot. Z. Sulima



Skok przez skórę – 9 grudnia 2011

fotografie: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=247



fot. Z. Sulima



Tradycyjne spotkanie Gwarków – 9 grudnia 2011

fotografie: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=248



fot. Z. Sulima



Profesor Kazimierz Sztaba Profesorem Honorowym AGH – 21 marca 2012

fotografie: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=257



Na wniosek Wydziału Górnictwa i Geoinżynierii, Senat AGH uchwałą nr 188/2011, podjętą w dniu 14 grudnia 2011, nadał tytuł Profesora Honorowego Akademii Górniczo-Hutniczej profesorowi Kazimierzowi Sztabie – za całokształt działań na rzecz przekształcenia klasycznej przeróbki kopalin w nową dyscyplinę naukową i techniczną zwaną „Inżynierią mineralną”, jej implementację w profil działalności naukowo-badawczej i edukacyjnej Wydziału GiG AGH, a także jej dynamiczny rozwój w kraju i na świecie.

Podczas uroczystego posiedzenia Senatu AGH w dniu 21 marca 2012 Rektor AGH prof. Antoni Tajduś wręczył insygnia godności Profesora Honorowego AGH prof. Kazimierzowi Sztabie.

Promotorem nadania godności profesora honorowego AGH była prof. Stanisława Sanak-Rydlowska, Wydział Górnictwa i Geoinżynierii.

Recenzentami byli: prof. Tadeusz Ratajczak, Katedra Mineralogii, Petrografii i Geochemii, Wydział GGIOŚ oraz dr hab. inż. Piotr Wyszomirski prof. nadzw. AGH, Katedra Technologii Ceramiki i Materiałów Ogniotrwałych, Wydział IMiC.



Centrum Informatyki AGH otwarte

Katedra Informatyki AGH ma jeden z najnowocześniejszych budynków w Europie

28 marca 2012 roku odbyło się uroczyste otwarcie Centrum Informatyki Akademii Górniczo-Hutniczej. Jego budowa trwała dwa lata, kosztowała niemal 65 mln zł i w 85 procentach została sfinansowana ze środków unijnych, pozostała część to wkład własny uczelni. Na powierzchni ponad 7 tys. metrów kwadratowych znajduje się 15 specjalistycznych laboratoriów dydaktycznych, multimedialne sale wykładowe, seminaryjne i wykładowo-konferencyjne. Doskonalej jakości sprzęt pozwala m.in. organizować telekonferencje, w których może brać udział do dwudziestu ośrodków jednocześnie. Dzięki temu można bezpośrednio łączyć się z innymi uniwersytetami i organizować prelekcje najlepszych światowych naukowców. – To duża szansa dla naszych studentów. Będą mogli nie tylko wysłuchać ciekawych wykładów, ale też zadać pytania wybitnym specjalistom – zapewnia dr inż. Robert Straś z Katedry informatyki.

Budynek posiada najwyższej klasy instalacje sieci Wi-Fi. Zainstalowano zintegrowany system telefonii IP pozwalający na pełną współpracę z systemami telekonferencyjnymi oraz innymi aplikacjami sieciowymi. Znajduje się tu również serwerownia wyposażona w precyzyjną klimatyzację oraz wysokowydajny system obliczeniowy USC. Powiązanie tych technologii w jeden spójny sposób stanowi rozwiązanie unikatowe w skali kraju. Centrum stwarza niespotykane na innych uczelniach możliwości do zapoznania się z najnowocześniejszymi technologiami IT. Duże wrażenie robi labo-



foto. Z. Sulima

ratorium wirtualnej rzeczywistości i wizualizacji 3D. – Wykorzystujemy nowe techniki komunikacji z komputerem poprzez ruchy ciała, gesty i mowę. Studenci będą mogli pracować nad wizualizacjami, animacjami i interakcjami z komputerem, które są niezbędne podczas opracowywania gier komputerowych. Dysponujemy najnowszymi procesorami i kartami graficznymi, a także stanowiskami do rejestrowania ruchu postaci – mówi dr inż. Witold Alda z Katedry Informatyki. Studenci będą pracować ze sprzętem umożliwiającym tworzenie najbardziej wyrafinowanych projektów. Krakowskie Centrum Informatyki będzie kształ-

cić najlepszych informatyków w kraju. Na pierwszy rok zostało już przyjętych 180 kandydatów. – Będziemy jednak stopniowo zwiększać ich liczbę do 220–240 studentów – zapowiada prof. Krzysztof Zieliński, Kierownik Centrum Informatyki AGH.

Projekt zrealizowano w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego, Działania 1.1 Poprawa jakości usług edukacyjnych, oś priorytetowa 1.

Ilona Trębacz

na podstawie informacji opracowanej przez Centrum Informatyki



foto. Z. Sulima



fot. Z. Sulima



więcej fotografii z uroczystości pod adresem: foto.agh.edu.pl/thumbnails.php?album=260

Wydarzenia w AGH

Obrady Konwentu AGH

Konwent AGH jest wyjątkowym w skali kraju ciałem kolegialnym działającym przy wyższej uczelni. Skupiając w swych szeregach ściśle władze województw oraz menedżerów wiodących przedsiębiorstw, stanowi cenny organ doradczy uczelni, a odbywające się dwa razy w roku obrady Konwentu AGH są platformą wymiany doświadczeń na styku szkolnictwa wyższego z przemysłem oraz samorządami.



for. Z. Sulima

Jednym z punktów posiedzenia, które odbyło się 25 października 2011 roku było wystąpienie Prorektora ds. Nauki prof. Tomasa Szmuca, podczas którego omówione zostały wiodące laboratoria naukowe uczelni.

Członkowie Konwentu AGH mogli też zaznajomić się z potencjałem aparaturowym AGH, gdyż spotkanie przeniosło się do Laboratorium Międzynarodowego Centrum Mikroskopii Elektronowej dla Inżynierii Materiałowej. Z uwagi na swoje parametry jest to jedno z dwóch tego typu urządzeń w Europie.

Zwieńczeniem październikowego posiedzenia było uroczyste podpisanie umowy w sprawie rozbudowy Wydziału Zarządzania.

Zarządzanie będzie rozbudowane

25 października 2011 roku podpisana została umowa pomiędzy AGH a Zarządem Województwa Małopolskiego (Instytucją Zarządzającą MRPO) na dofinansowanie projektu „Rozbudowy i doposażenia Wydziału Zarządzania w celu poprawy jakości usług edukacyjnych”. Uczelnię reprezentowali: prof. Antoni Tajduś, Rektor AGH oraz prof. Lech Bukowski, Dziekan Wydziału Zarządzania, natomiast Zarząd Województwa reprezentowany był przez Marszałka Marka Sowę.

Investycja realizowana będzie w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego 2007–2013, priorytet I „Warunki



for. Z. Sulima

dla rozwoju społeczeństwa opartego na wiedzy”, działanie 1.1. „Poprawa jakości usług edukacyjnych”, schemat A „Rozwój infrastruktury dydaktycznej szkolnictwa wyższego”.

Projekt zakłada rozbudowę pawilonu dydaktycznego D-14 stanowiącego siedzibę Wydziału Zarządzania AGH oraz wyposażenie go w nowoczesną aparaturę naukowo-dydaktyczną w celu poprawy jakości procesu kształcenia studentów na kierunkach techniczno-ekonomicznych.

Łączny koszt inwestycji oszacowany został na 15 459 877 zł brutto. Dotacja Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego oraz krajowy wkład publiczny pokryją 70 proc. wydatków kwalifikowanych, czyli 10 821 913,90 zł. Pozostałe 30 proc. kosztów sfinansowane zostanie ze środków własnych wydziału i uczelni.

Prace budowlane związane z rozbudową Wydziału Zarządzania rozpoczną się w maju 2012 roku i będą trwały przez dwa następne lata.

Jubileusz 80-lecia urodzin profesora Józefa Giergiela

15 listopada 2011 roku w auli A-0 odbyło się uroczyste posiedzenie Rady Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Robotyki z okazji Jubileuszu 80 lat życia prof. Józefa Giergiela, DHC Politechniki Rzeszowskiej i Politechniki Łódzkiej, Profesora Honorowego AGH i Politechniki Warszawskiej, wieloletniego pracownika wydziału, pełniącego wiele zaszczytnych funkcji między innymi prorektora AGH oraz dziekana wydziału.



for. Z. Sulima

W uroczystym posiedzeniu Rady Wydziału wzięło udział wielu znakomych gości, rektorów i prorektorów uczelni, dziekanów i prodziekanów wydziałów, przedstawicieli polskiego świata nauki z Polskiej Akademii Nauk i kilkunastu uczelni z całego kraju, Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych oraz bardzo licznie przybyli przyjaciele i wychowankowie jubilata.

KGHM Polska Miedź SA, TAURON Polska Energia SA, Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” SA – porozumienie o współpracy

7 października 2011 roku w AGH odbyło się uroczyste podpisanie porozumienia o współpracy z firmami KGHM Polska Miedź SA, TAURON Polska Energia SA oraz Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” SA.

Porozumienie o współpracy ma na celu wykorzystanie doświadczeń i dorobku naukowego akademii oraz potencjału i pozycji partnerów porozumienia.

KGHM produkuje również m.in. złoto, ołów, kwas siarkowy i sól kamienną. KGHM Polska Miedź SA dba o środowisko naturalne. Ogromne nakłady finansowe oraz wzorcowo użyte technologie i rozwiązania spełniają najostrejsze wymagania i normy Unii Europejskiej w zakresie ochrony środowiska.



foto. Z. Sulima

Spółka TAURON Polska Energia SA powstała 6 grudnia 2006 roku. TAURON Polska Energia SA jest spółką dominującą w Grupie TAURON. Do głównych podmiotów zależnych podlegających konsolidacji należą: Południowy Koncern Węglowy SA zajmujący się wydobywaniem węgla kamiennego, TAURON Wytwarzanie SA zajmujący się wytwarzaniem energii ze źródeł konwencjonalnych i ze współspalania biomasy, TAURON Ekoenergia Sp. z o.o. zajmujący się wytwarzaniem energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych, TAURON Dystrybucja SA zajmujący się świadczeniem usług dystrybucji energii elektrycznej, TAURON Sprzedaż Sp. z o.o. zajmujący się sprzedażą energii elektrycznej do klientów detalicznych, TAURON Obsługa Klienta Sp. z o.o. zajmujący się obsługą klienta i TAURON Ciepło SA, zajmujący się świadczeniem usług dystrybucji ciepła.

ZGH „Bolesław” SA jest spółką dominującą w Grupie Kapitałowej ZGH „Bolesław”. Wydobywa i przerabia rudy cynku i ołowiu, pochodzące z własnej kopalni, produkuje cynk elektrolityczny i stopy cynku, kwas siarkowy oraz koncentraty cynku i ołowiu. Produkuje cynk wykorzystując technologie procesu elektrolizy i procesu ogniowego (Imperial Smelting Process) oraz przetwarza odpady cynkowożelazne w procesie przewalowym (Waelza).

Porozumienie zostało podpisane przez: Herberta Wirth – Prezesa Zarządu KGHM, Dariusza Teodorskiego – Dyrektora Departamentu Koordynacji Badań i Rozwoju KGHM, Dariusza Lubę – Prezesa Zarządu TAURON Polska Energia, Joannę Schmid – Wiceprezesa Zarządu TAURON Polska Energia, Bogusława Ochaba – Prezesa Zarządu ZGH „Bolesław” SA, Andrzeja Szarego – członka Zarządu ZGH „Bolesław” SA oraz prof. Antoniego Tajdusia – Rektora AGH.

Współpraca Wydziału EAliE z firmą Siemens

21 listopada br. na Wydziale Elektrotechniki, Automatyki, Informatyki i Elektroniki gościł Dieter Fink, Regional Business Manager Europe, Siemens AG Industry Sector. Jego wizyta związana była z nawiązaniem współpracy pomiędzy Wydziałem EAliE a Siemens AG.



foto. Z. Sulima

W spotkaniu ze strony firmy Siemens również wzięli udział: Waldemar Szewczyk – Dyrektor Branży oraz Bogusław Niedbała i Andrzej Grzywina. Wydział EAliE reprezentowali prof. Antoni Cieśla – Dziekan Wydziału, prof. Stanisław Mitkowski – Kierownik Katedry Elektrotechniki i Elektroenergetyki, a także prof. Wiesław Nowak z tejże katedry.

Celem wizyty było omówienie obszarów oraz zakresu współpracy naukowej i dydaktycznej. Podczas spotkania podpisano także protokół przekazania nowoczesnych elektroenergetycznych rozdzielnic gazowych średniego napięcia na wyposażenie Laboratorium Elektroenergetyki Katedry Elektrotechniki i Elektroenergetyki AGH. W laboratorium tym prowadzone są m.in. prace badawcze w zakresie eksploatacji sieci rozdzielczych średnich napięć oraz elektroenergetycznej automatyki zabezpieczeniowej. Oprócz wykorzystania rozdzielnic w pracach naukowo-badawczych, wykorzystane będą one w procesie dydaktycznym.

Marathon Petroleum Poland Service Sp. z o.o. – podpisanie „Non-Binding Letter of Interest”

8 listopada 2011 roku podpisano uroczyste „Non-Binding Letter of Interest” z Marathon Petroleum Poland Service Sp. z o.o.



foto. Z. Sulima

„Non-Binding Letter of Interest” miało na celu potwierdzić wzajemne zainteresowanie i chęć do zgłębiania możliwości współpracy szczególnie w zakresie staży i pracy studentów AGH w Marathon Petroleum oraz możliwości technologicznego rozwoju.

Letter of Interest zostało podpisane przez Carla R. Hubacher Jr – Resident Manager Matathon Petroleum oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH.

Katowicki Holding Węglowy SA, Zakłady Energetyki Ciepłej SA – podpisanie porozumienia o współpracy

15 grudnia 2011 roku AGH podpisała porozumienie o współpracy z Katowickim Holdingiem Węglowym SA i z Zakładami Energetyki Ciepłej SA.

Porozumienie o współpracy miało na celu deklarację podjęcia działań w zakresie rozwijania technologii utylizacji metanu z odmetanowania kopalń i opracowania projektów pozyskania i wykorzystania metanu z rejonów poeksploatacyjnych należących do KHW.

Katowicki Holding Węglowy specjalizuje się w wysokiej jakości węgla energetycznym. Posiadane zasoby operatywne gwarantują stabilność dostaw przez co najmniej 40–50 lat. KHW jest jednym z największych krajowych i europejskich producentów węgla energetycznych.

Zakłady Energetyki Ciepłej są właścicielem ciepłowni i elektrociepłowni, sieci i stacji ciepłowniczych zlokalizowanych w rejonie kopalń KHW. Łączna moc cieplna wszystkich kotłowni wynosi 644,75 MW. We wszystkich kotłowniach (włącznie z lokalnymi) za-

instalowanych jest łącznie 56 kotłów, w tym 18 kotłów małej mocy (do 1 MW).

Porozumienie zostało podpisane: ze strony KHW przez: Waldemara Mróza – Wiceprezesa Zarządu ds. Pracy i Mariusza Wilkosza – Wiceprezesa Zarządu ds. Produkcji, ze strony ZEC przez: Longina Kugielę – Prezesa Zarządu i Krzysztofa Chojnackiego – Zastępcę Prezesa Zarządu, ze strony AGH przez: prof. Antoniego Tajduś – Rektora AGH.

Nowe boisko sportowe na Miasteczku Studenckim AGH

8 grudnia 2011 roku uroczystie otwarto nowe boisko sportowe ze sztuczną nawierzchnią na Miasteczku Studenckim AGH. Obecni byli Rektor AGH prof. Antoni Tajduś, Prorektor ds. Ogólnych prof. Tadeusz Słomka, dziękani, dyrekcja Miasteczka Studenckiego oraz oczywiście przyszli użytkownicy – studenci.

W części sportowej wyzwaniem do sparingu z drużyną sekcji piłki nożnej AZS AGH przyjęli Zawodnicy Młodej Ekstraklasy Wisły Kraków, którzy przybyli na czele z Prezesem Zarządu Wisły Kraków SA Bogdanem Basałajem oraz kapitanem drużyny Wisły – Radosławem Sobolewskim.

Symboliczne inauguracyjne „pierwsze kopnięcie” piłki wykonał Rektor AGH, sprawdzając formę bramkarza AZS AGH w rzucie karnym. Mimo krępującego stroju i nieodpowiedniego obuwia rektor pięknym strzałem nie dał szans bramkarzowi. Panowie rektorzy ufundowali Puchar Miasteczka Studenckiego, o który od wiosny odbywać się będą coroczne turnieje piłki nożnej pomiędzy drużynami domów studenckich. Poznaliśmy także preferencje rektorów co do ulubionych zespołów: profesor Tajduś kibicuje Wiśle, a profesor Słomka – Cracovii.



foto: Jan Graczyński

Następnie doszło do derbów drużyn z dwóch stron ulicy Reymonta. Kibice zasiedli na trybunach racząc się ciepłym grzańcem i bajglami, a drużyny w 15-minutowej rozgrywce pokazały ciekawą i zaciętą walkę na boisku. Mecz zakończył się dyplomatycznym wynikiem remisowym 1:1. Rektor na zakończenie wręczył zawodnikom i gościom drobne upominki i pamiątki.

Nowa siłownia otwarta

Basen AGH wzbogacił się o nową siłownię. Pomieszczenie o powierzchni 400 m² wyposażone zostało w najnowocześniejszy sprzęt firmy Technogym – lidera w dziedzinie profesjonalnych maszyn fitness. 40 stanowisk do treningu siłowego, poszerzone o 18 urządzeń cardio, zaspokoi wymagania nawet najbardziej wybrednych fanów ćwiczeń.

Trening cardio poprawia wydolność, mobilizuje do pracy serce i płuca. Trening siłowy wzmacnia mięśnie i modeluje sylwetkę. Nowoczesne rozwiązania (regulacja wysokości, dobór obciążeń, ustawienia zakresu ruchu) pozwalają na bezpieczny trening oraz ćwiczenia rehabilitacyjne. Wykwalifikowana kadra instruktorów zapewni



foto: Z. Sulima

klientom należytą opiekę podczas ćwiczeń. Na potrzebujących motywacji czeka trening z indywidualnym trenerem.

11 stycznia 2012 r. odbyło się otwarcie siłowni w niekonwencjonalnej formie – w formie treningu, w którym aktywnie uczestniczyli zaproszeni goście.

Stowarzyszenie Akademii Pełni Życia – podpisanie porozumienia o współpracy

19 grudnia 2011 roku na terenie AGH odbyło się uroczyste podpisanie porozumienia o współpracy ze Stowarzyszeniem Akademii Pełni Życia.

Współpraca pomiędzy stronami ma na celu między innymi wspólne organizowanie zajęć edukacyjnych dla seniorów, kształtowanie i wzmacnianie postaw aktywności edukacyjnej i społecznej osób starszych, wspólne realizowanie lokalnych, krajowych i międzynarodowych projektów edukacyjnych i badawczych dotyczących seniorów.

Akademia Pełni Życia jest niezależnym stowarzyszeniem non-profit działającym na rzecz poprawy jakości życia osób w średnim i starszym wieku. Głównym celem stowarzyszenia jest projektowanie i organizowanie wysokiej jakości zajęć edukacyjnych



foto: Z. Sulima

adresowanych do seniorów, tak ze środowisk lokalnych, jak i europejskich oraz podejmowanie działań na rzecz aktywizacji starszego pokolenia i pełnoprawnego włączenia go do nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego i informacyjnego. Obok bieżącej działalności szkoleniowej Stowarzyszenie realizuje krajowe i międzynarodowe projekty edukacyjne nastawione na wypracowanie innowacyjnych rozwiązań w zakresie edukacji seniorów oraz uczestniczy w krajowej i europejskiej debacie dotyczącej problematyki ludzi starszych.

Porozumienie zostało podpisane przez panią Marię Kacprzycką – Prezes oraz panią Marię Serek – Skarbnika Stowarzyszenia. Akademię reprezentował prof. Antoni Tajduś – Rektor AGH.

Podpisanie porozumienia o współpracy z Gminą Trzebinia

24 listopada 2011 roku w Trzebinie odbyło się uroczyste podpisanie porozumienia o współpracy pomiędzy AGH a Gminą Trzebinia.

Porozumienie o współpracy ma na celu wykorzystanie doświadczeń i dorobku naukowego akademii oraz potencjału Gminy Trzebinia dla dalszych działań. Strony zadeklarowały zamiar współpracy w zakresie:

- technologii produkcji paliw alternatywnych z połączenia węgla z biomasą,
- ochrony środowiska,
- obróbki metali lekkich,
- rozwoju nowych technologii.

Gmina Trzebinia stanowi wspólnotę samorządową osób zamieszkałych na jej terytorium. Terytorium Gminy obejmuje obszar o powierzchni 105 km². W skład Gminy wchodzi: miasto Trzebinia z jej osiedlami oraz sołectwa. Siedzibą organów Gminy jest miasto Trzebinia. Gmina posiada osobowość prawną i wykonuje zadania publiczne w imieniu własnym i na własną odpowiedzialność. Zakres działania i zadania Gminy określa ustawa.

Porozumienie zostało podpisane przez pana Stanisława Szczurka – Burmistrza Miasta Trzebini oraz prof. Antoniego Tajdusia – Rektora AGH.

Koordinatory umowy ze strony Gminy Trzebinia – Stanisław Szczurek; ze strony AGH – Przemysław Olszewski.

Zakłady Azotowe w Tarnowie-Mościcach SA – podpisanie „Porozumienia o współpracy”

3 stycznia 2012 roku zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy AGH a Zakładami Azotowymi w Tarnowie-Mościcach SA.

Celem porozumienia jest nawiązanie długoterminowej współpracy pomiędzy stronami w zakresie nauk chemicznych, nowych materiałów i technologii, energii i jej zasobów, inżynierii elektrycznej i mechanicznej, technologii informacyjnych oraz ochrony środowiska.

Azoty Tarnów są znaną na międzynarodowym rynku produktów chemicznych firmą oferującą nawozy mineralne, tworzywa konstrukcyjne oraz chemikalia. Wraz ze spółkami zależnymi tworzą największą w Polsce działającą w sektorze chemicznym grupę kapitałową. Strategia rozwoju Spółki zakłada koncentrację zasobów na następujących obszarach:

- sektor produktów dla rolnictwa, w szczególności nawozów mineralnych,
- sektor zaawansowanych technologicznie materiałów, w szczególności tworzyw konstrukcyjnych,
- sektor chemikaliów.

Porozumienie zostało podpisane przez pana Jerzego Marciniaka – Prezesa Zarządu, Dyrektora Generalnego oraz Krzysztofa Jalośńskiego – Wiceprezesa Zarządu. Akademię reprezentowali prof. Antoni Tajduś – Rektor AGH i prof. Jerzy Lis – Prorektor ds. Współpracy i Rozwoju.

Zamek Królewski na Wawelu – podpisanie porozumienia o współpracy

20 lutego 2012 roku na terenie Akademii Górniczo-Hutniczej odbyło się uroczyste podpisanie porozumienia o współpracy z Zamkiem Królewskim na Wawelu – Państwowymi Zbiorami Sztuki.

Porozumienie o współpracy ma na celu wykorzystanie doświadczeń i dorobku naukowego akademii oraz potencjału i pozycji Zamku Królewskiego na Wawelu dla dalszych działań służących dobru obu stron. Strony zamierzają podjąć współpracę między innymi w zakresie organizowania i udziału w stałych szkoleniach i kursach specjalistycznych, wprowadzania rozwiązań technicznych i organizacyjnych, uzgadniania tematów prac badawczych.



Zamek Królewski na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki jest narodową instytucją kultury posiadającą osobowość prawną, zarejestrowaną w Rejestrze Narodowych Instytucji Kultury oraz w Państwowym Rejestrze Muzeów. Zamek działa na podstawie statutu nadanego przez Ministra Kultury. Zamek Królewski na Wawelu jest muzeum o charakterze rezydencji historycznej, a jego celem jest zachowanie zabytkowej substancji Wawelu jako najwyższej rangi pomnika historii, ideowe odtworzenie przeszłości Wawelu w jej wielorakich aspektach oraz szerokie włączenie powyższych wartości w obieg kultury narodowej.

Porozumienie o współpracy zostało podpisane przez prof. Jana Ostrowskiego – Dyrektora ZKW oraz prof. Antoniego Tajdusia – Rektora AGH.

Porozumienie o współpracy AGH z Centralnym Laboratorium Pomiarowo-Badawczym Sp. z o.o.

17 lutego 2012 roku zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy Akademią Górniczo-Hutniczą a Centralnym Laboratorium Pomiarowo-Badawczym Sp. z o.o.

Porozumienie podpisali: ze strony AGH: prof. Jerzy Lis, Prorektor ds. Współpracy i Rozwoju, ze strony Laboratorium: mgr inż. Wiesława Budziszewska, Prezes Zarządu i dr inż. Zbigniew Bukowski, Zastępca Prezesa Zarządu, Dyrektor ds. Technicznych.

W uroczystości uczestniczyli także: dr hab. inż. Piotr Czaja, prof. AGH, Dziekan Wydziału Górniczego i Geoinżynierii, dr hab. inż. Waldemar Korzeniowski, prof. AGH, Kierownik Katedry Górniczego Podziemnego, dr hab. inż. Stanisław Nawrat, prof. AGH, Kierownik Pracowni Bezpieczeństwa Pracy i Ergonomii w Górniczym, dr inż. Barbara Bielowicz, asystent w Pracowni Bezpieczeństwa Pracy i Ergonomii w Górniczym i mgr Aleksandra Wojdyła, Kierownik Działu Współpracy z Gospodarką Centrum Transferu Technologii AGH.

Celem porozumienia jest nawiązanie współpracy pomiędzy stronami w zakresie wykorzystania doświadczeń i dorobku naukowego akademii oraz potencjału i pozycji CLPB, a w szczególności w zakresie:



- metod metrologicznych związanych z badaniem parametrów węgla i warunków środowiska pracy,
- umożliwienia studentom odbywania praktyk w CLPB,
- proponowania tematów prac inżynierskich i magisterskich dla studentów,
- podejmowania wspólnych tematów prac badawczych,
- wspierania działalności Laboratorium w Pracowni Bezpieczeństwa Pracy i Ergonomii Katedry Górnictwa Podziemnego Wydziału Górnictwa i Geoinżynierii,
- wzajemnego prezentowania i propagowania osiągnięć,
- współdziałania dotyczącego zatrudniania absolwentów AGH,
- organizowania szkoleń i kursów specjalistycznych, seminariów i konferencji.

Duży awans AGH

Nasza uczelnia zanotowała duży awans w ogłoszonym na początku lutego 2012 roku globalnym rankingu Webometrics, klasyfikującym najlepsze uczelnie świata.

W najnowszej edycji tego prestiżowego rankingu, w porównaniu do zestawienia z lutego 2011 roku, AGH awansowała aż o 251 miejsc – z 549. pozycji na miejsce 298. Pięć polskich uczelni uplasowało się w pierwszej pięćsetce zestawienia Webometrics (całe badanie obejmuje ponad 12 tys. uczelni – pełny wykaz miejsc polskich uczelni

www.webometrics.info/rank_by_country.asp?country=pl:

280 – Uniwersytet Jagielloński

298 – Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie

327 – Uniwersytet Warszawski

338 – Politechnika Warszawska

391 – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Światowy Ranking Uczelni Webometrics jest przygotowywany dwa razy w roku przez Najwyższą Radę Badań Naukowych w Madrycie (Consejo Superior de Investigaciones Cientificas – CSIC). Czołowe miejsca zajmują niezmiennie amerykańskie szkoły wyższe, wyraźnie dominując w pierwszej pięćdziesiątce najlepszych uczelni świata. W tej edycji rankingu najlepszy okazał się Uniwersytet Harvarda, wyprzedzając MIT oraz Uniwersytet Stanforda.

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie – podpisanie porozumienia o współpracy

W dniu 12 stycznia 2012 roku zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy Uniwersytetem Papieskim Jana Pawła II w Krakowie a AGH.

Współpraca pomiędzy stronami ma na celu między innymi realizowanie projektów o charakterze naukowo-badawczym, organizo-

wanie kursów i innych specjalistycznych form kształcenia, realizowanie prac licencjackich, inżynierskich, magisterskich i doktorskich oraz wzajemne propagowanie osiągnięć w formie wydawnictw i wystaw.

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie (dawniej Papieaska Akademia Teologiczna w Krakowie) prowadzi działalność naukowo-dydaktyczną na pięciu wydziałach: Filozoficznym, Historii i Dziedzictwa Kulturowego, Nauk Społecznych, Teologicznym i zamiejscowym – Teologicznym (sekcja w Tarnowie), a także w międzywydziałowych instytutach: Bioetyki oraz Ekumenii i Dialogu. Trzy wydziały uczelni posiadają Certyfikaty Jakości Kształcenia dla kierunków: filozofia, historia, teologia wydane przez Konferencję Rektorów Uniwersytetów Polskich w uznaniu wysokiej jakości kształcenia. Wydziały uniwersytetu posiadają prawo nadawania tytułów i stopni naukowych: licencjata, magistra, licencjata kościelnego, doktora i doktora habilitowanego

Porozumienie zostało podpisane przez ks. dr. hab. Władysława Zuziaka, prof. UPJPII – Rektora UPJPII i ks. dr. hab. Józefa Wolczańskiego, prof. UPJPII oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH i prof. Józefa Szczepana Suchego – Dziekana Wydziału Odlewnictwa AGH.

Muzeum Narodowe w Krakowie – podpisanie porozumienia o współpracy

30 listopada 2011 roku podpisano porozumienie o współpracy z Muzeum Narodowym w Krakowie.

Porozumienie o współpracy ma na celu wykorzystanie doświadczeń oraz dorobku naukowego i badawczego Akademii oraz Muzeum Narodowego w Krakowie dla rozwoju wszechstronnej współpracy w zakresie dydaktyki i badań naukowych służących dobru obu stron. Strony chcą wspólnie realizować projekty o charakterze naukowo-badawczym oraz organizować kursy i inne specjalistyczne formy popularyzacji i kształcenia.

Muzeum Narodowe w Krakowie utworzone zostało w 1879 roku jako pierwsza narodowa instytucja muzealna Polaków. Główną siedzibą muzeum jest gmach główny przy alei 3 Maja 1. Ponadto posiada ono dziewięć oddziałów: Sukiennice, Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego, Dom Jana Matejki, Dom Józefa Mehoffera, Muzeum Stanisława Wyspiańskiego, Muzeum Karola Szymanowskiego, Pałac Biskupa Erazma Ciołka, Muzeum Książąt Czartoryskich, Biblioteka Książąt Czartoryskich.

Porozumienie zostało podpisane przez panią Zofię Gołubiew – Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH i prof. Jana Chłopka – Dziekana Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki AGH.

Zawarcie porozumienia o współpracy AGH z CERN

W dniach 23–24 lutego 2012 roku delegacja AGH w składzie: Prorektor ds. Współpracy i Rozwoju prof. Jerzy Lis, Prorektor ds. Kształcenia prof. Zbigniew Kąkol, prof. Bogdan Muryn oraz dr Jan Kulka, przebywała z oficjalną wizytą w siedzibie Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN w Genewie. Celem wizyty było zawarcie porozumień na lata 2012–2014 pomiędzy AGH a CERN w zakresie modernizacji i bieżącej eksploatacji największego akceleratora-zderzacza LHC. AGH jest wiodącą jednostką zewnętrzną biorącą udział w pracach nad LHC.

Po pomyślnej, półtorarocznej eksploatacji akceleratora rozpoczął się drugi etap jego pracy, polegający na zwiększeniu jego energii do 4 TeV dla każdej wiązki protonów oraz przygotowaniu infrastruktury dla pracy przy energii 7 TeV. W początkowej fazie instalacji LHC, domeną naukowców AGH były prace związane z przepływami kriogenicznymi oraz systemami ochrony magnesów nadprzewodnikowych przed przejściami rezystywnymi.



for. arch.

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie – podpisanie porozumienia o współpracy

23 stycznia 2012 roku zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy Uniwersytetem Papieskim Jana Pawła II w Krakowie a AGH.

Współpraca pomiędzy stronami ma na celu między innymi realizowanie projektów o charakterze naukowo-badawczym, organizowanie kursów i innych specjalistycznych form kształcenia, realizowanie prac licencjackich, inżynierskich, magisterskich i doktorskich oraz wzajemne propagowanie osiągnięć w formie wydawnictw i wystaw.

Porozumienie zostało podpisane przez ks. dr. hab. Władysława Zuziaka, prof. UPJPII – Rektora UPJPII i ks. dr. hab. Józefa Wolczańskiego, prof. UPJPII oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH i prof. Jana Chlopka – Dziekana Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki AGH.

W obecnej chwili przy LHC pracuje 14 naukowców AGH. W szczytowym okresie liczba ta wzrośnie do 34 osób. Począwszy od 2005 roku przy budowie LHC uczestniczyło 41 pracowników AGH.

W trakcie swojej wizyty delegacja odwiedziła podziemne hale eksperymentów ATLAS i LHC, główne centrum sterowania wszystkimi akceleratorami i instalacjami kriogenicznymi oraz centrum sterowania badań promieniowania kosmicznego dla eksperymentu AMS, zainstalowanego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Delphi Poland SA – podpisanie umowy ramowej o współpracy

5 marca 2012 roku AGH podpisała umowę ramową o współpracy z firmą Delphi Poland SA.

Współpraca pomiędzy firmą Delphi i uczelnią ma umożliwić podejmowanie wspólnych inicjatyw w zakresie badań naukowych, realizacji projektów i rozwoju programów dydaktycznych w oparciu o bazę technologiczną Delphi i zaplecze naukowe AGH.



for. Z. Sulima

Delphi jest wiodącym, globalnym dostawcą systemów elektronicznych i technologii dla przemysłu motoryzacyjnego, pojazdów użytkowych i innych segmentów rynku. Koncern rozpoczął działalność w Polsce w 1994 roku, zatrudniając 250 pracowników. Dziś w sześciu zakładach produkcyjnych i nowoczesnym Centrum Technicznym pracuje 6 tysięcy osób. Zlokalizowana w Krakowie krajowa siedziba koncernu zatrudnia wyłącznie polskich specjalistów, z których wielu odpowiada również za działalność Delphi w regionie Europy Wschodniej.

Porozumienie zostało podpisane przez pana Scotta Kuyawę – członka Zarządu Delphi i panią Marzenę Jasińską – Prokurenta oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH.

Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN – podpisanie porozumienia o współpracy

29 marca 2012 roku w AGH odbyło się uroczyste podpisanie porozumienia o współpracy z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN.



for. Z. Sulima

Celem porozumienia jest nawiązanie długoterminowej współpracy pomiędzy stronami w zakresie wspólnego kształcenia na poziomie studiów doktoranckich i magisterskich, wzajemnego świadczenia usług pomiarowych unikalnymi metodami badawczymi, wspólnego organizowania konferencji naukowych, badań strukturalnych siloksanów i silseskwioksanów, syntezy związków zawierających wiązanie krzem-tlen.

CBMiM PAN należy do sieci instytutów Polskiej Akademii Nauk i jest placówką naukową uznaną w międzynarodowym środowisku naukowym. CBMiM prowadzi badania w zakresie nauk ścisłych (chemii organicznej, chemii bioorganicznej oraz chemii i fizyki polimerów) ze szczególnym ukierunkowaniem na prace w zakresie inżynierii materiałów (synteza zaawansowanych materiałów zarówno nisko-, jak i wysokocząsteczkowych o budowie kontrolowanej na poziomie mikro i nanorozmiarów).

Porozumienie o współpracy zostało podpisane przez prof. Stanisława Słomkowskiego – Dyrektora CBMiM PAN i prof. Marka Potrzebowskiiego – Zastępcy Dyrektora ds. Naukowych CBMiM PAN oraz prof. Antoniego Tajdusa – Rektora AGH i prof. Mirosława Handke – Kierownika Katedry Chemii Krzemianów i Związków Wielocząsteczkowych Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki AGH.

ZEHNDER Polska Sp. z o.o. – podpisanie umowy ramowej o współpracy

22 marca 2012 roku AGH podpisała umowę ramową o współpracy z firmą ZEHNDER Polska Sp. z o.o.

Współpraca pomiędzy firmą Zehnder a AGH ma na celu stałą wymianę doświadczeń oraz współpracę w zakresie budowy i rozwoju stanowiska dydaktyczno-badawczego promienników wodnych, wykonywania badań promienników wodnych, organizacji i udziału w konferencjach naukowo-technicznych oraz realizacji projektów badawczo-rozwojowych.

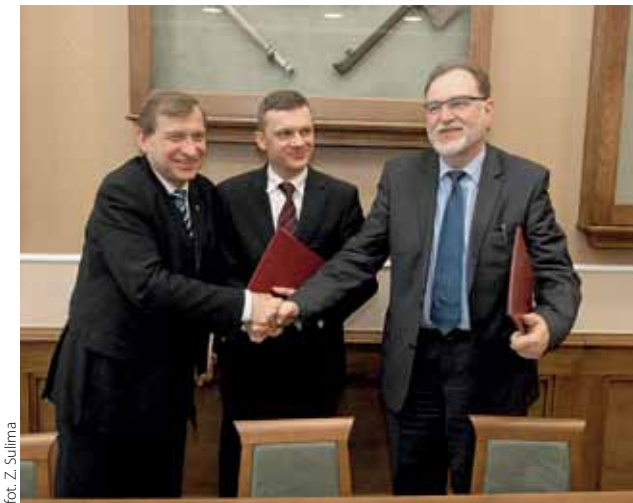


foto: Z. Sulima

Firma Zehnder Polska Sp. z o.o. jest spółką-córką grupy Zehnder Group ze Szwajcarii. Grupa Zehnder jest obecna na całym świecie i pozostaje europejskim liderem na rynku grzejników dekoracyjnych i łazienkowych. Począwszy od 1930 roku, po zaniechaniu produkcji motocykli, Grupa Zehnder stała się wiodącym przedsiębiorstwem w segmencie producentów grzejników.

Umowa została podpisana przez pana Jerzego Stośka – Dyrektora Generalnego Zehnder Polska Sp. z o.o. i panią Krystynę Nowicką-Dukiel – Prokurenta oraz prof. Jerzego Lisa – Prorektora ds. Współpracy i Rozwoju AGH i dr. hab. inż. Piotra Tomczyka, prof. nadzw. – Dziekana Wydziału Energetyki i Paliw.

AGH i Fundacja Instytut Rozwoju Regionalnego wspólnie na rzecz osób niepełnosprawnych

22 marca 2012 roku AGH podpisała porozumienie o współpracy z Fundacją Instytut Rozwoju Regionalnego. Strony zobowiązały się do kontynuowania i podejmowania nowych, wspólnych działań na rzecz przeciwdziałania wykluczeniu, dyskryminacji oraz zapewnienia równych szans osobom niepełnosprawnym.

Podpisanie porozumienia było uroczystym sformalizowaniem współpracy pomiędzy instytucjami, której początki sięgają 2005 roku. Obecnie FIRR oraz Biuro ds. Osób Niepełnosprawnych AGH rozpoczynają realizację IV etapu projektu „Indywidualna Praca z Coachem”, w którym 98 beneficjentów z AGH otrzymało dotąd aktywne wsparcie w wejściu na rynek pracy. W najbliższej przyszłości planowane jest również wspólne aplikowanie o środki zewnętrzne na realizację projektów.

Korzyści ze współpracy płyną także w kierunku pracowników i pełnosprawnych studentów AGH. W ubiegłym roku BON AGH i FIRR wspólnie przeprowadziło pilotażowe szkolenie z zakresu zwiększania dostępności uczelni dla ON. Obecnie projekt ten kontynuuje BON AGH. W ostatnim czasie wspólnie organizowany jest pilotażowy projekt badania dostępności i dostosowania stron internetowych AGH w szczególności pod kątem potrzeb osób z dysfunkcją narządu wzroku.

Ponadto FIRR od kilku lat aktywnie uczestniczy w organizowanych przez BON AGH wydarzeniach mających na celu podniesienie świadomości społecznej dotyczącej problematyki ON i ich udziału w edukacji na poziomie wyższym, w szczególności: integracyjnym pikniku lotniczym, obozie integracyjnym dla studentów niepełnosprawnych redakcji Krakowskiego Semestralnika Studentów Niepełnosprawnych.

Porozumienie podpisali: ze strony AGH – prof. Jerzy Lis – Prorektor ds. Współpracy i Rozwoju, prof. Zbigniew Kąkol – Prorektor ds. Kształcenia, ze strony FIRR – Aleksander Waszkielewicz – Prezes Zarządu.

opracował Z. Sulima

AGH Uniwersytet dla Aktywnych

Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie poszerza swoją ofertę kształcenia o specjalistyczne kursy. Oferta skierowana jest dla osób aktywnych, które pragną zdobyć wiedzę i umiejętności w nowoczesnych, dynamicznie rozwijających się dziedzinach nauki. Zajęcia odbywać się będą w ramach bloków tematycznych pod wspólną nazwą „AGH Uniwersytet dla Aktywnych” i będą zorientowane dla ludzi aktywnych, powyżej 50. roku życia, ale nie tylko. Celem zajęć będzie stworzenie możliwości ustawicznego kształcenia, nabywanie i pogłębianie umiejętności.

W tym semestrze rozpoczynamy zajęcia w ramach 2 kursów:

- podstawy informatyki użytkowej,
- bezpieczeństwo blogów i stron internetowych.

W następnych semestrach planowane są dalsze kursy w dziedzinie informatyki, dotyczące bazy danych oraz bezpieczeństwa systemów informatycznych i ochrony danych.

Planowane są również kursy w obszarach:

- bioinżynieria medyczna,
- telemedycyna,
- energetyka,
- nauka o materiałach,
- geologia,
- geoturystyka,
- inne.

Zajęcia będą realizowane w oparciu o różnorodne, nowoczesne metody nauczania. Bazować będą przede wszystkim na e-learningu (wszyscy uczestnicy kursów przejdą szkolenie ze sposobu korzystania z tego narzędzia). Oprócz tego część zajęć realizowana będzie w AGH w formie stacjonarnej. Każdy uczestnik na zakończenie kursu otrzyma zaświadczenie o jego ukończeniu.

Szczegółowe informacje można uzyskać pod adresem:

www.aktywni.agh.edu.pl

oraz w sekretariacie Uczelnianego Centrum Informatyki AGH:

Violetta Korecka (korecka@agh.edu.pl), pawilon C1, p. 403, tel. +48 12 633-89-07, od poniedziałku do piątku w godz. 8–15.



Andrzej Ptak

Prezes Zarządu Dyrektor Generalny Grupy Ożarów SA

Jest absolwentem Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Uczelnię ukończył w 1977 roku, uzyskując tytuł magistra inżyniera chemika – ceramika w zakresie materiałów wiążących i betonów. Wybór uczelni był konsekwencją zainteresowań techniką w ogóle, natomiast specjalizację podyktowały perspektywy pracy w pobliżu rodzinnego domu (w 1974 roku rozpoczęto w Ożarowie budowę cementowni). Temat pracy magisterskiej „Żużel stalowniczy jako dodatek do cementu” był już bardzo ściśle związany z tym, czym miałem się zajmować w najbliższej i dalszej przyszłości zawodowej.

Motto osobiste

Rodzina jest najważniejsza.

Motto zawodowe

Konsekwencja i transparentność działania.

Osiągnięcia zawodowe

Całą swoją drogę zawodową od momentu ukończenia studiów do chwili obecnej związałem z jednym zakładem – Cementownią w Ożarowie. We wrześniu 1977 roku zostałem zatrudniony na stanowisku stażysty w dziale przygotowania produkcji ówczesnego Zakładu Realizacji Inwestycji. W listopadzie tegoż roku, gdy rozpoczął pracę pierwszy piec do wypału klinkieru zostałem zatrudniony na centralnej sterowni zakładu. To i kolejne stanowiska pozwoliły szlifować

praktyczne umiejętności w cementowym fachu. Przeszedłem wszystkie szczeble awansu: od mistrza poprzez kierownika wydziału produkcji klinkieru, głównego technologa, szefa produkcji, zastępcy dyrektora do spraw produkcji. W 1992 roku wygrałem konkurs na szefa zakładu, który w wyniku przekształceń własnościowych był wtedy Jednoosobową Spółką Skarbu Państwa. Zostałem Prezesem Zarządu Cementowni Ożarów SA.

Proces prywatyzacji zakładu, który zakończył się w 1995 roku, doprowadził do przejścia firmy przez irlandzki koncern CRH. Nowi właściciele w dalszym ciągu powierzyli mi kierowanie zakładem. Dnia 12 września 2011 roku rozpoczął się 35. rok mojej pracy zawodowej w Cementowni Ożarów, z czego 19. rok na stanowisku Dyrektora Generalnego i Prezesa Zarządu.

Za wielki sukces zawodowy uważam fakt, że potrafiłem przeprowadzić zakład przez trudny okres transformacji politycznej, ekonomicznej i gospodarczej, pokonać trudności związane z załamaniem się rynku cementowego w kraju, doprowadzić do udoskonalenia procesu produkcyjnego. W 2000 roku wybudowaliśmy piec o największej wydajności w Europie, produkujący ponad 8 tys. ton klinkieru na dobę. Wdrożyliśmy zintegrowany system zarządzania: jakością, zarządzania środowiskowego oraz bezpieczeństwem i higieną pracy.

Przez cały okres zarządzania firmą współpracuję z kadrą naukową Wydziału Inżynierii Materiałowej i Ceramiki: z prof. Wiesławem Kurdowskim, prof. Janem Deją, prof. Janem Małolepszym i innymi



fol. arch. AP

pracownikami mojego wydziału, którzy wykorzystując swoją wiedzę naukową pomagają rozwiązywać wiele problemów technologicznych i technicznych z jakimi spotykamy się w firmie.

W dotychczasowym okresie przynależności Cementowni Ożarów do Stowarzyszenia Producentów Cementu w Polsce dwukrotnie pełniłem funkcję prezesa Stowarzyszenia, od początku jego powstania jestem członkiem zarządu, a obecnie jego wiceprzewodniczącym.

Jako Dyrektor Grupy Ożarów SA mam ograniczone możliwości czasowe, aby aktywnie rozwijać swoje pasje społecznikowskie wpojone mi w domu rodzinnym. Biorę jednak udział we wszystkich ważnych wydarzeniach publicznych na terenie gmin okalających cementownię. Staram się, by zakład wpływał na rozwój gminy, powiatu i województwa.

Osiągnięcia w życiu osobistym

Za największy sukces osobisty uważam posiadanie wspianej rodziny. Ta najbliższa, to żona Janina (również absolwentka Akademii Górniczo-Hutniczej), dwie córki: Ewa i Urszula, syn Tomasz oraz wnuki: Piotruś, Kasia i Helenka. Córka Ewa jest lekarzem stomatologiem, Urszula magistrem ekonomii, a Tomasz informatykiem dumnym z tego, że ukończył uczelnię, na której studiowali jego rodzice. Dzieci przejęły od nas zachwyty Krakowem, wszystkie skończyły studia w tym mieście, tam mieszkają ze swoimi rodzinami i pracują.

Cały swój wolny czas poświęcam rodzinie. Na jej tonie najlepiej wypoczywam. Uwielbiam przyjazdy do domu rodzinnego wszystkich dzieci jednocześnie.

Od najmłodszych lat z pasją uprawiam sport. Ostatnio rekreacyjnie: w wolne popołudnia uprawiamy z żoną nordic-walking, a urlop spędzamy najchętniej w górach: latem na wędrownkach, a zimą na nartach. Je-



fol. arch. AP

stem bardzo szczęśliwy, gdy może towarzyszyć nam cała rodzina.

Wspomnienia z okresu studiów

Z dzisiejszej perspektywy lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku (ależ to brzmi!) mogą wydawać się mroczne i biedne. Jednakże dla mnie czas studiów był okresem, który niezwykle miło wspominam. Zarówno na uczelni, jak i w akademiku poznałem wspaniałych ludzi. Z wieloma utrzymuję do dziś kontakt. Z życia studenckiego wspominam wielką życzliwość kolegów, z którymi mieszkalem często „na waleta”. Imprezy w akademiku i wyprawy na „Rajdy Ceramika” zawsze były czasem wesołych, pełnych muzyki i śpiewu spotkań. To na jednym z takich rajdów powstała piosenka, którą zatytułowaliśmy „Hymn Ceramika”. Zaczyna się od słów:

„Nie ma to jak u nas w pace
Bo Ceramik to jest Facet!”.

Bardzo dobrze wspominam również atmosferę na Wydziale. Z ogromnym szacunkiem wspominam rozmowy z doc. Krystyną Gu-



for. arch. AP

staw, która była promotorem mojej pracy magisterskiej. Życzliwość dr. inż. Wojciecha Roszczynialskiego, mojego opiekuna na ostatnim roku studiów i koleżeński do-

stępnie stosunek sprawiły, że nigdy nie miałem oporów, by zwrócić się o pomoc merytoryczną do kadry naukowej któregoś z wydziałów.

Z CYKLU SYLWETKI ABSOLWENTÓW AGH

Piotr Chmieliński

**światowej sławy podróżnik, badacz i odkrywca,
Honorowy Obywatel Miasta Rzeszów**

Ukończyłem Wydział Maszyn Górniczo-Hutniczych AGH, na kierunku maszyny ceramiczne (1979). Zaraz po uzyskaniu dyplomu rozpocząłem wyprawę Canoandes-79, która w niespodziewany sposób zaważyła na moim życiu, także zawodowym. W konsekwencji wydarzeń politycznych w Pol-

sce, ja i moi koledzy osiedliśmy się w Stanach Zjednoczonych.

Motto osobiste

Wytrwałość i wiara, że dotarcie do celu, nawet bardzo odległego i trudnego jest

możliwe. Warto dać z siebie wszystko, żeby poczuć radość i satysfakcję z realizacji swojego marzenia i udowodnić samemu sobie, że tkwi w nas ogromna siła.

Motto zawodowe

Cieszyć się pracą i wyzwaniem. Z rodzinnego domu wyniosłem ogromny szacunek dla pracy, która daje nie tylko korzyści materialne, ale uczy, kształtuje, przynosi doświadczenie, daje satysfakcję, pozwala budować swoją wartość. Zwykle traktuję pracę i swoje obowiązki, jako ciekawe wydarzenia, które mnie nie męczą, ale cieszą.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu osobistym

Przede wszystkim, rodzina i dom, który stworzyliśmy w Stanach Zjednoczonych, z moją żoną Joanną Chmielińską, absolwentką Akademii Medycznej w Krakowie i doktorem nauk medycznych z The George Washington University w Waszyngtonie. Mamy dwóch wspaniałych synów, Maximiliana (20 lat), studenta Wydziału Mechanicznego na Virginia Polytechnic Institute and State University i Alexandra (14 lat), ucznia pierwszego roku szkoły średniej.

Osiągnięcie, do którego podchodzę w szczególny sposób, związane jest z Amazonką, przepłynięciem tej największej rzeki świata od jej źródeł w Andach do ujścia w Atlantyku. Wyprawę – za którą wpisany zostałem do Księgi Rekordów Guinnessa miałem okazję opisać w artykule „Kayaking



for. Małgorzata Musiół



the Amazon” opublikowanym w National Geographic, a Joe Kane, jej współuczestnik, w książce „Running the Amazon”. Ogromną satysfakcją było dla mnie wydanie tej książki w Polsce – *Z nurtem Amazonki*, która ukazała się w 1997 i 2002 roku.

Ważne osiągnięcia eksploracyjne to efekt ścisłego współdziałania grupy pasjonatów, jaką tworzyliśmy z kolegami z Klubu „Bystrze” przy AGH w ramach wyprawy Canoandes-79. Razem przepłynęliśmy wiele rzek północno i południowoamerykańskich, wiele z nich jako pierwsi w świecie. Wspólnie pokonaliśmy dotąd nie zdobyty Kanion Colca w Peru. Nasza wyprawa wpisana została do Księgi Rekordów Guinnessa, ale co najistotniejsze, przyczyniła się do przekształcenia tego obszaru w jedno z najbardziej atrakcyjnych miejsc w Peru, obok Machu Picchu i Cuzco.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu zawodowym

W Stanach Zjednoczonych zacząłem szkolić się w dziedzinie ochrony środowiska i higieny pracy, uzyskałem tytuł certyfikowanego specjalisty w zakresie higieny przemysłowej (Certified Industrial Hygienist – CIH). Za swój sukces uważam fakt założenia własnego przedsiębiorstwa HP Environmental. W ciągu 20 lat jego funkcjonowania na rynku mieliśmy okazję uczestniczyć w wielu przedsięwzięciach, w których naszym zadaniem było badanie i ograniczanie środowiskowych i zdrowotnych skutków skażeń powietrza, wody, gleby. Takie działania prowadziliśmy między innymi w World Trade Center po zamachach terrorystycznych w 1993 i 2001 roku. Zajmowaliśmy się również problemem skażeń bakteriami wąglika krótko po ataku Al-Quaidy w USA. Pomagamy w realizacji wielu inwestycji na terenie całych Stanów Zjednoczonych, choć głównie w rejonie naszej siedziby – Waszyngton, Virginia, Maryland. Inwestycje

te dotyczą budowy i renowacji budynków szkolnych, rządowych, usługowo-biznesowych itp., a naszą misją jest zagwarantowanie, aby były one bezpieczne dla środowiska i zdrowia człowieka.

Prywatnie

Moim hobby pozostaje kajakarstwo. Tą pasją zarazilem moich synów Maxa i Alexa. Za ich pośrednictwem grono pasjonatów tego sportu rozrosło się o ich szkolnych kolegów i koleżanki. Bakcyła kajakarstwa połąkni także niektórzy moi pracownicy, chętnie uczestniczący np. w naszych polskich corocznych spotkaniach z okazji Labor Day na Potomacu. Stało się już tradycją, że pierwszy wrześniowy weekend to święto kajakowania. Uczestniczą w nim już nie tylko mieszkający w USA członkowie Canoandes, przyjeżdżają przyjaciele z całego świata.

Nadal pociągają mnie podróże do nieznanymi miejsc. Za sprawą mojej siostrzenicy i jej zainteresowań starożytną chińską

porcelaną, w ubiegłym roku zwiedzaliśmy z rodziną Chiny, zahaczając o Tybet i podnóża Mount Everestu. Marzy mi się jeszcze podróż przez Syberię i wyjazd do Australii.

Wspomnienia z okresu studiów

Z okresu studiów wyniosłem jedną z najważniejszych w życiu nauk – przekazaną nam przez jednego z profesorów AGH prof. Zygmunta Drzymałę, na pierwszym albo drugim roku – efektywnie wykorzystywać czas i możliwości, które przed nami stoją, nie marnując żadnej godziny ani minuty, bo one przemijają bezpowrotnie. Profesorskie *carpe diem* towarzyszy mi do dziś.

Ważnym miejscem tego etapu mojego życia był akademik Straszny Dwór. Nasza „Trzynastka” była pierwszym krokiem w osiągnięciu samodzielności i niezależności, pierwszym stworzonym przez siebie domem. I to całkiem dobrze stworzonym, bo razem z moim przyjacielem, Józkiem Milewskim, wygraliśmy (kilkakrotnie) konkurs na najładniej i najciekawiej urządzonej pokój. Z trudem mieścił 10–12 osób, które często „wypełniały” tę niewielką przestrzeń, ale nie komfort się liczył, a wspaniała atmosfera i otoczenie przyjaznych osób. To było miejsce, do którego lubilem wracać.

Marzenia – prywatne, zawodowe

Jeśli chodzi o marzenia zawodowe, to chciałbym, aby HP Environmental rozwijało się tak, jak przez te 20 lat dotychczasowego istnienia: poszerzając zakres usług i grono klientów.

Prywatnie chciałbym mieć trochę więcej czasu na pływanie. Marzy mi się powrót do Ameryki Południowej z Maxem i Alexem, pływanie po górskich rzekach, dotarcie z nimi do Amazonki. Mam nadzieję, że uda nam się to zrealizować.



Józef Górny

**Radca Prezesa Najwyższej Izby Kontroli,
dyrektor Departamentu Administracji Publicznej**

Ukończył Wydział Odlewnictwa na kierunku odlewnictwo żeliwa (1973), a następnie w 1975 roku rozpoczął studia doktoranckie. Ich zwieńczeniem była obrona pracy doktorskiej w 1981 roku.

Motto osobiste

Im więcej dajesz tym więcej posiadasz.

Motto zawodowe

Jeśli coś robię, robię to najlepiej jak tylko potrafię.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu

Mam 62 lata, co oznacza, że dzień mego życia już się nachylił i ma się ku wieczorowi. Nic więc dziwnego, że coraz częściej spoglądam w przeszłość i dokonuję rozrachunku z własnym życiem. Jestem człowiekiem szczęśliwym i spełnionym, mimo, a może dlatego że życie mnie nie rozpieszczało. Nie potrafię i nie chcę dzielić mego życia na osobiste i zawodowe. Jestem człowiekiem szczęśliwym, gdyż każda praca, jaką wykonywałem, sprawiała mi wielką satysfakcję, a po jej wykonaniu mogłem odpocząć na łonie rodziny, która zawsze była dla mnie oparciem i szkołą lepszego człowieczeństwa (Jan Paweł II).

Przyszedłem na świat w Gilowicach położonych między przepięknym Beskidem Żywieckim i uroklivym Beskidem Małym. To tam jest mój rodzinny dom. Tam też w Szkole Podstawowej im. Tadeusza Kościuszki

moi wspaniali nauczyciele zaszczepili we mnie radość poznawania świata, w szerokim tego słowa znaczeniu, poprzez lektury. Moim podstawowym obowiązkiem domowym, praktycznie aż do matury, było pasienie krów. Wtedy uważałem to za coś strasznie, dziś za dar, dzięki któremu mogłem przeczytać tyle książek.

Czas nauki w Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Żywcu to rozpalenie zainteresowań historią i literaturą świata starożytnego. Odlewnikiem zostałem absolutnie z przypadku. Mimo zainteresowań humanistycznych zawsze marzyłem o studiach na Akademii Górniczo-Hutniczej, lecz nie mogłem zdecydować się jaki wybrać kierunek. Ostatecznie postanowiłem tego dokonać drogą losowania. Rzuciłem los i ten spośród, o ile dobrze pamiętam, dziesięciu ówczesnych wydziałów wskazał na Wydział Odlewnictwa. Zostałem studentem tegoż wydziału i wkrótce pokochałem odlewnictwo pierwszą młodzieńczą miłością i to z wzajemnością. Urzekła mnie też atmosfera panująca na moim wydziale, który mieścił się jeszcze na Krzemionkach.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu osobistym

W 1973 roku rozpocząłem pracę w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie, gdzie pracowałem kolejno na stanowiskach stażysty, metalurga, kierownika sekcji technologicznej i głównego odlewnika. Moje zainteresowania koncentrowały się głównie na wykonywaniu odlewów metodą wyciąpianych modeli. Z wielkim sentymentem wspo-



foto. arch. JG

minam moich szefów i kolegów inżynierów, w zdecydowanej większości absolwentów AGH. Od początku pracy zawodowej działałem w Stowarzyszeniu Technicznym Odlewników Polskich. W moim dorobku zawodowym jest kilkanaście projektów racjonalizatorskich, około 20 artykułów z dziedziny metalurgii i odlewnictwa opublikowanych w kraju i za granicą, a także współautorstwo trzech patentów.

Mój bezpośredni kontakt z odlewnictwem zakończył się w czerwcu 1990 roku, kiedy to zostałem wybrany na wiceprezidenta Rzeszowa, którą to funkcję sprawowałem do marca 1999 roku. W 1997 roku zostałem posłem na Sejm RP. Jako parlamentarzysta pracowałem w Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa jako jej wiceprzewodniczący oraz w Komisji Finansów Publicznych. Byłem posłem sprawozdawcą ustawy Prawo Ochrony Środowiska oraz kilku innych dotyczących prawa ekologicznego. Byłem jednym z inicjatorów utworzenia i następnie przewodniczyłem pracom Parlamentarnego Zespołu Odlewników.

W 2001 roku rozpocząłem pracę w Najwyższej Izbie Kontroli na stanowisku dyrektora generalnego, a w 2006 roku zostałem powołany na wiceprezesa NIK. We wrześniu 2011 roku, po wygaśnięciu powołania, zostałem mianowany radcą Prezesa NIK z jednoczesnym powierzeniem mi obowiązków dyrektora Departamentu Administracji Publicznej.

W trakcie mej pracy w Najwyższej Izbie Kontroli wróciłem do bliższych kontaktów z metalurgią i odlewnictwem. Nastąpiło to w dość niecodziennych okolicznościach. Kiedy w 2002 roku prof. Zbigniew Górny miał otrzymać tytuł Doktora Honoris Causa AGH, złożony poważną chorobą leżałem w szpitalu. Obawiając się, iż nie będę mógł wziąć udziału w tej uroczystości postanowiłem złożyć panu profesorowi gratulacje i życzenia na piśmie. Po uruchomieniu kompu-



foto. arch. JG

tera coś mi podpowiedziało, aby sięgnąć do Biblii i sprawdzić, czy nie znajdę w niej czegoś interesującego z zakresu metalurgii godnego zacytowania w moim piśmie. Oczywiście znalazłem, czego efektem było to, że pismo to liczyło bodajże pięć stron. Nie poprzestałem na tym i zaraz po wyjściu ze szpitala zacząłem studiować literaturę starożytną szukając w niej metali. Pasjonujące były te moje, głównie nocne, wyprawy w starożytny świat metali, a ich efektem jest licząca niemal 800 stron książka *Metale w literaturze świata starożytnego*, wydana przez mój macierzysty Wydział Odlewnictwa w grudniu 2010 roku. Obecnie pracuję nad książką pod roboczym tytułem *Metale w Biblii i apokryfach*.

Prywatnie

Moje hobby to muzyka klasyczna, literatura, turystyka górską (60. urodziny uczciłem wejściem na Kilimandżaro – 5895 m.n.p.m.) oraz rowerowo (rocznie przejeżdżam od 6 do 10 tysięcy km). Jestem człowiekiem spełnionym, gdyż ożeniłem się (żona Waleria jest lekarzem stomatologiem), mam trzech synów: Bartłomieja, Marcina i Łukasza, dwie synowe: Madzię i Halszkę oraz piątkę wnucząt: Kasię, Kamilkę, Dominika, Mateusza i Michała, wybudowałem dom, posadziłem kilkadziesiąt drzew. Wielką radość sprawił mi syn Marcin, także absolwent i pracownik Wydziału Odlewnictwa AGH, który 17 października 2011 roku uzyskał na macierzystym wydziale tytuł doktora habilitowanego.

Wspomnienia z okresów studiów

Jakże wspaniałych miałem profesorów, luminarzy i legendy polskiego odlewnictwa. Czy ktoś pokusi się, aby spisać wszystkie o nich anegdoty, aby opisać ich uroczę działości nadające wydziałowi niepowtarzalny urok i koloryt? Ileż kunsztu musieli wykazać, aby w nasze oporne, nie o nauce myślące wówczas głowy, wtłoczyć wiedzę.

Po jedenastu semestrach wspólnej męczarni (o, gdybyż choć na chwilę mogły wrócić te czasy!) pojąłem wreszcie czym jest odlewnictwo, na czym ono polega i w czym przejawia się jego piękno, ale jednocześnie ile jeszcze w nim tajemnic.

Chciałbym jeszcze wrócić na chwilę do niepowtarzalnej atmosfery panującej na moim Wydziale Odlewnictwa. Myślę, że bardzo dobrze odda ją opis zdawania przede mnie dwóch egzaminów poprawkowych po... 37 latach. A było to tak:

Na początku 2008 roku, podczas kolejnej wizyty na wydziale (kiedykolwiek jestem w Krakowie zawsze odwiedzam mój wydział, aby pooddychać powietrzem młodości) spotkałem na korytarzu prof. Czesława Podruckiego. Po przywitaniu i krótkiej rozmowie coś podkusiło mnie, aby (w żartach



for arch. JG

oczywiście) wyznać profesorowi, że mam do niego żal za wpisanie mi w indeksie z egzaminu z Metalurgii i odlewnictwa żelaza oceny dobrej, podczas gdy tak bardzo zależało mi na otrzymaniu oceny bardzo dobrej z tego przedmiotu. Przypomniałem też okoliczności jak do tego doszło. Otóż w trakcie egzaminu profesor, znany purysta językowy, wypowiedziane przeze mnie że poprawiał na iż, jeżeli na jeśli, dlatego i więc na przeto itd. Po kilku minutach marzyłem już tylko o tym, aby ten koszmar językowy się zakończył. Musiałem jednak odpowiadać i tak nieźle, skoro otrzymałem czwórkę, o co u profesora nie było łatwo. Ku memu zaskoczeniu profesor powiedział, abym przy najbliższej okazji zjawił się u Niego z indeksem. Potraktowałem to jako żart, ale... gdy kilka miesięcy później wybierałem się do Krakowa przeźornie zabrałem z sobą indeks. Wchodząc do budynku wydziału spotkałem pana profesora, co było wydarzeniem niezwykle szczęśliwym, gdyż liczący wówczas 84 lata profesor rzadko zjawiał się na wydziale. Po zameldowaniu gotowości przystąpienia do egzaminu poprawkowego pan profesor poprosił mnie do swego gabi-

netu, gdzie, po krótkiej rozmowie na temat odlewnictwa, poprawił mi ocenę na bardzo dobrą. Gdy uradowany wychodziłem z Jego gabinetu spotkałem profesora Jana Lecha Lewandowskiego, którego też poprosiłem o umożliwienie mi zdawania egzaminu poprawkowego z materiałów formierskich.

W pierwszym terminie, co miało miejsce 4 czerwca 1971 roku otrzymałem ocenę ponad dobrą (4,5). Profesor zaprosił mnie do swego gabinetu i przy kawie (mocnej i smacznej, ale małej, bo jakaż mogła być zaserwowana w Krakowie) porozmawialiśmy sobie o współczesnym odlewnictwie. Rozmowa musiała usatysfakcjonować profesora, gdyż poprawił mi ocenę na bardzo dobrą. Dopiero w trakcie wpisywania tej oceny zorientowałem się, że działo się to 4 czerwca 2008 roku, a więc dokładnie, co do dnia, 37 lat po pierwszym egzaminie. Czy znajdzie się w świecie druga taka uczelnia, z takim wydziałem, na którym byłoby możliwe zdawanie egzaminu poprawkowego po 37 latach? Czy znajdzie się drugi taki student, który taki egzamin, a ściślej dwa egzaminy, by zdał? Więc: Vivat Academia! Vivant Professores!

Józef Hojda

Król Kurkowy Miasta Krakowa, prezes Budrum

Ukończył Wydział Organizacji i Zarządzania Przemysłem (1980).

Motto osobiste

Nie jest ważne co mówią, bo będą mówili różnie, ważne żebyś wiedział co robisz.
Pomóż drugiemu, to i Tobie lżej będzie.

Motto zawodowe

Dzisiaj jest owocem przeszłości i źródłem przyszłości.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu osobistym

Mam czwórkę wspaniałych dzieci, z których dwoje, Andrzej i Kasia, ukończyli studia na Wydziale Zarządzania AGH. Joasia i Józef uczą się jeszcze w gimnazjum, aby w przyszłości również studiować w AGH.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu zawodowym

W pracy zawodowej największym sukcesem jest to, że odcisnąłem trwały ślad na Ziemi w postaci rozbudowy pięknego Krakowa. W całości, pod moim kierownictwem jako inwestora, wybudowane zostało osiedle Mistrzejowice Wschód – przy ul. Ks. Kardynała Sapiehy, W. Korfantego, R. Dmowskiego, Ks. Mazanka, osiedle Srebrne Orły – przy ul. Orła Białego, J. Zawieyskiego, Korony Polskiej, Budziszynskiej, Zjazdu Gnieźnieńskiego oraz 3 budynki przy ul. Kuźni-

cy Koflątajowskiej i na Prądniku Czerwonym przy ul. Felińskiego oraz część zabudowy Wzgórz Krzesławickich.

Bardzo dużym moim osiągnięciem jest to, że po wielu latach pracy udało mi się osiągnąć rzecz bardzo ważną, spowodować, że teraz w grupie firm Budrum Euro-Invest pracują ludzie na wysokim poziomie zawodowym i moralnym, dotyczy to również grupy firm, które z nami właściwie na stałe pracują. Dlatego u nas panuje atmosfera spokoju i zaufania, bardzo dobrze się z takimi ludźmi pracuje.

Prywatnie

Jestem Królem Kurkowym w Krakowie. Wcześniej nie przypuszczałem, że godność ta cieszy się w Krakowie tak wielką sympatią, jest to bardzo miłe. Jestem mocno zaangażowany w działalność Bractwa Kurkowego, między innymi z mojej inicjatywy powstał pomnik J.I. Paderewskiego w Parku Strzeleckim, którego jestem fundatorem. Odbudowuję również domek w tymże Parku, który będzie darem Króla dla Bractwa. Jako Król reprezentuję Bractwo w kraju i za granicą. Spotkań, na które jestem zapraszany jest tak wiele, że niestety w czasach muszę odmawiać i przepraszać.

Jestem związany od dawna z górami. Wcześniej z PTTK, a teraz z Klubem Wysockogórskim Zakopane. Wspieram ten klub, szczególnie narciarstwo wysokogórskie – jest to bardzo trudny sport, bo jazda na nartach w wysokich górach poza trasami wymaga wielkiej umiejętności.



foto. arch. JH

Byłem we wszystkich wysokich górach świata, trzykrotnie w Himalajach, np. ostatnio na Mera Peak (6645 m n.p.m.) z Maćkiem Berbeką, czołowym himalaistą i wysokogórcem. Mera Peak leży na wschód od Everestu, a teren ten jest bardzo rzadko odwiedzany, dziki. Do ataku na Merę trzeba wędrować około 2 tygodni. My w ramach aklimatyzacji odprowadziliśmy do Nanche Bazar (4300 m n.p.m.), stolicy Sierpów, uczestników wyprawy na Kala Pattar pod Everestem, następnie wróciliśmy do Lukli i przez przełęcz przedostaliśmy się do doliny górskiej rzeki toczącej białą wzburzoną wodę z lodowców himalajskich. Wzdłuż tej rzeki szliśmy w górę, do szczytów. Do przełęcz dokuczał nam jeszcze monsun. Właśnie tam mnie i Maćkowi nogi zaatakowały dzugi (pijawki himalajskie). Niestety, ale obydwaj, nieraz nawet powyżej 5000 m n.p.m., przy zimnie, szliśmy w sandałach. Nawet Sierpowie ubierali buty, a my nadal w sandałach. Jak usłyszycie, że w Tatrach na grani po śniegu szedł facet w sandałach to bez wątplenia któryś z nas.

Po dzugach na drugi dzień ubraliśmy buty, lecz Maćkowi but się zakrwawił, więc w ruch poszły z powrotem sandały. Dalej było spokojnie do bazy na 4800 m n.p.m., do następnej bazy na 5900 m n.p.m., jak zwykle na pięciu tysiącach dostawałem „szfunga”. Mogę iść pod górę nawet 5 godzin bez zatrzymania. Kiedy się znacznie oddaliłem Sierpowie wysokośćowi chcieli mnie dojsć, ale ja jeszcze przyspieszyłem.



foto. arch. JH

W ataku szczytowym, który zaczyna się o 2:00 w nocy z 12-osobowej grupy na szczyt Mera Peak weszliśmy w trójkę: ja, Maciej Berbeka, Zofia Cybulska. Cała trójka z Klubu Wysokogórskiego Zakopane. U góry były trudne warunki, padał śnieg. Dobrze, że w dniu ataku szczytowego przestało padać, bo nie musieliśmy czekać na poprawę pogody.

Góry są piękne, ale ja jestem ciekawy świata, byłem już w co bardziej interesujących miejscach. Zaskoczyły mnie np. Indie, gdyż oczekiwałem, że tamtejsi zębracy, ludzie którym żyje się ciężko są bardzo pokorni, grzeczni, a tymczasem są oni po prostu bardzo źli. Tylko nie wiem czy są źli dlatego, że są biedni, czy są biedni, bo są źli. Oprócz tego i ogólnego bałaganu zdziwiło mnie to, że nawet w stolicy Delhi nie przestrzega się przepisów ruchu drogowego, na skrzyżowaniach nikt nie widzi świateł, nie widzi również policjanta usiłującego kierować ruchem. Policjant jest w stanie skutecznie regulować ruch wtedy, gdy bambusowym kijem szturchnie lub wprost przywali np. ryksiarzowi.

Jest wiele ciekawych rzeczy, które warto zobaczyć, chociażby po to, aby się przekonać, że na świecie najpiękniejsza jest Polska, z miast Kraków, a z uczelni AGH.

Wspomnienia z okresu studiów

Czasy, w których studiowałem były inne. Wydział Zarządzania dopiero powstał, zajęcia odbywały się w budynkach przy Alei Mickiewicza. Dopiero gdy byłem na 3 roku studiów uruchomiono budynek przy ul. Gramatyka 10.

Bardzo ciepło wspominam prof. Zbigniewa Łuckiego, był on nie tylko wykładowcą, ale i przyjacielem. Jego mottem według mnie było: „ta uczelnia oszustów nie kształci”. Tępił każdą nieprawdę, naciąganie i podobne mało honorowe rzeczy, a więc oprócz rachunku prawdopodobień-

stwa i statystyki uczył, jak być człowiekiem porządnym. Obecnie często przytaczam jako dobry przykład jego sposób widzenia świata. Najpierw uczył pokory, prawego postępowania i dyscypliny. Jak to zostało u profesora zaliczone, to resztę już zdać

się musiało, bo ze studentem, któremu nie szło - materiał przerabiał indywidualnie, rozdział po rozdziale, póki student się nie nauczył. Miał czas i cierpliwość.

Marzenia – prywatne, zawodowe

Tak naprawdę mam tylko sprawy do zrobienia i jeżeli mam na nie wpływ to je robię. Prywatnie chciałbym, aby moim dzieciom się wiodło, a w pracy, aby to co wyprodukujemy (wybudujemy) przynosiło kupującym zadowolenie i radość, a jak to są mieszkania, aby gościło w nich szczęście.

Czasem, a szczególnie w okresie Bożego Narodzenia, gdy w domach jest ciepło, są choinki, lubię przejechać się powoli ulicami, przy których budowaliśmy. Wspominam wtedy jak tu topiliśmy się w błocie, jak po pustych polach wiatr tylko hulał. Patrzę wtedy po oknach i z głębi duszy życzę wszystkim mieszkającym tam wszelkiej pomyślności.

Kadrze uczelni życzę osiągnięć naukowych i pedagogicznych. Studentom życzę, aby osiągnęli to, po co na AGH przyszli.

Do zobaczenia w wielkiej gospodarce.



for. arch. JH



for. arch. JH

Andrzej Laszczyk

Prezes Zarządu Polskich Kolei Linowych SA

Jest absolwentem Wydziału Wiertniczo-Naftowego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, kierunku Wiertnictwo, specjalności Wiercenie międzyzłożowe (1976). W 1980 roku ukończył studium podyplomowe z zakresu eksploatacji lin stalowych.

Motto osobiste

Sztuka życia – to cieszyć się cudzym szczęściem.

P. Bosmans

Są dwa sposoby na życie:

Pierwszy, to żyć z myślą, że cudów nie ma.

Drugi, to żyć myśląc, że wszystko jest cudem.

A. Einstein

Motto zawodowe

Każdą pracę traktować jak hobby, pracować tak, aby zostawić po sobie pozytywny ślad.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu osobistym

Praca zawodowa jest moim hobby. Prowadzę firmę, w której staram się zachować z pracownikami stosunki koleżeńskie. Współpracuję z zespołem ludzi, na których zawsze mogę liczyć. Jest to podstawa do sukcesu i satysfakcji. Jednak moim szczęściem i sukcesem jest moja rodzina: żona Anna, dwóch dorosłych synów Piotr i Tomasz, którzy również ukończyli Akademię Górniczo-Hutniczą i oczywiście córka, która

niedawno ukończyła Akademię Sztuk Pięknych. Jest wielką radością patrzeć, jak dzieci się usamodzielniają, jak tworzą swoje rodziny, jak dorastają wnuki. Dlatego to co udało mi się dokonać zawodowo zawdzięczać rodzinie, bo wśród najbliższych mogę „ładować swoje akumulatory” do działania.

Najważniejsze osiągnięcia w życiu zawodowym

Po ukończeniu studiów, przez krótki okres pracowałem w Kopalni Węgla Kamiennego „Nowy Wirek”. Ze względów osobistych przenieśliśmy się do rodzinnych stron żony – Kościeliska koło Zakopanego. Od 1979 roku pracuję w Państwowych Kolejach Linowych, a od 2000 roku po przekształceniu w spółkę z o.o., a następnie spółkę akcyjną w Polskich Kolejach Linowych. Pracując w PKL przeszedłem wszystkie szczeble zawodowe. Od 2000 roku pełnię funkcję Prezesa Zarządu PKL SA. Podstawową działalnością firmy są kompleksowe usługi w zakresie turystyki górskiej związanej głównie z realizacją przewozów kolejami linowymi. Spółka od wielu lat konsekwentnie realizuje politykę inwestycyjną głównie ekspansji na nowe obszary oraz dalszy rozwój usług towarzyszących.

Chociaż zbliżam się do okresu zawodowego, w którym powoli trzeba wprowadzać następcę, to nieustannie mam marzenia – pomysły, które chciałbym zrealizować.

Projekt, który ciągle czeka na realizację to dokończenie w taki sposób modernizacji narciarskiego rejonu Kasprowego



fort.arch.AL

Wierchu, aby przez co najmniej 6 miesięcy, bez względu na opady śniegu, narciarze mogli korzystać z uroków tego pięknego obszaru, który stanowi zaledwie 0,2% powierzchni Tatr Polskich. Jednak istniejące ograniczenia administracyjne – w Polsce bardziej rygorystyczne niż w Unii Europejskiej – skutecznie blokują realizację minimalnego programu stwarzającego europejskie warunki jazdy na nartach. Pomimo tych barier udało się zrealizować, z twórczą załogą PKL, wiele projektów, które osiągnęły konkretne efekty ekonomiczne. W ciągu ostatnich 10-ciu lat majątek firmy wzrósł prawie czterokrotnie. Do zasadniczych realizacji można zaliczyć:

- Budowę czteroosobowej kolei linowej w kotle Gąsienicowym w miejsce starej jednoosobowej w 2000 roku, która pomimo trudnych warunków górskich oraz prowadzenia budowy na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego, została wybudowana w zaledwie 202 dni. Obecnie Kolej Linowa Gąsienicowa jest jedną z najnowocześniejszych kolei w Polsce, zapewnia nie tylko komfort w przejazdach, ale ze względu na swoją dużą przepustowość 2400 os./godz. pozwala na przejazd bez oczekiwania w kolejce.
- W 2001 roku dokonano: kompleksowej przebudowy kolei linowo-terenowej Gubałówka, wymiany całej technologii kolei, wykonano nowe torowisko. Było to niezwykle trudne zadanie, które zakończyło się sukcesem, po 112 dniach budowy ruszyła całkowicie nowa kolej, w tym momencie była jedną z kilku najnowocześniejszych kolei na świecie.
- Budowę od podstaw nowego ośrodka turystyczno-narciarskiego na górę Żar w Międzybrodziu Żywieckim w 2003 ro-



fort.arch.AL

ku. Powstała tutaj kolej linowo-terenowa wykorzystująca nie zużyte elementy z budowy kolei na Gubałówkę, zmodernizowano napęd, wagony, jak i wykorzystano podkłady do budowy torowiska. Wybudowano od podstaw dwie stacje kolei, trasę narciarską z infrastrukturą zaśnieżania i oświetlenia, kolej dla ruchu pasażerskiego została udostępniona w lutym 2004 roku.

- Modernizację kolei linowej na Palenicy w Szczawnicy. 17 grudnia 2005 roku nastąpiło uruchomienie komfortowej, czteroosobowej, wyprężanej kolei krzeselkowej. W tym samym czasie został wybudowany kolejny, czwarty wyciąg orczykowy na Polanie Szafranówka, którego podstawowym celem jest dowóz narciarzy i snowboardzistów do oświetlonej trasy narciarskiej Palenica II.
- Modernizację kolei linowej na Kasprowy Wierch, na którą to po 12 latach starań uzyskano pozwolenie na budowę.
- Zakup w sierpniu 2010 roku Mosornego Gronia w Zawoi i uruchomienie go dla narciarzy, było to zadanie bardzo trudne po latach rabunkowej eksploatacji. W ciągu dwóch miesięcy wykonaliśmy nowoczesny w pełni zautomatyzowany system śnieżenia.

Szczególne wspomnienia z okresu studiów w AGH

Okres studiów, mimo że były to lata 70-te, trudne politycznie, wspominam pozytywnie przede wszystkim dlatego, że było mi dane poznać wielu wspaniałych ludzi. Przez dwa lata byłem starostą roku, a po połączeniu ZMS-u z ZSP zrezygnowałem z pełnienia tej funkcji. Był to okres nauki, ale również zabawy i niezapomnianej przygody. Bardzo miło wspominam wykłady z nestorem wiert-



nictwa prof. J. Cząstką, jak i dr. Kochanem z geometrii wykreślnej, czy doc. S. Kormanem z mechaniki i oczywiście prof. S. Stryczką, który najpierw był opiekunem mojego roku, potem wykładowcą z wiertnictwa, a teraz jesteśmy dobrymi kolegami.

Kontakty z AGH utrzymuję nieustannie, co prawda bardziej z Wydziałem Inżynierii Mechanicznej i Robotyki z dziekanem prof. J. Kowalem, gdzie jestem członkiem Społecznej Rady Wydziału. W 2007 roku uhonorowany zostałem odznaką „Zasłużony dla Wydziału IMiR AGH”.

Od wczesnych lat 50-tych PKL współpracuję z AGH. To na tej uczelni są twórczo rozwijane metody badania lin stalowych. Bardzo wiele na ten temat nauczyłem się od prof. Stachurskiego i prof. Kaweckiego, których zawsze bardzo miło wspominam. W dalszym ciągu korzystamy z konsultacji w Katedrze Transportu Linowego u prof. M. Wójcika, który jest dla naszej firmy skarbnicą wiedzy. Badania nieniszczące wszystkich elementów wpływających na bezpie-

czeństwo eksploatacji kolei linowych, przed modernizacją kolei na Kasprowy Wierch wykonywał prof. Skorupa.

Prywatnie

Staram się pamiętać o zachowaniu równowagi między życiem zawodowym a prywatnym. Jest to trudne, ale udaje się spełnić marzenie o podróżach tych w dalekie kraje, gdzie można poznać tradycje i kulturę innych ludzi i podziwiać przyrodę dziką i piękną. Bardzo lubię wspólne rodzinne i z przyjaciółmi wycieczki w najpiękniejsze góry świata – Tatry, gdzie jesienne i zimowe krajobrazy są niepowtarzalnie najpiękniejsze. Zimą staram się jeszcze „poślizgać” na nartach na naszej „świętej górze narciarzy polskich”. W spokojne wieczory lubię słuchać muzyki mojej młodości: Beatlesów, Nat King Colea, Ray Charlesa, czytając W. Łysiaka i nie tylko.

☞ dział „Sylwetki” redaguje Małgorzata Krokoszyńska

Z CYKLU: ZAGRANICZNE KARIERY ABSOLWENTÓW AGH

Już nie tam, a jeszcze nie tutaj...

Wywiad z Wojciechem Szczypiorskim – Manager Materials Technology / Chief Metallurgist of HAZELT Strip-Casting Corporation, Colchester, Vermont, USA

Wacław Muzykiewicz: Wojtku, jeśli dobrze pamiętam, to wyjechaliście z Renatą do USA w 1981 roku. Był to szczególnie czas w Polsce. Byliście zaledwie kilka lat po studiach, u progu zawodowego życia. Mówię byliśmy, bo razem studiowaliśmy na Wydziale Metali Nieżelaznych AGH. Z Twoją żoną Renatą byłem nawet w jednej grupie, kończyliśmy tę samą specjalność. Jak z perspektywy tych minionych trzydziestu lat oceniasz (oceniacie) tę swoją radykal-

ną decyzję? Pracowaliście wtedy w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi (tak się w tamtym czasie nazywała firma KGHM „Polska Miedź” SA), w budującej się wtedy i rozwijającej Hucie Miedzi „Cedynia” w Orsku, w wyuczonym zawodzie. Dziś bywa, że jest to marzenie nie do spełnienia młodego magistra inżyniera...

Wojciech Szczypiorski: Po trzydziestu latach pobytu w USA, w naszym przypadku to dłużej niż mieszkaliśmy w Polsce, nie po-

winno być wątpliwości co do wyboru miejsca zamieszkania. I my takiego dylematu nie mamy. Miejsce, które wybraliśmy na drugą połowę naszego życia jest szczególnie piękne, z zielonymi górami i pięknymi, czystymi jeziorami. Mieszkamy w stanie Vermont, położonym na granicy z kanadyjską prowincją Quebec. Jest to mały stan, który ma około 600 tysięcy stałych mieszkańców. Niektórzy mówią, że mieszkańców jest mniej więcej tyle samo co krów. Druga (mniejsza) Szwajcaria.

Jak dla wielu ludzi naszego pokolenia, którzy wyjechali za granicę w latach osiemdziesiątych, wyjazd oznaczał rozdzielenie rodzin i niepewną przyszłość. My mieliśmy szczęście wyjechać razem, tzn. Renata, nasz dwuletni syn Kuba i ja. Nasze najbliższe rodziny pozostały w kraju, co w tamtych czasach oznaczało niepewność możliwości spotkań, ograniczone możliwości porozumiewania się itd. Ta sytuacja trwała do 1989 roku. Nie był to łatwy okres ani dla nas, ani dla naszych rodzin w Polsce.

Aklimatyzacja w nowym kraju to jest proces dosyć skomplikowany. Znajomość książkowego języka z pewnością pomaga, ale to jest tylko początek długiej drogi asymilacji do miejsca, o którym nie wiedzieliśmy wiele przed przyjazdem. Zmiana reguł życia to jest zdecydowany szok nawet dla młodego, 27 letniego człowieka. Nawet małe, bzdurne na pierwszy rzut oka, wymogi tutejszej społeczności były dla nas dziwne. Tutejszy *savoir vivre* wymagał na przykład, aby zadzwonić i oznajmić wizytę u kogoś, nawet na bardzo krótki okres czasu. Rzadkie są przypadki, że ktoś „wpada” na pogawędkę bez uprzedniego zapowiedzenia się przez telefon.

...to, co u nas co najwyżej się zdarzało, tam doświadczyliście jako obyczajową normę.

W tym przypadku tak. Oczywiście, to nie był największy problem z jakim spotkaliśmy się w USA, ale jeden z pierwszych objawów innego życia, do którego przyjdzie nam się przyzwyczaić w przyszłości.

Pierwsze miesiące pobytu w USA to z pewnością niepokój o przyszłość, potrzeba zaspokojenia stabilności młodej rodziny, niepokój o rodzinę w kraju. Wszystko w tym samym czasie. Sprawy imigracyjne były na pierwszym miejscu, bo były bardzo trudne do załatwienia i jednocześnie niezbędne do spokojnego, stabilnego życia. O pracę nie musieliśmy się martwić, bo firma amerykańska, z którą współpracowałem w Polsce, zaoferowała mi pracę, którą wykonuję do dzisiaj.

Kilka miesięcy po naszym przyjeździe do USA ogłoszono w Polsce stan wojenny, co skomplikowało nasze kontakty z rodzinami w kraju i z pewnością zdecydowanie pogorszyło nasze samopoczucie. Były to najbardziej „chwijne” chwile naszego życia w USA.

Jak zostaliście przyjęci w nowym środowisku?

Na samym początku pobytu nie mogliśmy się nadziwić przychylności ludzi, uśmiechów i przyjaznych gestów. Dlaczego mówią „Hi” do nieznanych im osób na ulicy i dlaczego się do nich uśmiechają? Dziwiło to również naszych gości, którzy przyjeżdżali w odwiedziny z Polski. Muszę przyznać, że jest to miły zwyczaj i warto by go przyjąć w Polsce. Rozchmurzmy się trochę!

My tak mamy na szlakach turystycznych, a przynajmniej tak było (ostatnio zaniedbałem górskie wędrówki, nad czym bardzo ubolewam).

Tutaj muszę zaznaczyć, że Amerykanie w naszym stanie zawsze byli bardzo mili i pomocni, szczególnie w początkowym okresie aklimatyzacji. Dowcipy polskie były rzadkością i zapewne rodzajem „topienia pierwszych lodów” w nawiązywaniu stosunków raczej niż poniżania nas jako Polaków. Prawdopodobnie były one pozostałością emigracji Polaków na przełomie XIX i XX wieku.

Na ile pomocne w Stanach okazały się Twoje doświadczenia zawodowe, wywiezione z Polski?

Doświadczenie zawodowe w Polsce bardzo szybko przydało mi się w nowym środowisku. Firma amerykańska, od której kupiliśmy maszynę odlewniczą dla huty w Orsku, nie miała ludzi doświadczonych w jej użytkowaniu. Ja przyjechałem ze świetnym dorobkiem doświadczeń i gruntowną wiedzą otrzymaną na AGH, bez której nie miałbym większych szans na szybką karierę w nowym kraju.

Wiedza, jak się okazało, mówi wieloma językami i przelamuje bariery lingwistyczne i kulturowe. Bardzo szybko moja nowa firma przekonała się do wartości polskiej nauki i doświadczenia zawodowego i moja „kariera” zaczęła szybko nabierać rozpędu. To były bardzo ekscytujące momenty, szczególnie dla młodego Polaka, który znalazł się w wielkim świecie, rzucony na głębokie wody.

A co z Renatą?

Renata, jak już wspomniałeś, też absolwentka AGH, wkrótce poszła w moje ślady i rozpoczęła pracę w tej samej firmie jako metaloznawca i szefowa laboratorium.

Wniosek z naszego doświadczenia jest bardzo oczywisty. Gruntowne wykształcenie jest podstawą sukcesu i z pewnością międzynarodową walutą, wymienialną na całym świecie.

Dobrze, żeby te Twoje słowa wzięli sobie do serca młodzi nasi koledzy, dzisiejsi i przyszli studenci.

AGH była bardzo wymagającą uczelnią, ale przez to profesjonalne życie stało się łatwiejsze. Ja zawsze myślałem o AGH jako o „polskim MIT” i w dalszym ciągu tak myślę.

Od początku pobytu w USA pracujecie w tej samej firmie. W środowisku metalurgów Hazelett Strip Casting Corp. jest firmą znaną. Może powiesz kilka słów dla szerszego grona naszych czytelników?

Zakład, w którym Renata i ja pracujemy zatrudnia około 150 osób. Jest to wyspe-



foto: arch.WS

cializowany zakład w produkcji dwutaśmowych maszyn do odlewania aluminium, cynku, miedzi, ołowiu i stali. Stal była odlewana tylko w projektach doświadczalnych.

Hazelett Strip Casting Corp. istnieje w obecnym miejscu już ponad 50 lat. Jego właściciel (zmarł latem 2010) przeniósł zakład z Connecticut do Vermont, żeby mógł używać naturalnego środowiska, które Vermont oferuje. Góry (wiele ośrodków narciarskich w zasięgu kilkudziesięciu kilometrów), piękne jezioro Lake Champlain, które oferuje sporty wodne w lecie i wiele rozrywek zimą, włącznie z łowieniem ryb pod lodem, bojerami, jazdą pojazdami śniegowymi itd.

W kolumnie minusowej jest długa i zazwyczaj mroźna zima. Zwykle w lutym, kiedy większość ludzi ma już dosyć zimy, część z nich wyjeżdża na urlopy do cieplejszych zakątków, z których najpopularniejszym wydaje się być Floryda. Popularnymi miejscami są również Meksyk i Wyspy Karaibskie. Urlopy te służą jako przerwiny zimy i z pewnością poprawiają samopoczucie. Okres lutego to tzw. „cabin fever”, czyli gorączka zamkniętego pomieszczenia, kiedy ludzie mają dosyć zimy, krótkich dni i gotowi są na słońce i ciepło. Ale niewielu jest takich, którzy narzekają na życie w Vermont.

Wracając do naszego życia zawodowego, jest to wielka przygoda, ponieważ wszystko to co robiliśmy przez lata pracy w Hazelett to nieustanne ulepszanie procesu i robiąc to, pisaliśmy nowy rozdział historii procesu odlewania na dwutaśmowej maszynie. Ponieważ jest to technologia raczej nietypowa i ograniczona do naszej firmy, więc wszystko co jej dotyczy zostało wymyślone tutaj.

Wyobraź sobie, że po raz pierwszy doiedziałem się o technologii firmy Hazelett na wykładzie podczas studiów na Metalach Nieżelaznych. Nie pamiętam już dzisiaj, któ-



W tle – najnowocześniejsza dwumetrowa maszyna odlewnicza

for arch. WS

ry z profesorów poruszał temat ciągłego odlewania w tamtym czasie, ale wydaje mi się, że był to prof. Iwanciw.

To kolejny dowód na to, że nie były nam całkiem obce nowoczesne rozwiązania technologiczne w dziedzinie, którą studiowaliśmy... A czy mógłbyś coś powiedzieć o swoich osobistych osiągnięciach w firmie?

Jednym z pierwszych osiągnięć po moim przyjeździe do firmy były powłoki ceramiczne na taśmy odlewnicze maszyny. Były to wczesne lata osiemdziesiąte, kiedy zainteresowałem się precyzyjną kontrolą krzepnięcia aluminium i jego stopów, a później innych metali odlewanych na maszynie Hazelett. Pierwszy odruch większości inżynierów był raczej oczywisty: jak można zastosować ceramikę na giętkie taśmy? Jak się okazało, był to jeden z tych przypadków, kiedy większość mówiła, że tego nie da się zrobić, a ktoś o tym nie wiedział, że się da i to zrobił.

Jestem autorem i współautorem kilku kluczowych patentów, które znacznie poprawiły proces odlewania. Pomysły były głównie oparte na gruntownym przemyśleniu procesu krzepnięcia metali i ich stopów między dwiema poruszającymi się taśmami. Jak sobie można wyobrazić, jest to zadanie dosyć trudne. Maszyny te pracują w niektórych przypadkach po kilka dni bez przerywania odlewu, nawet podczas zmiany stopów. Oznacza to, że jakość odlewu musi być taka sama w pierwszym jak i ostatnim dniu, a osiągnięcie tego celu wymaga stabilności komponentów krystalizatora.

Ulepszanie procesu trwało i trwa nadal, bo jest to przysłowiowa „studnia bez dna”.

Dla inżynierów jest to prawdziwy raj, szczególnie dlatego, że firma daje wolną rękę na wszelkiego rodzaju projekty. Ta filozofia firmy pozwoliła na szybki rozwój technologii, która jest szeroko stosowana na całym świecie do produkcji taśm aluminiowych, drutu miedzianego, taśmy ołowianej na akumulatory, taśmy cynkowej, taśmy miedzianej i anod miedzianych. Próby z odlewaniem stali były również udane, ale nie mamy obecnie pracujących komercyjnych instalacji.

Zastugą Renaty i moją w firmie jest z pewnością wypracowanie modelu krzepnięcia stopów. Model ten był podstawą do modyfikacji naszego podejścia do pokrycia taśm. Zwieńczeniem naszej pracy były z pewnością powłoki ceramiczne na taśmy odlewnicze.

Proces przygotowania i pokrywania taśm jest technologicznie zaawansowany. Pokróćce, wymaga on specyficznej chropowatości (tekstury) powierzchni taśmy, na którą nakładane są warstwy metaliczne i ceramiczne za pomocą plazmy lub palników acetylenowo-tlenowych. Bardzo technologicznie interesujący proces. Został wdrożony w latach osiemdziesiątych i jest usprawniany w miarę nabywanych doświadczeń. Prawie trzy dekady później proces ten jest ciągle bardzo ważnym składnikiem naszej technologii.

Inny ciekawy wynalazek, to użycie helu w celu modyfikacji (przyśpieszenia) procesu krzepnięcia. Prosty w zastosowaniu, ale wymagający dobrego zrozumienia procesu krzepnięcia. Wiele innych wynalazków było rezultatem naszej pracy nad metalurgią procesu. Pracujemy obydwoje nad wdraża-

niem nowych materiałów, które pozwalają na ciągły postęp technologii.

Oprócz patentów, napisałem i wygłosiłem wiele referatów o procesie Hazelett, większość z nich napisanych z pomocą Renaty. Dużo mógłbym mówić o naszej technologii i naszym wpływie na jej rozwój, ale detale, jakkolwiek pasjonujące, lepiej chyba pozostawić na uniwersyteckie wykłady i referaty.

W minionych latach sam kilkakrotnie zapraszałem cię na nasz wydział. Zawsze chętnie przyjmowałeś zaproszenie, a twoje wykłady zawsze były bardzo interesujące.

Wojtku, wasze instalacje – maszyny Hazeletta pracują w bardzo wielu zakątkach kuli ziemskiej, w różnych krajach. Jak to się przekłada na twoją pracę? Wiem, że bardzo dużo podróżujesz...

Obecnie Hazelett Strip-Casting Corp. ma ponad 80 maszyn pracujących w 30 krajach. Jak sobie możesz wyobrazić, wymaga to ciągłych kontaktów z klientami, co wiąże się również z wyjazdami. W ostatnim czasie firma przechodzi przez najszybszy okres rozwoju od momentu mojego przyjazdu. Zdecydowanie technologia osiągnęła akceptację światową i jako członek zespołu, który doprowadził tę technologię do tego punktu, jestem oczywiście dumny.

Było zawsze moim marzeniem, żeby zwiedzać świat. Było to jednak trudne jak mieszkałem w Polsce. Moje marzenia spełniły się z nawiązką. Patrząc wstecz 30 lat, czyli od momentu przyjazdu do USA, chyba łatwiej byłoby mi powiedzieć gdzie nie byłem raczej niż gdzie byłem. Nawet urząd paszportowy zauważył wysoką częstotli-

wość moich podróży i wydaje mi trzykrotnie większy paszport niż zwykłym turystom.

Nie miałeś pokusy spisywania tych przygód, nie tylko w wymiarze działalności zawodowej, choćby w formie jakichś „notatek z podróży”, spisywanych choćby na pokładzie samolotu podczas długich lotów? Mogłoby to zaowocować całkiem interesującą książką, albumem podróżnika – inżyniera, doświadczającego odmienności i kontrastów różnych kultur, nacji z nieco innej strony...

Wiem, wiem, Wacku! To ty namawiałeś mnie już od lat, żeby zarejestrować kronikę moich podróży, przygód i doświadczeń. I prawdę mówiąc, od tamtej pory o tym myślę. Mam wiele wspomnień i jak czas mi pozwoli, to z pewnością to zrobię. Choćby po to, by pozostawić trochę wspomnień dla wnuków!

Wojtku, przepraszam za pytanie, mam nadzieję nie nazbyt, osobiste. Czy ta twoja częsta nieobecność w domu, spowodowana licznymi, często długimi podróżami służbowymi, nie zaciążyła jakoś na twoim życiu?

Nie wszystko jest złotem co się świeci. Podróże mają również swoje złe strony. Pierwsze, to rozłąka z rodziną. Było to szczególnie trudne w początkowym okresie, kiedy nasi synowie byli w wieku szkolnym. Renata musiała pogodzić pracę zawodową z wychowywaniem dwóch synów, zadanie bardzo trudne. Muszę przyznać, że zrobiła

świetną robotę. Obydwa synowie ukończyli studia. Starszy, Kuba, ukończył James Madison University w Virginii, a młodszy, Tom, prywatny Wake Forest University.

Żaden z synów nie poszedł w ślady rodziców. Obydwa uzyskali dyplomy w business. Kuba studiował przez jakiś czas na uniwersytecie Salamanca w Hiszpanii, jako „exchange student” z James Madison University. Tom natomiast grał w piłkę nożną w drużynie Wake Forest, która była notowana na pierwszym miejscu drużyn uniwersyteckich w pierwszej lidze uniwersyteckiej USA w tym czasie (to uwaga dumnego ojca i wielbiciela piłki). Obydwa też są bardzo dobrymi narciarzami, bo warunki narciarskie tutaj mamy świetne. Ponieważ w domu mówiliśmy po polsku, nasi synowie całkiem dobrze sobie radzą w języku ich rodziców i poprawiają swoje umiejętności podczas wizyt w Polsce. Teraz zajmują się swoim biznesem i, jak widzę, nieźle sobie radzą pracując razem.

Renata i ja wiedzieliśmy z własnego doświadczenia, że wiedza jest ponadczasowa. Robiliśmy wszystko, żeby zachęcić naszych synów do studiów na wysoko notowanych uniwersytetach. No i udało się. Wytrwałość Renaty dała bardzo dobre wyniki.

To, że tak dużo podróżuję nie znaczy, że nie spędziłem czasu z rodziną. Prawda, że nie byłem na wielu urodzinach, czy szkolnych imprezach, ale nadrabialiśmy to wyjazdami na narty, łódki, rodzinne wakacje itd. Vermont oferuje wiele atrakcji dla

ludzi, którzy lubią spędzać czas poza domem. Góry, lasy, jeziora – wszystko w jednym miejscu!

Teraz, gdy synowie są już dorośli, cała rodzina jest w dalszym ciągu w rozjazdach, gdyż biznes synów też wymaga wyjazdów do wielu krajów. Spotykamy się wszyscy co najmniej 3–4 razy w roku. Utrzymujemy bardzo ścisłe kontakty.

A rodzina w Polsce?

W ostatnich kilku latach straciłem obydwój rodziców. Było to duże przeżycie. Wiedziałem, oczywiście, że ich odejście jest nieuniknione, ale człowiek jakoś nie jest na to przygotowany kiedy to nastąpi. Oczywiście, dystans jaki nas dzielił pozwolił mi tylko na sporadyczne odwiedziny, chociaż przyznam, że przyjeżdżałem do Polski dość często. Rodzice odwiedzali nas kilkakrotnie tutaj i spędzali kilka miesięcy z nami podczas każdego pobytu. Bardzo miło wspominaliśmy te chwile.

Jedna z moich dwóch siostr mieszka w Lublinie. Utrzymujemy bliskie kontakty. Druga siostra osiedliła się w Chicago.

Nie czujesz się zmęczony ciągłym życiem „na walizkach”?

Moje podróże po świecie dają mi się trochę we znaki. Średnio ponad 100 dni w roku poza domem nie może być dobre. Na razie nic nie wskazuje na to, że będzie lepiej, ponieważ firma jest wyjątkowo zapracowana. Przyznam, że czasami jestem już

Rodzina w miejscu zamieszkania, od lewej: Kuba, Renata, Wojtek, Tomy



fot. arch. WS

trochę zmęczony. Z wiekiem podróże stają się bardziej wymagające i wyczerpujące. No i jak sobie możesz wyobrazić, nie wszystkie nasze projekty są zlokalizowane w atrakcyjnych miejscach. Ostatnie nasze duże przedsięwzięcia są w Chinach. Zanieczyszczenie powietrza jest tam dużym problemem. Oczywiście, to nie jest jedyna trudność z jaką tam się spotykam.

Pamiętam ze studiów, a i z kilku spotkań już po studiach, że pięknie grasz na fortepianie, nie są ci obce też inne instrumenty. Podtrzymujesz te pasje, masz czas na zaspokajanie potrzeb ducha, na dbanie o kondycję fizyczną, której z pewnością charakter twojej pracy wymaga?

Jeśli chodzi o moje prywatne zainteresowania, to rzeczywiście lubię muzykę. We wczesnej młodości uczęszczałem do szkoły muzycznej, gdzie uczyłem się grać na skrzypcach i na pianinie. Pozostało mi to do dzisiaj. Ciągłe gram na pianinie (Chopin jest naprawdę trudny!) i na gitarze, dużo czytam, jeżdżę na rowerze i codziennie chodzę na siłownię (starość nie radość! – trzeba ćwiczyć). Ponieważ mieszkamy nad samym jeziorem, łódka daje nam chwilę potrzebnej samotności. Zimą natomiast narty.

Niektórzy mówią, że nie potrzebujemy urlopów, bo cały czas jesteśmy na urlopie w tak uroczym miejscu. Trochę prawdy w tym jest, ale nawet tutaj od czasu do czasu odpocząć trzeba.

Oprócz muzyki i sportów, próbuję swoich sił w pisaniu wierszy. Niektórym moje wiersze się podobają, ale tak naprawdę to nie wiem, czy mam wierzyć tym ocenom!?

O, tego nie wiedziałem! A nie ukrywam, że jest mi to bliskie... Z tego co mówisz wynika, że nie piszesz ich wyłącznie dla siebie, jak się zwykle mawia „do szuflady”. W tej sytuacji, najlepszą weryfikacją twoich wątpliwości byłoby opublikowanie tych wierszy. Może któryś z nich zadedykujesz czytelnikom *Vivat Akademia*? Dołączymy go do tej rozmowy.

Oczywiście, z przyjemnością i z dużą dawką przerażenia. Jest to pierwszy, oficjalny druk moich wysiłków jako poety-amatora. Trzymaj za mnie kciuki!

Masz to zapewnione. Choć uważam, że i bez tego będzie to udany debiut. Wojtku, co uważasz za swój największy życiowy sukces?

Jest to pytanie dosyć łatwe! Największym osiągnięciem życiowym jest dla mnie zbudowanie solidnej rodziny, podstawy wszystkiego co się dzieje wokół mnie. Inne rzeczy wydają się mniej ważne. Wiek chyba ma z tym coś wspólnego, bo im starszy się robię, tym bardziej liczę na rodzinę. Bez ścisłych więzów rodzinnych życie traci dużo na wartości.



Coś dla duszy...

fot. arch. WS

Praca jest ważna, dała i nadal daje mi dużo satysfakcji. Tak było w Polsce i tak jest tutaj. Nie sądzę, że miejsce zmienia ambicje człowieka, chociaż warunki pracy są zupełnie inne.

A plany na przyszłość?

To trudno powiedzieć. Moje plany zmieniają się z tygodnia na tydzień. Firma, jak powiedziałem, jest bardzo obciążona zamówieniami, a to łączy się z rozruchami nowych technologii, ścisłą współpracą z klientami w zakresie produktów, jakości, projektów badawczych itd. Z jednej strony to dużo pracy, z drugiej natomiast, to jest pewność stabilności na następnych kilka lat. Jak wiesz, rynek pracy w USA, podobnie jak w Europie, jest dosyć słaby, z wysokim bezrobociem – tak, że my możemy mówić o bardzo dobrym zbiegu okoliczności. Nadmiar pracy jest lepszą alternatywą, jest to dobry problem w obecnych warunkach. Jako firma, nie musimy się martwić o najbliższą przyszłość.

Wojtku, w tym roku nasz wydział obchodzi Złoty Jubileusz. 50 lat temu, w 1962 roku, głównie w związku z odkryciem i zagospodarowaniem bogatych złóż miedzi w Polsce, utworzony został w Akademii Górniczo-Hutniczej Wydział Metali Nieżelaznych. Wybieracie się z Renatą na uroczystości jubileuszowe, spotkamy się we wrześniu w Krakowie?

Wyobraź sobie, że już rozmawialiśmy z Renatą na temat przyjazdu. To jest uroczystość, której nie możemy nie być świadkami. Wiele zawdzięczamy wydziałowi i zrobimy wszystko, żeby wziąć udział w tych uroczystościach.

Może udział aktywny, z referatem podczas konferencji naukowej z okazji jubileuszu?

Dziękuję za zaproszenie! Z przyjemnością je akceptuję. Będę zaszczycony możliwością zaprezentowania referatu na konferencji jubileuszowej.

Wojtku, dziękuję za bardzo interesującą rozmowę. Budujące jest spotkanie człowieka spełnionego, nie tylko zawodowo. Życzę tobie i Renacie kolejnych dających wam satysfakcję wyzwań, realizacji osobistych i zawodowych planów.

rozmawiał **Wacław Muzykiewicz**

LOS

*Nie łaskaw jest los dla Rzeczypospolitej Polskiej
W dziejach obdarzył nas bagażem okrutności
I teraz znowu czarna jego siła
Pokazała oblicze strasznej bezwzględności.*

*I jak historia uczy nas, Polaków,
Przetrwanie głęboko w naszej jest naturze,
Przeżyliśmy w przeszłości ciężkie ciosy losu,
I ten przeżyjemy w godności Polaka, godności,
która nie wydaje głosu.*

*W cichości ducha przeżywamy stratę,
Nie sami, tym razem Świat jest razem z nami,
Jak zwykle kraj cały zjednoczył się w bólu,
Jak zwykle otoczyliśmy dusze kwiatami.*

*Jutro dzień inny, ból nieco ustąpi,
I z rana nowa rzeczywistość zbudzi,
Kraj uczci odeszłych, zapanuje cisza,
Pamięć zachowa wizerunki ludzi.*

Wojtek Szczypiorski, Kwiecień 2010

Cudowne lata z „Krakusem”

Wszystko zaczęło się od braku rozrywek w szarych, powojennych czasach. Barwny folklor przyszedł później, na początku bardziej z konieczności aniżeli z wyboru. Potem na trzy dekady magnesem stała się możliwość wyjazdu za granicę. Od kiedy wolnych chwil mamy wszyscy mniej niż możliwości ich spędzania, a poza zasobnością portfela nic nie ogranicza swobody podróżowania, jasne stało się, że Zespół Pieśni i Tańca AGH „Krakus” im. Wiesława Białowąsa ma do zaoferowania kolejnym pokoleniom wychowanków coś zupełnie unikalnego – szansę na artystyczne spełnienie w gronie przyjaciół na całe życie.

„Krakus” uznawany jest za najstarszy studencki zespół folklorystyczny w Polsce, choć w chwili, kiedy powstawał, nie był jeszcze ani „Krakusem” (nazwę tę przyjął w 1974 roku), ani nie miał zbyt wiele wspólnego z ludowością. Pierwszy skład orkiestry założonej w 1949 roku przez Wiesława Białowąsa, wówczas studenta Wydziału Metalurgii, a później zasłużonego pracownika naukowego i profesora AGH, miał w założeniu wykonywać muzykę rozrywkową.

Wiesław Białowás w utworzeniu własnego zespołu upatrywał szansy na realizację twórczych ambicji, od wczesnego dzieciństwa bowiem przejawiał ogromne zdolności muzyczne. – „Już w radomskim gimnazjum założył swój pierwszy zespół «Rytm», a potem w liceum «Rytm 2». Oba dość szybko zaczęły odnosić sukcesy. Nad-



KRAKUS
ZESPÓŁ PIĘŚNI I TAŃCA AGH
im. Wiesława Białowąsa

szedł jednak czas, kiedy wyfrunął z gniazda do Krakowa. Nie wiadomo, dlaczego wybrał metalurgię, a nie muzykę. Pytany, odpowiadał, że to przecież też na «m» – wspomina Elżbieta Białowás, małżonka profesora i wychowanka zespołu. „W tamtych latach przy wyborze studiów bardziej liczyły się względy pragmatyczne – możliwość uzyskania zawodu, który zagwarantuje utrzymanie – niż zainteresowania”.

Metalurgia, jakkolwiek pasjonująca, nie była w stanie zagospodarować całej energii młodego studenta. – „Wiesiek nie bardzo wiedział, co robić z wolnym czasem. Do wyboru były dwie opcje – albo potańcówki, albo kino. Potańcówki raczej go nie interesowały, a z filmów lubił głównie muzyczne. Spodobało mu się zwłaszcza stepowanie Freda Astaire’a, wybrał się więc na lekcje tańca do profesora Mariana Wieczystego”



for. arch.



for. arch. ZPIT „Krakus”

– opowiada Elżbieta Białowąs. W historii zespołu jedną z pierwszych zasług prof. Wieczystego – niestrudzonego popularyzatora tańca towarzyskiego i choreografa w pionierskich latach ZPIT AGH – było wybitie tego pomysłu z głowy Białowąsa. – „Stwierdził po prostu, że uczy tańca, a nie popisów cyrkowych” – mówi Elżbieta Białowąs.

Inne tańce niż stepowanie nie interesowały Białowąsa, postanowił więc założyć

uczelniany zespół muzyczny. – „Jego powstanie w roku 1949 było wynikiem potrzeby sześciu, a później dziewięciu studentów, którzy poza dobrymi chęciami nie mieli ani szczególnych umiejętności, ani instrumentów” – mówi po latach, z właściwą sobie skromnością umniejszając swoją rolę. – „Pierwszy zdezelowany fortepian podparty stołkami (miał bowiem tylko jedną nogę) stał w sali wykładowej A-0. Pozostałe instru-

menty: trzy akordeony, gitara i skrzypce były własnością prywatną. Perkusję zastępował futerał od akordeonu, a grywaliśmy na przerwach pomiędzy wykładami”.

Początki były trudne. O ogromnej determinacji założyciela grupy świadczyło dodatkowo niezbyt przychylnie nastawienie uczelni, która do momentu zdobycia przez zespół ogólnokrajowego uznania nie chciała „finansować fanaberii Białowąsa”,



Prof. Wiesław Białowąs dyryguje orkiestrą „Krakusa”

for. arch. ZPIT „Krakus”



fot. arch. ZPIT „Krakus”

ru – w rachubę wchodziło albo rozwiązanie grupy, albo zmiana repertuaru. Ponieważ członkowie zespołu chcieli dalej grać, tańczyć i śpiewać, Wiesław Białowąs postawił na popularny wówczas i tolerowany przez władze folklor. Zrodziło to skądinąd sporo problemów, ponieważ ani on, ani prof. Wiczysty na ludowości kompletnie się nie znali. – „Jako choreografa dołączono Jadwigę Mierzejewską, która organizowała uroczystości dożynkowe, więc miała ze wszystkich najlepsze pojęcie o folklorze – wspomina Elżbieta Białowąs. – Przygotowane przez zespół widowisko «Albośmy to jacy tacy tacy i owacy» miało być satyrą «na pańskie» lub «zachodnie» i jako alternatywę przedstawiać taniec ludowy. W występie brało udział ok. 320 osób, a w finałowym krakowiaku tańczyło 36 par. Choć w widowisku przemycano zachodnie rytmy (np. boogie-woogie w tańcu bikiniarzy), na eliminacjach we Wrocławiu zostaliśmy uznani za najlepszy studencki zespół pieśni i tańca w Polsce.

Wybór repertuaru okazał się nadszyczą trafny – po licznych udanych występach w kraju w 1960 roku ZPIT AGH ruszył promować Polskę na tournée po Węgrzech. W czasach, kiedy o przekroczeniu granicy można było tylko pomarzyć, za sprawą kolejnych wyjazdów na bardzo liczne wówczas imprezy i festiwale folklorystyczne przyszły „Krakus” stał się dla młodych ludzi oknem na świat. W ciągu sześciu dekad działalności zespół odbył ponad 170 podróży artystycznych, podczas których wystąpił ponad 4,5 tys. razy w Polsce, we wszystkich krajach Europy, a także w Azji, Afryce, Ameryce Północnej i Południowej.

Udział w zagranicznych konkursach wniósł w zespołowe życie silne emocje. – „Kiedy potencjalnych kandydatów do wyjazdu było więcej niż miejsc, pojawiał się element rywalizacji. Przypominam sobie, że jedna z koleżanek była tak oburzona faktem, że nie została zakwalifikowana, że ci-

sneła nożyczkami w kierownika chóru” – opowiada Stanisław Rusinek, były wieloletni kierownik zespołu i obecny prezes Fundacji „Krakusa”. Warto było dać z siebie wszystko, ponieważ, jak opowiada były kierownik chóru Józef „Bobik” Kozakowski, na działalność zespołu uczelnia zaczęła patrzeć coraz bardziej przychylnym okiem. Chór występował i występuje podczas Inauguracji roku akademickiego, „skoku przez skórę” z okazji Dnia Górnika, „ślubowania hutniczego” w Dniu Hutnika czy nadawania nominacji doktorskich i godności profesorskich. Do legendy przechodzą hucznie obchodzone okrągłe jubileusze zespołu. Podczas trwających sześć dni uroczystości z okazji 60-lecia „Krakusa” pobito wszelkie rekordy – jednocześnie na scenie wystąpiło 160 osób z trzech pokoleń członków zespołu. Występy obejrzało ponad 4 tys. osób.

Choć zmieniają się czasy i trendy w kulturze, nic nie wskazuje na to, aby zespół zamierzał dokonywać wolt w repertuarze, który opanował w mistrzowski sposób. Uho-

norowany licznymi nagrodami na krajowych i międzynarodowych festiwalach „Krakus” podczas występów nadal prezentuje folklor przetworzony i przystosowany artystycznie do wymogów sceny. Pieśni, tańce i obrzędy przedstawiane w suitach krakowskiej, śląskiej, rzeszowskiej, łowickiej, sądeckiej, lubelskiej, kieleckiej, żywieckiej oraz beskidzkiej ukazują bogactwo kulturowe tych regionów, a także kunszt i piękno strojów ludowych.

Żywiolowa twórczość ludowa, którą w latach pięćdziesiątych zespół AGH zainteresował się niejako pod przymusem, stała się dla jego członków autentyczną pasją. Co najważniejsze, na tyle trwała, że ich następcy odkrywają w niej nowe inspiracje również dziś.

Ponieważ sędziwy stażem, ale wciąż hoży „Krakus” stale potrzebuje dopływu „świeżej krwi”, namawiamy do „szerzenia dobrej nowiny” o działalności zespołu i jego sekcji dziecięcej wśród zaprzyjaźnionych studentów i absolwentów, a także niezwiązanych z uczelnią znajomych. Wszystkich wychowanków AGH, którzy przeżyli przygodę z „Krakusem” lub w jakikolwiek sposób związali się z jego losami, zachęcamy także do odnawiania dawnych kontaktów i śledzenia działalności zespołu na stronie [www.krakus.net].

✉ Michał Jędras

Od Redakcji

W artykule przytoczone zostały obszernie fragmenty przygotowywanego właśnie do publikacji albumu wspomnieniowego, w którym wykorzystano informacje z kronik zespołu, strony [www.krakus.net], z wywiadów z członkami zespołu przeprowadzonych przez Piotra Jędrzejka oraz z pracy magisterskiej Renaty Lichockiej pt.: Dzieje ZPIT AGH „Krakus” im. W. Białowąsa przy AGH w Krakowie



fot. arch. ZPIT „Krakus”

Honorowy Członek Stowarzyszenia Wychowanków AGH mgr inż. Jerzy Strzempek ukończył 80 lat

Solenizant urodził się 22 grudnia 1931 roku w Zamysłowie na Śląsku.

Edukację górniczą rozpoczął już we wrześniu 1946 roku, gdy rozpoczął naukę w Gimnazjum Górniczym Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Rybniku. Kolejno kontynuował naukę w Liceum Górniczym w Wałbrzychu oraz Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na Wydziale Górniczym. Pierwotnym jego zamierzeniem było zostać w Krakowie i pracować na uczelni, gdyż już w 1954 roku zostaje asystentem u prof. Aleksandra Anasiewicza w Katedrze Ochrony Pracy w Górnictwie. Jednak profesor Witold Budryk proponuje Jerzemu Strzempkowi odbycie 6-miesięcznej praktyki asystenckiej w Kopalni „Janina” w Libiążu w celu opracowania Planu Zabezpieczenia Przeciwpowodziowego. Kopalnia „Janina” eksploatowała wówczas pokłady węgla bardzo skłonne do samozapalenia i stąd częste pożary, i duże zagrożenia. Jerzy Strzempek spełnia życzenie profesora Budryka, opracowuje dla



foto arch. JS

Kopalni wspomniany Plan Zabezpieczenia Przeciwpowodziowego, jednak okoliczności te spowodowały, że ówczesny Naczelny Dyrektor Jaworzniacko-Mikołowski Zjed-

noczenia mgr inż. Karol Fabis przekonał Strzempka, aby pozostał w pracy w Kopalni „Janina”, co też się stało. Solenizant po 5-ciu latach pracy w kopalni zostaje Dyrek-



foto arch. JS

torem Technicznym „Janiny” pracując w niej do 1965 roku.

Przez 17 lat pracuje w Centrali Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Mysłowicach, pełniąc między innymi funkcje Głównego Inżyniera ds. Postępu Technicznego, Głównego Inżyniera Górniczego, Dyrektora Inwestycyjnego oraz Naczelnego Dyrektora Zjednoczenia. Był także Dyrektorem Kopalni „Brzeszcze” oraz Kopalni „Czczcott”. Budowę tej kopalni prowadził od samego początku – od projektu – i oddał ją do eksploatacji w 1985 roku.

Od lat 70-tych aktywnie pracuje w strukturach Stowarzyszenia Wychowanków AGH. Jest członkiem Zarządu Głównego, organizatorem i rzecznikiem terenowego Koła Grodzkiego „Czczcott” w Tychach. Jest także Honorowym Członkiem Stowarzyszenia Wychowanków AGH. Jest laureatem Nagrody Państwowej oraz Nagrody Ministra Górnictwa za wybitne osiągnięcia w dziedzinie rozwoju górnictwa. Autor ośmiu patentów i wielu wniosków racjonalizatorskich. Odznaczony wieloma Odznaczeniami Państwowymi, w tym Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Jest Zasłużonym Górnikiem Polski i wpisany jest do Honorowej Księgi Górników Polskich. Jest Zasłużonym dla Województwa Krakowskiego, Katowickiego, odznaczony Odznaką za Zasługi dla Oświaty. Od 1990 roku na emeryturze, choć



fort. arch. JS

nadal czynny i aktywny w SITG oraz w Stowarzyszeniu Wychowanków AGH.

Wraz z solenizantem 80. urodziny świętowali żona Michalina, córka Małgorzata, wnuczka Kamila z prawnuczkami Kajusią i Filipkiem oraz syn Grzegorz z wnukiem Jasiem – Kubusiem.

W uroczystym spotkaniu urodzinowym naszego Solenizanta brało udział liczne gro-

no jego byłych współpracowników, wychowanków oraz kolegów ze SW AGH – Koła Tyskiego i ZG SW AGH

Solenizantowi życzymy wielu radosnych lat życia w gronie rodziny i życzliwych przyjaciół

Plurimos annos, Drogi Przyjacielu!

Tychy, 4 sierpień 2007

Życiorys Jerzego Strzempka

Mgr inż. Jerzy Strzempka urodzony w Rybniku, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej (1956), Generalny Dyrektor I stopnia z górnictwem związał się już we wrześniu 1946 roku, kiedy po raz pierwszy zjechał w podziemia kopalni Ignacy, która w latach późniejszych została połączona z kopalnią „Rydułtowy”. W rodzinie jedynie dziadek po kądzieli W. Wawrzyńczyk (ojciec matki) pracował w kopalni (dawniej Hoym później Ignacy – dziś już kopalnia zabytkowa) jako „markscheider” – mierniczy.

Mgr inż. Jerzy Strzempka, krótko, bo tylko w latach 1954–1957 był pracownikiem AGH na stanowisku asystenta w Katedrze Ochrony Pracy w Górnictwie. Następnie 35 lat przepracował w kopalniach: „Janina” – dyrektor techniczny, „Brzeszcze” – dyrektor naczelny, „Czczcott” – dyrektor naczelny oraz w Dyrekcji Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego jako główny inżynier i Dyrektor Inwestycyjny i Naczelnny Dyrektor Zjednoczenia. Położył ogromne zasługi w rozwoju Zjednoczenia. W tym czasie zrekonstruowano 11 kopalń, wybudowano 4 nowe kopalnie w tym „Piast” i „Czczcott”.

Po przejściu na emeryturę w grudniu 1990 roku był nadal czynny dla potrzeb górnictwa aż do ukończenia 75 lat życia w grudniu 2006 roku. Za pracę w górnictwie i dla górnictwa był honorowany: Nagroda Państwowa I Stopnia. Jego galowy mundur zdobija: Krzyż Kawalerski i Krzyż Komandorski Polonia Restituta. Krzyże Zasługi i Sztandar Pracy oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej. Jest „Zasłużonym Górnikiem Polski” i został wpisany do Honorowej Księgi Górników Polskich. Strzempka mówi o sobie, „że od zawsze był górnikiem i górnikiem zostanie na zawsze”.

Obrzędów i tradycji górniczych uczył się w AGH od prof. W. Żabickiego. Zafascynowany tradycją i pięknem obrzędów świętowania Dnia Górnika, górniczych spotkań i biesiad piwnych jako pierwszy dyrektor w kopalni „Brzeszcze” wprowadził ceremoniał „Skoku przez skórę”, pochodu i przyjmowania Młodych Lisów do Stanu Górniczego. Budując Kopalnię „Czczcott” od samego początku nauczył górników świętowania Barbary – Dnia Górnika – tak samo godnie i w pełnej gali jak to przeniósł z obrzędów w AGH. Do dziś w obu tych kopalniach, a także wszystkich innych dawnego JMZPW zwyczaj ten jest z pietzmem praktykowany i świętowany.

W latach 1978–1980 ubogacił obrzęd Święta Górnika – „Barbórki” tekstami i nawracając w języku i brzmieniu staropolskim (archaicznym) pięknie komponującym się z całą ekspresją wrażeń i scen pochodu Lisów, Skoku przez skórę, przyjęcie Młodych Lisów do stanu górniczego, honorowania zasłużonych górników – Stare Strzechy – szpadami górniczymi. Część tych tekstów i opisów zawarta jest w książeczce „Nas przyjaźń tu wiodła...”, którą jako współautor napisał z kolegami dr. inż. W. Urbanem, dr. inż. W. Trębaczem i mgr. inż. W. Grabem.

Prowadził wiele doniosłych i prestiżowych biesiad piwnych w kraju, między innymi ministrowi Górnictwa i Energetyki, Prezesowi ZG SIITG, a także w swojej Alma Mater AGH oraz za granicą w kopalniach: w Niemczech (Übbsenbüren, Lauchhammer), Bułgarii, (Bobow Doł), b.Jugosławii (Welenie, Tuzla) i b. ZSRR w kopalniach Zagłębia Donieckiego.

Pierwsza górnicza

Powszechnie mało znany jest fakt, że pierwsza szkoła górnicza powstała w Tarnowskich Górach już w 1803 roku. Wraz z rosnącą liczbą kopalń w rejonie Tarnowskich Gór i okolicy wzrastało zapotrzebowanie na górników kwalifikowanych i dozoru górniczego. Zarządzeniem Wyższego Urzędu Górniczego Oberbergamf z dnia 6 stycznia 1803 roku powołano dwie szkoły dla kształcenia młodych górników, jedną w Tarnowskich Górach i drugą w Królewskiej Hucie. Uczniowie poza swoją pracą pobierali naukę pisania i czytania oraz matematyki, później wprowadzono również matematykę stosowaną, fizykę oraz mineralogię. W 1803 roku na liście znalazło się 12 uczniów. Nauka odbywała się w budynku Urzędu Górniczego z czterogodziennymi wykładami.

Szkola miewała różne trudności w swym rozwoju – brak kadry nauczycielskiej i finansów co sprawiało, że nauka była prowadzona w sposób nieregularny, a występowały nawet okresowe przerwy w nauczaniu. W 1809 roku lekcje odbywały się w prywatnym budynku jednego z nauczycieli. W 1811 roku nadsztygar Stroha przejął prowadzenie nauki w 2 klasach. Jego zaangażowanie było bardzo wielkie. Nastąpiła wyraźna poprawa w nauczaniu i wynikach uzyskanych przez uczniów, co było uznane nawet przez Urząd Górniczy. Nagła śmierć w 1822 roku nauczyciela Stroha przerwała na jeden rok naukę. Jej dalsze prowadzenie objął mierniczy górniczy Giehne w zakresie rysunku i miernictwa górniczego.

Dynamiczny rozwój górnictwa wpłynął na potrzebę reorganizacji szkolnictwa górniczego. Główny Urząd Górniczy w Tarnowskich Górach zlecił Rudolfowi von Carnall opracowanie programu dla szkoły górniczej. Po jego zatwierdzeniu przez Urząd Górniczy taką szkołę otwarto w Tarnowskich Górach 28 stycznia 1839 roku. Jej ukończenie stawało się z biegiem czasu obowiązkiem dla każdego sztygara. Nauka trwała dwa lata, a zajęcia prowadził sam R. von Carnall. Był on górnikiem praktykiem i znakomitym geologiem. Jako starosta górniczy zasłużył się bardzo dla Śląska, reformując górnictwo. Nawet mieszkając w dalszych latach we Wrocławiu do końca życia (1874) opiekował się swym tarnogórskim dziełem.

W ówczesnej szkole wykładano wiedzę z zakresu górnictwa i geologii, miernictwa, ratownictwa i prawa górniczego, a także przedmioty ogólnokształcące. Wraz z postępem nauki i techniki doszły takie przedmioty jak: analiza gazów i elektrotechnika. W 1857 roku szkoła otrzymała nowy gmach, zaś w 1892 roku została przeniesiona do budynku, który miejscowi nazywali „czerwona skrzynia”. Szkołę wyposażono w szereg

pomocy dydaktycznych, bogatą bibliotekę i laboratorium.

Stały rozwój górnictwa zwiększał zapotrzebowanie na średni dozór górniczy, toteż w 1871 roku, kandydatów przyjmowano nie jak dotąd po zakończeniu jednego kursu, lecz corocznie, zarówno przyjęcia, jak i egzaminy dojrzałości odbywały się co roku. Od 1900 roku słuchaczy przyjmowano co pół roku. W 1910 roku w szkole było

Mimo iż 58 proc.
tarnogórzan
uprawnionych
do głosowania oddało
w plebiscycie swe głosy
dla Niemiec, Genewa
przyznała to górnicze
miasto Polsce.

już pięć kursów, zaś w 1918 roku napór byłych uczestników wojny wymusił utworzenie szóstego kursu. Liczba słuchaczy osiągnęła 200, a kolegium nauczycielskie 12. Utrzymanie szkoły zapewniał Główny Urząd Górniczy oraz kopalnie.

Mimo iż 58 proc. tarnogórzan uprawnionych do głosowania oddało w plebiscycie swe głosy dla Niemiec, Genewa przyznała to górnicze miasto Polsce. Szkoła w zależności od obywatelstwa słuchaczy musiała zostać rozdzielona na część polską i niemiecką. Wojewoda zarządził jednak, że język polski jest jedynym językiem wykładowym, toteż szkoła nie mogła pozostać w Tarnowskich Górach. Dyrektor szkoły Fromm oraz dyrektor generalny Strahler z Zabrze, będący jednocześnie przewodniczącym Związku Szkół Górniczych (niemieckich) zaczęli się rozglądać za jakimś odpowiednim miejscem na niemieckim Śląsku. Wiadomość o zamknięciu seminarium skierowała ich zainteresowania do Pyskowic. Rozpoczęły się pertraktacje z burmistrzem i władzami szkolnymi. Położenie miasta na północno wschodnim skraju zagłębia górniczego, przy węźle kolejowym czyniło miejsce atrakcyjnym dla założenia szkoły w gmachu byłego seminarium. Przygotowane dla szkoły pomieszczenia i duży ogród zapewniały doskonale warunki nie tylko dla słuchaczy, ale także dla nauczy-

cieli, na których w budynku czekały gotowe mieszkania.

Dla mieszkańców miasta przeniesienie szkoły do Pyskowic stanowiło rekompensatę za utratę seminarium. Dnia 5 kwietnia 1922 roku miasto sprzedało budynek Związkowi Szkół Górniczych. Z początkiem roku szkolnego 1924/25 dwa niemieckie kursy przeniesiono z Tarnowskich Gór do Pyskowic.

Uroczystość otwarcia szkoły nastąpiła 12 sierpnia 1924 roku w obecności przedstawicieli Związku Szkół Górniczych, władz górniczych, a także administracji państwowej i miejskiej. Burmistrz Tschauder w imieniu mieszkańców wyraził nadzieję na dobrą współpracę szkoły z miastem.

Kolegium nauczycielskie tworzyli: dyrektor Fromm, inżynier Bansen, nauczyciel szkoły górniczej Kurpium, inżynier górnik Kremser, inżynier mechanik Schubert.

Dyrektor Fromm zmarł nagle 16 lutego 1926 roku. W sierpniu śmierć zabrała drugiego członka kolegium, inżyniera Kremsera. Do czasu powołania nowego dyrektora szkoły funkcję kierowniczą przejął inżynier Bansen. Z nowym rokiem szkolnym, placówkę przejął radca górniczy von Oheimb, dotychczasowy naczelny dyrektor kopalń i hut Donnersmarka w Świętochłowicach.

Szkola górnicza w Pyskowicach prowadziła swą działalność do 1945 roku, zaś szkoła w Tarnowskich Górach do 1933 roku. Ostatnim absolwentem szkoły górniczej Tarnowskich Gór – Pyskowic był Ewald Nierobisch urodzony 9 sierpnia 1920 roku w Świerklańcu. Pracował do 1958 roku w bytomskich kopalniach jako nadsztygar od zwalczania pożarów, po czym wyjechał do Niemiec i tam włączył się w utworzenie Stowarzyszenia Pamięci Górnośląskiej Szkoły Górniczej.

Przez pewien czas był przewodniczącym tego Stowarzyszenia. W 1971 roku przyznano mu tytuł inżyniera górniczego. W 2003 roku, tuż przed obchodami 200-lecia Górnośląskiej Szkoły Górniczej, którą tamtejsze Stowarzyszenie Pamięci zamierzało fetować, Ewald Nierobisch zmarł.

✉ Roman Pustolka

senior Klubu Seniorów SITG oddział Rybnik

Tekst opracowano przy wykorzystaniu stron internetowych, materiału otrzymanego od Dyrektora Muzeum w Pyskowicach i Tarnowskich Górach oraz artykułu prof. Emsta Beiera z Bochum. Panom Władysławowi Macowiczowi i Krzysztofowi Gwoździowi w tym miejscu serdecznie dziękuję za przekazane materiały. W roku 1996 wydana została książka pt. „Szkoła górnicza w Tarnowskich Górach” – autor: Augustyn Jaworski.

Zdzisław Barglika wierszo-pisanie

Z osobistych spotkań, korespondencji i otrzymanych autorskich tomików wierszy – o sylwetce autora i jego wierszo-pisaniu, z sympatią – „słów kilka” – przez Artura Bębna zapisanych

Podczas uroczystości Jubileuszowych z okazji 65-lecia Stowarzyszenia Wychowanków AGH w październiku 2010 roku w gmachu głównym uczelni przedstawił się mi Zdzisław Barglik, podkreślając na wstępie, że jest absolwentem (dyplom inżyniera, 1972) Wydziału Górniczego, a także i moim wychowankiem, bowiem jako student uczęszczał na prowadzone przeze mnie ćwiczenia z przedmiotu „maszyny górnicze”. Ponadto z uśmiechem nadmienił, że jest dumny z oceny zaliczeniowej jaką otrzymał.

W trakcie koleżeńskej rozmowy stwierdził iż z zadowoleniem przeczytał wydaną w ubiegłym roku książkę mojego autorstwa *Górnicza lampa się pali*. Skromnie nadmienił ponadto, że poza pracą w wyuczonym zawodzie poświęca się wierszo-pisaniu i wydał kilka książeczek swoich wierszy. Prosił abym nie odmawiał jego prośbie i przyjął książeczki, które jeszcze posiada i przy najbliższej okazji przywiezie je dla mnie do Krakowa.

Jednak później otrzymałem od darczyńcy przesyłkę z książeczkami, a także kserokopię strony indeksu z oceną zaliczeniową z moim podpisem i list datowany 24 listopada 2010 roku, w którym pisał:

„Ponieważ ostatnio nie układa mi się tak jakbym chciał i mój przyjazd do Krakowa będzie niemożliwy, postanowiłem wystać panu przyrzeczone książeczki. Dołączyłem też *Trzecie wyjście* pana Jana Masajdy, w której to zadebiutowałem jako redaktor i drugą jeszcze – *Limeryki*, do której zostałem zaproszony przez panią Wandę Czubernat znaną poetkę góralską (między innymi z listów do księdza Józefa Tischnera – *Wieści ze słuchanicy*). Przez przypadek znalazł się tam wierszyk pt. *Polski liberalizm*, który nie pasuje do całości, ponieważ jest sensowny i marudny, i wcale limeryku nie przypomina. Dla równowagi przeto dołączam *Sposób na jesień*, który to tworek jest w miarę optymistyczny. Chciałbym zwrócić pana uwagę na teksty ze stron 84 i 86 *Wkrętów...*, które napisałem do ukraińskich melodii z myślą zastosowania ich podczas Barbórkowych Karoczm Piwnych. Pozdrawiam serdecznie życząc panu i pana bliskim z okazji święta górniczego wszystkiego miłego, czego tylko się da! Z poważaniem Zdzisław Barglik”.

Po przeczytaniu utworów w książeczkach autorstwa Zdzisława Barglika, zauroczony nimi i pełen rozbawienia, zaproponowałem autorowi jako absolwentowi i wychowankowi AGH o przedstawienie Jego „curriculum vitae” i twórczości literackiej w wydawanym w AGH periodyku dla absolwentów, *Vivat Akademia*.

W poczcie elektronicznej z 27 kwietnia 2011 roku przeczytałem:

„Szanowny Panie Profesorze! Pozwalam sobie przesłać o sobie garść danych do ewentualnego wykorzystania. Ponieważ najgorzej pisze się o sobie, podparłem się opiniami osób, którzy coś tam w moim pisaniu znaleźli. Życzę wiele zdrowia i sił, szczególnie do tego, co w Panu uważam za najcenniejsze; pracy wykonywanej rzetelnie i fachowo, ale z nutką dystansu do swoich poczynąń, z humorem i lekkością, a jednocześnie szacunkiem do otoczenia w szerokim tego słowa znaczeniu. Wszystkiego dobrego i miłego. Zdzisław Barglik”.

Skorzystajmy więc z podparcia osób „którzy coś tam w pisaniu Barglika znaleźli”. Przecież wydał dotychczas cztery tomiki wierszy, w większości satyrycznych. *Prztyczki i potyczki*, *Wkręty w pięty*, *Na zbójnickom nute* oraz *Baciarskie nuty*, więc było gdzie szukać.

O wierszo-pisaniu Zdzisława Barglika tak pisał do tomików Jego wierszy *Prztyczki i potyczki* oraz *Na zbójnickom nute*,



foto. arch. ZB

znanawca góralskiego folkloru Jan Gutt-
-Mostowy.

„Oto przed nami rzecz nowa – wydany w miniaturze tomik wierszy Zdzisława Barglika ze Skawy, a więc z północnego krańca Podhala. Urodzony w 1949 roku autor wychował się w góralskiej rodzinie i w takiejże tradycji. Jak wielu synów chłopskich, jako niespełna 14-letni chłopak poszedł „do skól” i po latach nauki uzyskał dyplom Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Chociaż wypadło mu pracować poza Podhalem, nigdy nie zerwał więzi z rodzinnym środowiskiem, a szczególnie ze Skawą, do której często wraca. Zarówno w młodości jak i w późniejszych latach nagromadził wiele osobistych i ogólnych refleksji, którymi postanowił podzielić się z nami. Zaczął pisać wiersze, zwyczajne, proste wiersze, oddające jego spojrzenie na ludzi, ich codzienność i otaczający wszystkich świat. Proste, nie znaczący prymitywne, wiersze skromne w środki artystycznego wyrazu, bez silenia się na powielanie wzorów wielkiej literatury, ale może dlatego tak poruszające swą treścią, tak bliskie tym, którzy się w atmosferze chłopskiej rodziny i wsi podhalańskiej wychowali i nadal z ni-



ZDZISŁAW BARGLIK
Baciarskie nuty

Baciarskie nuty, z rysunkami autora
(Wyd. Studio WM Gliwice, 2009)

mi związani swoimi korzeniami. Znajdą one dojsie i do tych, którzy chociaż nie górale, zauroczeni są podhalańską krainą i góralskim folklorem.

Nie jest moim zamiarem opowiadać wierszy Zdzisława Barglika „własnymi słowami”. Trzeba je przeczytać w oryginale i to wielokrotnie, smakując zawartą w nich chłopską mądrość, głęboką refleksję nad życiem i wiele prostego, nieraz rubasznego humoru. Są i erotyki, sprośne czasem, ale pozbawione wulgaryzmów, obcych zresztą gwarze góralskiej. A wszystko to można wyśpiewać, co moim zdaniem stanowi podstawową cechę oryginalnej ludowej poezji. Autor czasem do swoich wierszy układa melodie.

Zdzisław Barglik nie tylko pisze i podśpiewuje swe wiersze, ale również ilustruje je w sposób zarówno poprawny artystycznie, jak i świadczący o fantazji, poczuciu humoru, znajomości realiów oraz tradycji góralskiego życia. Jest to wśród twórców ludowych swoisty ewenement.

Autor prezentowanego tomiku pisze gwarą. Tą gwarą, w której się wychował, nieco odmienną od zakopiańskiej, białczańskiej, nowotarskiej, a nawet rabińskiej, ale w sposób prawidłowy oddającą specyfikę całego Podhala.”

A tak pisał polski poeta Wiesław Malicki w postłowie do tomiku *Prztyczki i potyczki*.

„Satyrze o ambicjach literackich stawia się wysoką poprzeczkę. W lekturze mu-

si bronić się sama. Prezentowana bezpośrednio bywa wspomaganą mimiką, gestami, barwą głosu, urokiem osobistym czytającego autora, a na estradzie – również sposobem nagłośnienia. Czytelnik, biorąc do ręki zbiór satyrycznych tekstów, liczy nie tylko na zdrowe poczucie humoru autora, lecz również na świeżość pomysłów, finezję wypowiedzi, językową dojrzałość. A nawet – na swoistą mądrość płynącą z umiejętności patrzenia na rzeczywistość z dystansem.

Moim zdaniem, autorowi tej książeczki nieobca jest zarówno kultura śmiechu, jak i kultura języka. A przy tym nie brak jej ciepła i wyrozumiałości w sposobie traktowania ludzkich spraw. Fraszki i wiersze satyryczne wolne są od banału, standardowych skojarzeń, stereotypowych dowcipów. Bywają nawet odkrywcze i nie pozbawione liryzmu.

Utwory z tego zbioru zostały napisane przez rodowitego górala, który ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, jest obecnie prezesem jednego z przedsiębiorstw na Śląsku Opolskim”.

Wypełniając życzenie autora zamieszczam wierszyk *Polski liberalizm* z 44 strony książeczki *Limeryki* autorstwa: Wanda Czubernatowa, Zdzisław Barglik, Maciej Pinkwart, Henryk Urbanowski, Adam Fiala, a także, jak pisze autor, teksty ze strony 84 i 86 książeczki *Wkręty w pięty* wydanej w 2009 roku oraz kilka fraszek z też z niej.

Polski liberalizm

*Pod rządami kolejnych władców bez korony,
zbudowaliśmy państwo ciężko wystraszonych,
w którym umieć coś zrobić, zarobić, posiadać,
to nie powód do dumy, lecz poważna wada.
Gdy opuścicie słumsy, wszedłeś w cztery ściany,
to już, obywatelu, jesteś podejrzany.
Zrobiono omal wszystko, by stępić ci umysł
i by obywatelskiej pozbawić cię dumy.
Istotę polityki rządzących dziś gremiów
można streścić w dwóch słowach; zabrać
mającemu.*

Gdy coś tworzysz, w przepisach błędzisz na kształt kreta,

dreńcząc głowę pytaniem: „Co zrobiłem nie tak?”

*Na błąd czekają bowiem biegli urzędnicy,
aby cię w znajomości przepisów przeciwzyć..
oczywiście już wcześniej w pełnej prawa krasie,
zrobią jedynie słuszne porządki w twej kasie.*

Nie ma znikąd liitości. Nawet się nie żyłuj!

Jakbyś się nie odwrócił, to dupę masz z tyłu.

Lepiej ogon pod siebie wziąć na znak

poddaństwa,

nic nie robić, nic nie mieć... i żebrać u Państwa.

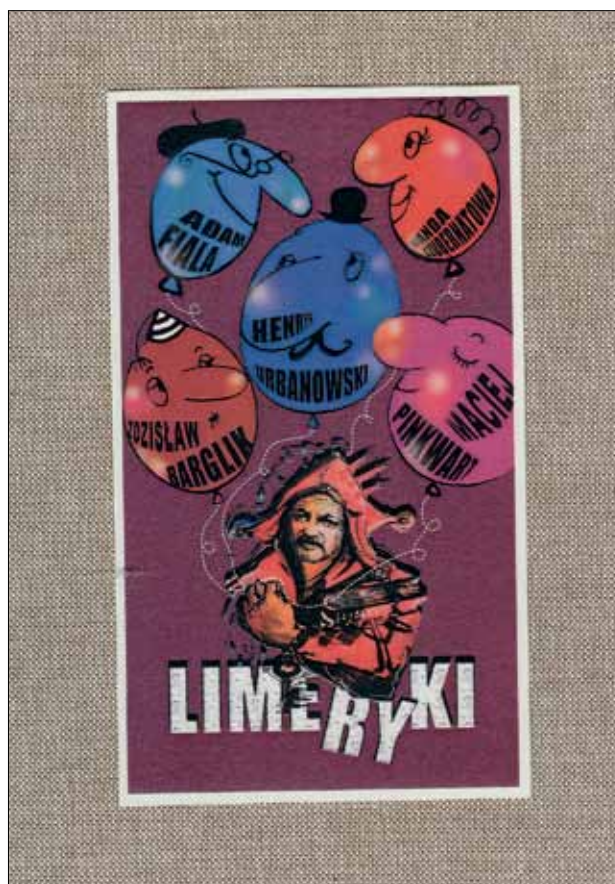
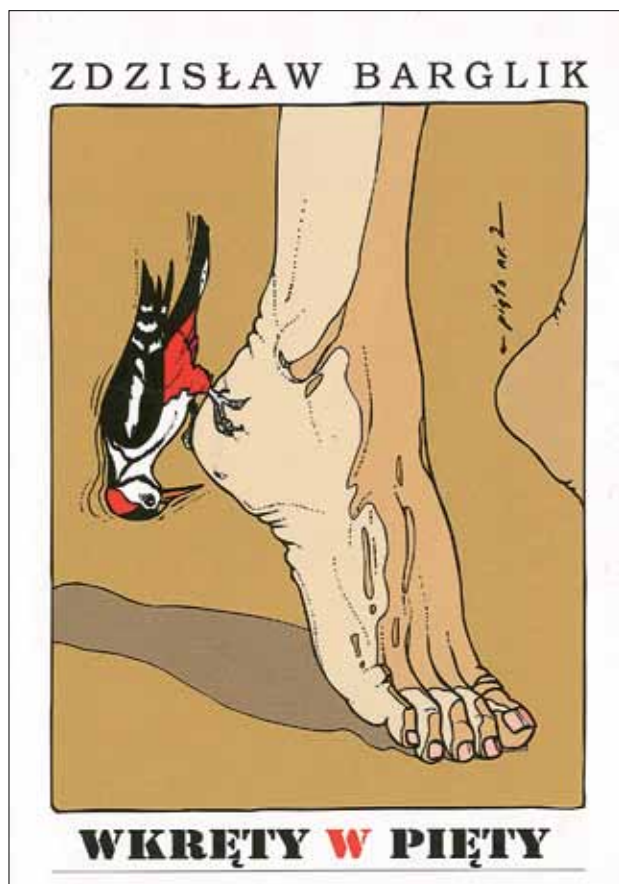
Toast

Wznieśmy w górę bracia

serca i puchary,

dziś z piwem w tej karczmie

trzeba nam się wziąć za bary.



Choć w nierównej walce
przyjdzie nam się zmierzyć,
wzorem naszych przodków,
ducha tracić nie należy.

Pijmy zdrowie wszystkich
szczerze, z całej duszy,
do ostatniej kropli
trzeba beczki nam osuszyć.

Niech nam wszystko kwitnie
jak wiosną na stepie,
niech w naszej ojczyźnie
żyje nam się coraz lepiej.

Toast II

Hej nalewajcie w kufle, szklanice,
złocisty napój moczary,
zakłócać luzu, śmiechu, radości,
niech nikt nam się tu nie waży!

Jest czas na pracę, jest czas na smutki,
jest czas na zębów zgrzytanie,
lecz gdy zesłaliśmy się dla zabawy,
to niech się właśnie tak stanie.

Niech wykrzywiają się abstynenci,
niech ksiądz narzeka z ambony,
wypite piwo swą mocą czyni
świat miłszym niż jest stworzony.

Z FRASZEK

Nałóg

Ma miękkość charakteru graniczy z nałogiem,
to chyba genetyczne, nie moja w tym wina,
że kobiecie – leżącej – nie umiem być wrogiem,
choć mi żona karczemne burdy o to wszczynają.

Szanuj wątrobę

Zamiast stresy leczyć wódką
daj zarobić prostytutkom

Ojczyzna jak dziewczyna

Ojczyzna jak kochanka młoda,
żeruje na swej ofierze;
gdy serce jej swoje oddasz,
pieniądze ci sama zabierze

Uczony niedouczony

Uczonym był – przez wiele lat,
wymogom wielu sprostał,
uczonym był, to pewny fakt,
lecz nigdy nim nie został.



Bedem haw lezara choćby do wieczora,
Ja2 sobie przydybie zbójnika - sponsora!

Potęga nawyku

Choć diabli wzięli jego czuprynę,
z przyzwyczajenia czesze łysinę!

Szanuj

Szanuj nieuka i tępaka,
uśmiechem witaj go kordialnym;
to on, przy twojej wiedzy brakach
sprawia, że jesteś genialny

Zdzisław Barglik współpracuje też z góralskim kabaretem „Truteń” z rodzinnej Skawy, oraz kapelą „Ogórki” z Cichego. Owo-

cem tej współpracy jest ostatnia płyta kapeli pt: *Nasa Muzyka* wydana przez krakowskie wydawnictwo Terceet. Płyta ta zawiera piosenki do melodii góralskich, niekoniecznie podhalańskich. Są tam melodie słowackie, węgierskie i lemkowski, a także Zdzisława Barglika i Stanisława Ogórka. Większość na ogół żartobliwych tekstów jest autorstwa wyżej prezentowanego. Tak napisał o tej płycie Jan Masajada:

Piękne dziś mamy czasy, kolego Zdzisławie,
Gra nam NASA muzyka, co już NASZA prawie.
Jest piękna, krzepi serce i duszę przenika,
Bogaci słowotwórstwem górala-górnik.

Zdzisław Barglik urodził się 25 listopada 1949 roku w Skawie, gmina Raba Wyżna. Po ukończeniu Technikum Górnictwa Odkrywkowego w Krakowie kontynuował naukę w Akademii Górniczo-Hutniczej, uzyskując w 1972 roku tytuł inżyniera górnictwa w zakresie eksploatacji odkrywkowej. Po studiach pracował do 1980 roku w Zakładach Wapienniczych w Wojcieszowie, następnie w zakładzie przeróbczym kamienia wapiennego w Tarnowie Opolskim, któremu „szefuje” już 30 lat. Zakład ów, LABTAR, wytwarza mączki i produkty gruboziarniste stosowane jako kredy pastewne, sorbenty do odsiarczania, wypełniacze do mas bitumicznych i tynków na bazie gipsów oraz inne produkty, z których wiodącym są pyły przeciwwybuchowe stosowane w górnictwie węgla kamiennego, który to produkt firma wytwarza od 1970 roku, będąc jego podstawowym producentem.

Wśród jego licznych zainteresowań znajduje się działalność na rzecz wspierania kultury góralskiej oraz twórczość pisarska. Jest miłośnikiem twórczości poetki Wandy Czubernat, której wiersze są dla niego inspiracją. Uważa, że górale mają ogromne poczucie humoru, tylko że zbyt rzadko go okazują. Wydał cztery tomiki wierszy, w większości satyrycznych. *Prztyczki i potyczki* oraz *Wkręty w pięty* w języku literackim i *Na zbójnickom nute* oraz *Baciarskie nuty* w gwarze góralskiej. Jego wiersze znalazły się w antologii poezji Podtatrz *Góralskie serce w zielonym listku pieśni* oraz pracy zbiorowej *Limeryki*.

Andrzej Kapłanek

Inżynier, publicysta, prozaik, poeta, podróżnik, żeglarz. Jest autorem kilkunastu książek przetłumaczonych także na kilka języków europejskich oraz tomiku wierszy. Urodził się w 1940 roku w Knurowie, tam ukończył szkołę podstawową i zdał maturę w liceum ogólnokształcącym. Po ukończeniu w 1963 roku studiów na Wydziale Górniczym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, pracował w kopalniach: Szczygłowice, Knurów, Dębieńsko, przechodząc wszystkie szczeble górniczego zawodu od ładowacza, sztygara, dyrektora kopalni, dyrektora zjednoczenia, aż do szczebla ministerialnego. Dozgonny patriota Śląska. Kulinaryny koneser z kubkami smakowymi Brillant-Savarina. Miłośnik win mozelskich, interesujących kobiet, ciekawych rozmów. Ulubione hasło: „Precz z preczem!”. Zodiakalny Skorpion, abnegat, charakterologiczna mieszanka stoika i choleryka (!) – jak sam o sobie pisze.

Nie jest łatwo zamknąć w kilkunastu zdaniach życie bogate w zdarzenia. Łaskawość pomógł mi zrealizować zaprogramowane w młodości marzenia, choć nie obyło się bez kłopotów i rozczarowań. Od czego więc zacząć? „*Prima le radici, poi le ali*” – mawia mój włoski przyjaciel. Najpierw korzenie, potem skrzydła. Moje korzenie wrosły w śląską ziemię. Gdyby zapytano mnie kim jestem, odpowiedziałbym: „Ślązakiem mieszkającym w Polsce”. Niemcy na określenie ojczyzny mają dwa słowa: Vaterland i Heimat. Moim Vaterlandem jest Polska, zaś Heimatem – Śląsk, ale także zanurzona w kokosowniczych miazmatach górnicza osada Knurów, wraz z familokiem, króliczkiem, gołębnikiem i ogródkiem. W takim otoczeniu spędziłem dzieciństwo. Tam uczono mnie, co w życiu ważne, tam kształtowały się wyznawane wartości, tam rosły mi skrzydła, na których wystartowałem do samodzielnego życia. Fruwam po dzień dzisiejszy, choć skrzydła nieco oklapły, za przyczyną przypisanym wiekowi dolegliwości.

Wcześniej, ponad pięćdziesiąt lat temu, po zdaniu egzaminów wstępnych, otrzymałem przepustkę otwierającą bramy krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Dla chłopaka z małego miasteczka Kraków był miejscem magicznym. Sędziwe kamienice, ulice wywołujące wspomnienia pełne historycznych odniesień, Planty z dokuczającymi wiewiórkami, gołębie na Rynku, mroczne wnętrza kościołów wypełnionych wielobarwnymi smugami światła filtrowanego przez witraże, a na dodatek „zaczarowana doróżka, zaczarowany doróżkarz, zaczarowany koń”. To było miejsce, gdzie wciąż się coś działo, w każdej suterenie, w każdej dziupli, na każdym poddaszu. Śpiewała Demarczyk, reżyserował Kantor, błaznował Wiesiek Dymny i Piotr Skrzynecki. Raz w roku rozbuchane, szalone Juwenalia, a na co dzień Piwnica pod Baranami, Cricot 2 w Galerii Krzysztofory, Krystyna Skuszanka próbująca dotrzeć do robotników Nowej Huty wystawiając *Księżniczkę Turandot* Gozziego oraz *Myszy i ludzi* Steinhilbera.

W trzy miesiące po zaaklimatyzowaniu się na krakowskim bruku, schodziłem monumentalnymi schodami w holu A-0, by zostać pasowany na górnika. Pochód lisów prowadził Wiesiek Ochman, student Wydziału Ceramicznego, a jego potężny tenor wibrował, unosił się ponad głowami studentów i dostojnych gości. Nikt nie przypuszczał wtedy, że za parę lat jego głos rozbrzmiewać będzie z największych scen operowych świata. A ja, zdenerwowany i rozdygotany, wstępowałem w świetle reflektorów i kamer na wielką bryłę węgla, aby złożyć ślubowanie, że górnictwu zawodowi dochoвам wierności i powagi. Potem skokiem ponad rozpiętą „skórą” zademonstrowałem fizyczną sprawność niezbędną w tym zawodzie i wreszcie klęcząc przed profesorem Witoldem Żabickim, który wcielił się w rolę Starszego Kopackiego, usłyszałem słowa, którym pozostałem wierny przez wiele następnych lat: „W twoje ręce przekazuję skarby ukryte w polskiej ziemi. Gospodaruj nimi oszczędnie i mądrze. I pamiętaj, że stan nasz jest pełen trudu, ciężkiej pracy, poświęceń, ale także szlachetności i rycerskości. Uderzeniem tej bardy przyjmuję cię w szeregi gwarków. Bądź nam bratem i przyjacielem”.

Jakże odległe wspomnienie... Klęcząc przed mistrzem ceremonii, nie przypuszczałem, jak długa czeka mnie droga, od stażysty, nadgórnika, aż po dyrektorski fotel. Gdyby wtedy postawiono przede mną czarodziejską szklaną kulę i gdybym zobaczył w niej siebie w mundurze z dyrektorskimi szlifami, potraktowałby to jak wizję z pogranicza science fiction. Wciąż czułem się chłopcem z familoków. A dyrektor kopalni był kimś niewyobraźalnie wielkim, odległym od najśmielszych marzeń. A jednak... Po latach terminowania na kopalni Szczygłowice, powierzono mi kierowanie sąsiednią kopalnią Dębieńsko. Osiemdziesiąt lat wcześniej mój dziadek głębił jeden z szybów tej kopalni, teraz ja, trzeci w górnictwie, wielopokoleniowej rodzinnej sztafecie, przejąłem po nim paleczkę. Przetwarzałem na tym stanowisku pięć lat, gdy kolejny „kopniak” w górę usadził mnie w fotelu dyrektora rybnicko-jastrzębskiego zjednoczenia, przemianowanego niebawem na Przedsiębiorstwo Eksploatacji Węgla Południe, a potem na stanowisku Zastępcy Dyrektora Generalnego Wspólnoty Węgla, spadkobierczyni zlikwidowanego Ministerstwa Górnictwa.

Wytrzymałem na tym stanowisku zaledwie rok, bo był to w Polsce gorący czas zawirowań i historycznych przemian, a ja chciałem być tylko inżynierem i nie miałem politykiambicji. Tymczasem większość czasu spędzałem na stresujących negocjacjach ze związkowymi bossami, zajmując się sprawami drugorzędnymi. Impulsem, który przyspieszył decyzję o rozstaniu z górnictwem, było polecenie ówczesnego min. Tadeusza Syryjczyka nakazujące przekazać ekspertom Banku Światowego komplet danych o zasobach geologicznych naszych złóż naturalnych. Każde państwo stara się chronić takie informacje przed upowszechnieniem, bo mają wartość strategiczną. My mieliśmy udostępnić je beztrudno, w zamian za obietnicę pożyczki na restrukturyzację górnictwa węglowego. Restrukturyzacja ta miała polegać m.in. na zamknięciu czterdziestu kopalń, likwidacji eksportu, z równoczesnym sukcesywnym przejściu Polski na import węgla. Nie chciałem brać udziału w takich, z punktu widzenia społecznego, szkodliwych „zabawach”, bo kredyty trzeba przecież spłacać.



fort. arch. AK

A eksperci Banku Światowego za nasze pieniądze chcieli wyeliminować polski węgiel z rynków zbytu, a w przypadku niedoborów w kraju, zalecali im port. Prymitywna zagrywka rodem z podręczników kolonializmu. Dlatego skorzystałem z przysługujących górnikom uprawnień, przechodząc natychmiast po ukończeniu pięćdziesięciu lat na górniczą emeryturę.

Jednak nie miałem ochoty spędzać reszty życia jako rentier, na leniwym dolce far niente. Posłuchałem zachęt Lecha Wałęsy, by „brać sprawy we własne ręce” i z grupą przyjaciół zacząłem od zera budować sieć dużych obiektów handlowych. Stanowisko prezesa spółki akcyjnej było atrakcyjne z dwóch powodów. Po pierwsze stawiało przede mną nowe wyzwania, z dala od politycznych przepychanek. Po drugie – dawało możliwość zaspakajania pozazawodowych zainteresowań. Wreszcie miałem czas, by żeglować po oceanach, włóczyć się po górach, zaliczać alpejskie ściany, podróżować po świecie, a przede wszystkim pisać. Pisałem od wczesno młodzieńczych lat, najpierw do szuflady, potem zachęcony przez redaktora Wilhelma Szewczyka, znakomitego piewę i fana Śląska, zacząłem drukować. Z tych moich globtroterskich fascynacji zrodziło się kilkanaście książek. Niektóre przetłumaczone, zdobyły uznanie również

poza granicami Polski, a także znalazły się kilkakrotnie na czele krajowych rankingów, jako książki miesiąca.

Na spotkaniach autorskich często pada pytanie: „Co gna pana po świecie, nakazuje znosić rozliczne niewygodny, sphywać potem, narażać na niebezpieczeństwa?”. Trudno zamknąć odpowiedź w kilku słowach. Czy jest to tylko szukanie przygody, chęć podniesienia adrenaliny? A może usiłuję zapelnąć wewnętrzną pustkę, by móc o tym pisać, zastanawiać się, analizować, dojrzewać duchowo. Przyłot do nowego miejsca, na nowy kontynent, rozbudza we mnie płomień, zaciekawia, wypelnia emocjami, oczekiwaniem na sygnał, impuls otwierający drzwi do tajemnic świata. Jest chyba we mnie jakieś skrzywienie, odchyłka od ewolucji, która dawnych nomadów zakotwiczyła, przypisała do domu, do miejsca urodzenia. We mnie wciąż przeważają geny klasycznego wędrowca. A może napędza ta sama idea, której ulegli prawosławni bieguni, o których pisze Olga Tokarczuk: „Uwierzyli, że świat nasiąknięty jest złem, przed którym uchronić może ruch, podróż. Kto się – zatrzyma skamienieje, kto przystanie, zostanie przyszpilony jak owad, jego serce przebijie drewniana igła (...). To dlatego tyrani wszelkiej maści, przymusowo osiedlają wszystkich wolnych ludzi, naznaczają adre-

sem, który dla nich jest wyrokiem”. Nie chcę być przyszpilony, ani zaetykietowany, naznaczony kodem kreskowym. Dlatego uciekam tam, gdzie nie sięgają macki żadnego tyrana, gdzie nie mogą mnie namierzyć ich czule instrumenty pomiarowe. Dlatego wędruję, wciąż wędruję, goniąc uciekający horyzont.

Niestety, przekroczyłem już ową Conradowską „smugę cienia”, a prawdziwa starość z wszelkimi przypisanymi jej dolegliwościami czai się na odległość wyciągniętej ręki. Mam jednak „wciąż nadzieję, że to jeszcze nie koniec niespodzianek przygotowanych dla mnie przez los na tym najpiękniejszym ze światów”. Wciąż mam ochotę wędrować, poznawać, odkrywać, a potem dzielić się przemyśleniami ze swoimi czytelnikami. Nadzieja to uzasadniona, bo przecież człowiek został zaprojektowany na sto dwadzieścia lat, a ja nie zamierzam ułatwić niczego naszemu cienko przędącemu ZUS-owi. Kocham życie z jego urokami, zapachami, doznaniem, urodą dziewcząt, smakiem wina. Tyle zostało do odkrycia, poznania, spenetrowania: tajemnice skryte pod kożuchem dżungli, pod piaskami pustyni, na andyjskich płaskowyżach, pod powierzchnią mórz. To wszystko przede mną... tak myślę!

Z kopalnianych podziemi do tropikalnych lasów i na andyjskie płaskowyże

Podróż, wędrowka – to jedno z kilkunastu młodzieńczych marzeń, które z biegiem lat nie tylko wzbogaciło, ale stało się moim sposobem na życie. Wielokrotnie zastanawiałem się, jaki jest sens tej pasji, jakie było jej źródło? Duży w tym udział miał wybrany przeze mnie zawód. W kopalnianych podziemiach, w zapyłonych ścianach, w jazgocie maszyn, spędzałem dniennie po dziesięć i więcej godzin, bo w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku dniówka rzadko kończyła się normalnie. Awaryjne maszyny, obwały, braki materiałowe, nie usprawiedliwiały nie wykonania napiętych planów. „Dofedrowywało się” między zmianami oraz w niedziele. Tęskniłem więc za widokiem słońca, za zapachem lasu, otwartymi przestrzeniami nie skażonymi widokiem szybów, kominów, hald; za życiem bez stresujących odpraw, wrzasku przelożonych. Każdą wolną chwilę spędzałem na górskich szlakach, skalnych ścianach, pokładach jachtów. Dopiero tam czułem się wolny, bo nie było faksów, telefonów, mogących mnie ściągnać awaryjnie na kopalnię z powodu zawału, pożaru, lub innego równie ważnego powodu.

Lecz nie tylko uroki natury i zapach przygody inspirował moje wędrowki. Pewnego dnia odkryłem, iż na Ziemi zachowało się wciąż wiele tajemniczych miejsc, czekających na eksploratorów. Stało się to podczas jednego z atlantyckich rejsów, gdy sztorm i awaria jachtu zmusiła nas do szukania schronienia w Larache na afrykańskim wy-

brzeżu. Włóczęc się po okolicy natknąłem się na niezwykle ruiny, a miejscowy przewodnik wprowadził w historię Lixus – „miasta założonego nie wiadomo kiedy, i nie wiadomo przez kogo. W każdym razie, gdy około 1000 r. p.n.e. zjawili się tu Fenicjanie, odkryli pozostałości megalitycznej kultury, która gigantycznymi, granitowymi monolitami po-



fol. arch. AK

ślugiwała się z taką łatwością, jak dziecko klockami Lego. Kamienie te do dziś nie odkryły tajemnicy swego pochodzenia (...). O tych pierwszych budowniczych myślałem nieustannie po powrocie do kraju. Wracałem wspomnieniami do dnia, kiedy kluczyłem wśród stert kamieni, będących kiedyś pałacami, świątyniami i portowymi magazynami miasta wzniesionego przez pradawnych czcicieli Słońca. Z jakiej inspiracji, z czyjego polecenia przywleczono na szczyt tego wzgórzka te gigantyczne, ważące dziesiątki ton głazy? Obrobiono je, wypolerowano i spojono z milimetrową precyzją, nawet wtedy, gdy zamiast prostopadłościanu trzeba było wycinać skomplikowany wielościan. Jakże podobna jest ta technika do tej, którą spotkać można w Egipcie, Meksyku i Peru (fot. 1): wszędzie tam, gdzie wznoszono świątynie na cześć najwyższego bóstwa – Słońca. To jedyna paralela, jaka przyszła mi do głowy, kiedy stałem tam, na afrykańskim wybrzeżu na jednym z tych kamieni, mając przed oczami bezmiar atlantyckich wód, a za plecami cały rozległy kontynent, ciągnący się po Egipt i dawne fenickie ziemie”.

Lata płynęły, a ja nie zapomniałem o przypadkowej wizycie na marokańskim wybrzeżu. Tkwiły we mnie zarejestrowane tam obrazy, a nie zaspokojona ciekawość podsuwała pytania, na które wciąż nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Im bardziej obrastałem w fachową literaturę, zglębiałem uczone rozprawy, śledziłem dyskusje specjalistów, tym więcej dostrzegałem luk w rozumowaniu, sprzeczności, uciekania od niektórych niewygodnych tematów. Efektem tych zabiegów było niepokojące wydłużenie się listy pytań i wątpliwości, na które nie znajdowałem odpowiedzi na kartkach książek. Wciąż brzęczało mi w uszach to jedno pytanie: kto i po co zadał sobie tak wiele trudu na tym pustynnym afrykańskim brzegu? I męczylbym się z nimi jeszcze długo, gdyby nie kilkanaście fascynujących podróży...

Jedna z wypraw zaprowadziła mnie do Mezoameryki, u której brzegów kończy bieg



for.arch.,AK

wielka atlantycka rzeka – Prąd Kanaryjski łączący dwa kontynenty: Afrykę z Ameryką. Tam odkryłem budowle podobne do tych w Lixus, ale także prekolumbijskie cywilizacje Olmeków, Zapoteków, Misteków, Tolteków, Azteków, Majów, zadziwiających dokonaniem. To dzięki nim na Europejskich stołach zagościły pomidory, kakao, kukurydza. Ze zdziwieniem odkryłem, że astronomowie Majów o kilkaset lat wyprzedzili Europę w ustaleniu długości roku słonecznego, czyniąc to z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku. Z podobną dokładnością ustalili czas obiegu Wenus wokół Słońca, śledzili ruchy innych planet, potrafili przewidywać zaćmienia Słońca i Księżyca. To w prekolumbijskich legendach znalazłem opisy globalnych kataklizmów, które zagroziły życiu na Ziemi. Opisy te z zadziwiającą dokładnością pasują do efektów kosmicznych impaktów, choć przez długi czas traktowano te związki z niedowierzaniem. Dopiero autorytet Luisa Alvareza, laureata nagrody Nobla, uwiarygodnił związek między upadkiem asteroidy w rejonie Zat. Meksykańskiej, a wymarciem dinozaurów.

Artyści Olmeków rzeźbili w bazalcie ogromne, wielotonowe posągi o negroidalnych głowach (fot. 2) tysiąc lat wcześniej, zanim stopa pierwszego czarnoskórego stanęła na amerykańskiej ziemi. Wędrowałem po Ameryce Środkowej śladami Quetzalcoatl, legendarnego herosa czczonego przez prekolumbijskie ludy, który jakoby przybyć miał „ze wschodniego morza” i w tamtą stronę odpłynąć. Dociekałem kim był ten przybysz o białej skórze, rudych włosach, który nauczył Indian uprawy roli, metalurgii, podstawił matematyki, astronomii, tajemników architektury. Próbowałem odpowiedzieć na pytanie, czy sławna piramida w majańskim mieście Palenque jest grobowcem tegoż Quetzalcoatl vel Votana, bo tak nazywali go Majowie.

Podobnie fascynujące odkrycia czekały na kontynencie południowoamerykańskim. Setki lat przed przybyciem Hiszpanów wznoszono tu gigantyczne budowle, lekarze dokonywali trepanacji czaszek, rzemieślnicy „potrafili spawać, kuć, odlewać, rozciągać, a nawet pozłacać i posrebrzać. Znalezione wyroby pokryte tak cienką warstwą złota i srebra, że współcześnie porównywalne wyniki osiąga się jedynie metodą galwanizacji. Do dziś najlepsi współcześni specjaliści nie potrafią rozgryźć tajemnic warsztatowych tutejszych rzemieślników, bo przecież trudno przypisywać im znajomość prądu elektrycznego”¹. Obrabiano wielosettonowe najtwardsze skały z milimetrową tolerancją. Na boliwijskim Altiplano, w pobliżu jeziora Titicaca na wysokości 3840 m. n.p.m. znajduje się kompleks ruin „sprawiających wrażenie wielkiego magazynu współczesnych prefabrykatów budowlanych, przez który przeszło gigantyczne tornado (fot. 3). Jednak do wykonania poszczególnych elementów zamiast betonu użyto twardego granitu, andezytu i diorytu, zaś ich ciężar przekracza sto ton. Szokująca jest precyzja obróbki poszczególnych ele-



for.arch.,AK



Fot. 4

mentów oraz skomplikowany kształt nadany przez... no właśnie, przez kogo? Ktoś przecież musiał zaprojektować dziesiątki przenikających się płaszczyzn, rowków, listew, rygli, czopów, otworów o przeróżnej średnicy, by potem kamieniarze wykuli je precyzyjnie, aby poszczególne elementy wyglądały niczym wytłoczone gigantyczną sztańcą". Wykuta z jednego monolitu o wadze kilkunastu ton Brama Słońca epatuje badaczy znaczeniem i precyzją wykutych na jej frontonie płaskorzeźb (fot. 4). Archeolodzy udowadniają, że prekolumbijskie cywilizacje Ameryki z metali знаły jedynie złoto, srebro i miedź rodzimą. Lecz narzędziami wykonanymi z tych metali nie można obrabiać diorytu, czy andezytu. Nie można również kolorowymi otoczakami, jak przekonują archeolodzy, nadać tym twardym skalom tak skomplikowanych kształtów. Komu więc przypisać te konstrukcje? To kolejne pytanie, na które trudno naleźć właściwą odpowiedź. Winić o to należy Kolumba i zastępy konkwistadorów, którzy niebawem ruszyli tam w poszukiwaniu osławionego Eldorada. Przybyli z krzyżem w ręku niosąc śmierć milionom Indian, niszcząc ich rozwiniętą kulturę. W tym kontekście Kolumb i jego następcy postrzegani muszą być jako bezwzględni łupieżcy, którzy zakryli Amerykę na wiele setek lat. Dopiero wiek XX rozpoczął ponowne odkrywanie zniszczonych kultur, upadłych cywilizacji, rozwijających się pod amerykańskim niebem od... no właśnie: od kiedy?.

Podczas zbierania materiałów do kolejnej książki spotkałem w Limie znakomitego podróżnika Jacka Palkiewicza, przygotowującego wielką wyprawę do amazońskiej dżungli w poszukiwaniu Paititi – ostatniej stolicy Inków. Jacek przekonał mnie, że nie jest to jakaś mrzonka, pogoń za wydumanym mitem. Przyszło mu to łatwo, bo wędrując po świecie, przekonałem się wielokrotnie, że nie można traktować mitów, jako oderwanej od rzeczywistości fikcji. Zawsze znaleźć można w nich ziarno prawdy w otoczce nieporadnych słów, wynikają-

cych z niezrozumienia oglądanych zjawisk. Dlatego przyjąłem zaproszenie do uczestnictwa w tej ekspedycji. Z Jackiem nie można się nudzić. Czas natychmiast nabrał niewiarygodnego przyspieszenia. Najpierw wplątałem się w prawie kryminalną aferę z udziałem huaqueros. Potem trekking słynnym El Camino de Inka – ścieżkami inkaskich kurierów poprowadzonymi na wysokości przekraczającej 4000 metrów. To fragment sieci dróg zbudowanych przez Inków – niezwykle osiągnięcia inżynierskiego o łącznej długości kilkudziesięciu tysięcy kilometrów. Na jego końcu czekała nagroda – kamienne miasto Machu Picchu. Architektoniczna perelka, чудо, robiące wrażenie dekoracji do fantastycznego filmu. Nie sposób zmieścić w kilku zdaniach ogromu i intensywności zaznaczonych wrażeń. To trzeba zobaczyć! Wreszcie przez wiele tygodni penetrowaliśmy dżunglę w rejonie Madre de Dios. Nie zakończyliśmy tych poszukiwań sukcesem. Po powrocie do kraju napisałem: „Na andyjskich płaskowyżach, w amazońskiej dżungli, dumny ze swych dokonań człowiek musi ukorzyć się niejednokrotnie

wobec tajemnic, opierających się racjonalnemu myśleniu. Musi umieć przelknąć gorzkie porażki. Porażki, która nie jest jednak klęską. Jest elementem poznawania siebie, krokiem do zrozumienia Nieznanego. Bo Paititi jest... tkwi gdzieś przykryte kożuchem dżungli, czeka na odkrywcę. Będziemy śnić o nim, my wymierające pokolenie nomadów. Będziemy tropić, organizować kolejne wyprawy, aż tajemnica przestanie być tajemnicą, aż zniknie ostatnia biała plama na mapach amazońskiej puszczy, aż dotkniemy naszego Paititi?.

Trudno w krótkim artykuliku zawrzeć ogrom doświadczeń, wrażeń, przygód zaznaczonych podczas wielu lat włóczęgi po świecie. Pod piaskami pustyń, na andyjskich płaskowyżach, pod grubym kożuchem dżungli, odkrywałem ze zdumieniem, że w XXI wieku wciąż jeszcze można natknąć się na nie rozwiązane zagadki epatujące tajemnicami, pobudzającymi wyobraźnię, prowokującymi do tworzenia własnych hipotez, wywołującymi spory. Lecz to one wzbogaciły moje życie. Było piękne i niezwykłe, a uległo przyspieszeniu, gdy odkryłem wielki i długo niewykorzystywany potencjał kryjący się w moim wnętrzu. Każdy może osiągnąć podobny efekt, jeśli zdobędzie się na odrobinę wysiłku. W jednej ze swych książek napisałem: „Zrób to! Warto! Masz – jak każdy człowiek – tylko jedną szansę; jedno krótkie życie. Spraw, by było wyjątkowe, unikalne, by nie przeciekło ci przez palce, jak miałki piasek podniesiony ręką na plaży. Spróbuj zatrzymać choć kilka ziarenek...

✎ **Andrzej Kapłanek**

¹ Andrzej Kapłanek, *Tropami Synów Słońca*.

² J. Palkiewicz, A. Kapłanek, *Eldorado polowanie na legendę*.

³ Andrzej Kapłanek, *I ty możesz być szczęśliwy, zdrowy, bogaty*.



Fot. 2

Stefana Bajera wspomnienia czasu studiów na Wydziale Geodezji Górniczej (1955–1960)

Poniżej prezentujemy fragmenty wspomnień, całość zostanie opublikowana w najbliższym wydaniu Informatora SW AGH

Praktyka – wakacje 1956

Pierwsze wakacje w okresie studiów rozpoczęły się praktyką uczelnianą. Mimo wytężonej pracy był to wspaniały czas. Cały pierwszy rok geodezji, obydwie sekcje: przemysłowa i górnicza zostały zgrupowane w ośrodku szkoleniowym AGH w Krościenku nad Dunajcem. Granit – tak się nazywał ten ośrodek. Był to piękny architektonicznie, secesyjny budynek willowy w parkowym ogrodzie, należący ongiś do rodziny dyplomatów. Wspaniałe otoczenie z Dunajcem i Pieninami w tle, dobre warunki pobytu i wspaniałe cechy dydaktyczne – to charakterystyka tej praktyki. Organizacja zajęć i fachowy nadzór pracowników naukowych AGH gwarantowały, że studenci w czasie sześciu tygodni jej trwania nie tylko praktycznie wykorzystali wiedzę nabytą w trakcie roku akademickiego, ale nauczyli się samodzielności w realizacji zadań i umiejętności kierowania grupą. Zostaliśmy podzieleni na cztero lub pięcioosobowe grupy zobowiązane do sporządzenia mapy sytuacyjno-wysokościowej fragmentu Krościenka z samodzielnym wykonaniem wszelkich niezbędnych pomiarów terenowych i prac kameralnych do produktu finalnego, jakim była mapa i jej prezentacją przed komisją zaliczającą praktykę włącznie.

Kierowanie pracą grupy było rotacyjne. Każdemu z członków grupy przypadł tydzień kierowania jej pracą. Rezultaty tej praktyki przewyższały efekty praktyk organizowanych w zakładach przemysłowych w sposób nie mieszczący się w jakiegokolwiek skali porównań.

Poza elementami dydaktycznymi czas tej praktyki to również okres integracji studentów całego roku, czas nawiązywania przyjaźni, pierwszych miłości, wspaniałych wycieczek i krotochwilnych przygód, z których niejedna, mimo upływu półwiecza, tkwi w pamięci wielu z nas do dziś. Ta i inne praktyki uczelniane stały się też na pewno tym co dziś powoduje, że tak chętnie i często się spotykamy pogłębiając nawiązane ongiś więzi, ważne w momencie, kiedy utraciliśmy wszyscy lub znacznie ograniczyliśmy związki z otoczeniem z czasów pracy zawodowej i coraz częściej czujemy, że zostaliśmy poza nawiasem życia społeczności, która nas otacza.

Z dzisiejszej perspektywy trzeba i to również podkreślić, że wiele z tych realizacji,



które się w nas wtedy dokonały zawdzięczamy pogodzie ducha i życzliwości kierownictwa praktyki.

Ponieważ zgrupowanie to 24 godziny wspólnego pobytu, życie nie kończyło się li tylko na pomiarach Krościenka, choć i te, przez kontakty z mieszkańcami, ciekawą zabudową i pięknym pienińskiego krajobrazu stwarzały niezapomniane przeżycia.

Czas wolny w kontakcie z młodzieńczą fantazją studentów i wyobraźnią akademickich opiekunów dawał tych wrażeń znacznie więcej.

A oto obrazy zachowane na kliszy pamięci.

Szachy

Kierownik praktyki pan dr Kalisz był człowiekiem rubasznym, pełnym humoru i lubiącym napoje wysokokowe. Można go było spotkać na terenie ośrodka sam na sam z butelką i szachami, szukającego kompana do rozegrania partyjki i do wspólnego spożycia zawartości butelki. Do nas studentów odnosił się z ogromną wyrozumiałością. W trakcie pobytu w ośrodku obowiązywał regulamin, który dotyczył zarówno samej praktyki, jak i czasu wolnego. Między innymi obowiązywała godzina ciszy nocnej. Po tej godzinie pobyt poza ośrodkiem był niedozwolony. Oczywiście studenci uznawali na ogół, że przepisy regulaminu są li tylko po to, by je przekraczać. Szczególnie dużo powodów znajdowali, by nie przestrzegać przepisu o ciszy nocnej i wracać do ośrodka po „godzinie policyjnej”. Drzwi wejściowe były wtedy zamknięte, ale od czego fantazja studencka. Metody były różne – od stukania w okno, rzucaniem w nie materiałów miękkich i wywoływania w ten dyskretny sposób kolegów do otwarcia drzwi, przez zоста-

wianie uchylonego okna na półpiętrze klatki schodowej, do wspinania się po rynnie. Dr Kalisz obserwował te zachowania i dziwił się, jak to się dzieje, że studenci, których nie było wieczorem po zamknięciu budynku, rano są jednak w swoich łóżka. Dziwił się i śledził nasze ruchy, a miał w tym, jak się miało okazać, ukryty cel. Śledząc wykrył uchylone okno. Pewnego wieczoru stwierdziwszy, że szczególnie wielu praktykantów opuściło ośrodek, około „godziny policyjnej”, po zgaszeniu światła usiadł na schodach nieco schowany za filarem i sącząc jakiś koniaczek czekał na przestępców. Pierwszy przestępca po otwarciu uchylonego okna, mozolnym wspięciu się na półpiętro i wejściu do budynku wpadł prosto w ramiona pana doktora Kalisza. Ten stojąc z szachami w ręce z groźną miną obrugał delikwenta strasząc ostrymi konsekwencjami do niezaliczenia praktyki, a na jego nieskładne tłumaczenia z niewinną miną zaproponował partię szachów i amnestię, pod warunkiem że jednym warunkiem, jej wygrania. Trafiał na grającego. Partię rozegrano na schodach, a widzami byli następni delikwenci korzystający z tej samej drogi powrotu. Kolega partii nie wygrał, bo szanse wygrania z panem Kaliszem były raczej nikłe, ale po wyrażeniu zgody na kolejne partie dostał rozgrzeszenie. Droga powrotu z szachami stała się tradycją.

Wizyta studentów z Freibergu

Było to jedno z ciekawszych acz nie rozrywkowych zdarzeń tej praktyki. Zjechała do naszego ośrodka grupa studentów z Akademii Górniczej we Freibergu. Dla większości z nas było to pierwsze zetknięcie z obcokrajowcami i pierwsza okazja do konfrontacji z inną, niż nasza krajowa, rzeczywistością. Wprawdzie nasi goście byli obywatelami kraju należącego do tego samego co my obozu „zaprzyjaźnionych krajów socjalizmu i postępu”, ale znalezienie wspólnego języka nie było łatwe. I nie tylko o barierę językową tu chodziło. Wielu z nas znało w jakimś choćby minimalnym zakresie niemiecki. Zarówno „My” jak i „Oni” nauczyliśmy się języka rosyjskiego. Próby nawiązywania kontaktów były jednak z początku bezowocne.

Dopiero Wspólny „bankiet” na cześć gości rozwiązał nieco języki. Mogliśmy wymienić informacje na temat miejsca zamieszkania, poznać swoje imiona, a nawet

wymienić się adresami. Jednak jakiegokolwiek pytania na temat zarobków, warunków życia, skutków wojny, zbywane były milczeniem. Wręcz wywoływały popłoch na twarzach rozmówców. Widać było, że granice swobody wypowiedzi obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej zostały ściśle określone, a nad poprawnością czuwają niewidzialne „duchy” tej demokracji.

Wśród polskich opiekunów niemieckiej wycieczki też pewnie byli „niewidzialni” czuwający nad naszą poprawnością ideologiczną, jednak wyczuwalny zakres swobody nie krępował naszych zachowań w sposób tak absurdalny jak to gołym okiem widać było w zachowaniu naszych gości.

My żyliśmy przecież w najweselszym baraku obozu socjalistycznego. Wśród innych baraków, w których ponurość i tragizm zniewolenia można było jednak stopniować w dość rozległej skali, czego dziś nie chcąc dostrzec, docenić surowi sędziowie historii PRL i zapiekli tropiciele agentury.

Walka o miejsce pracy

Miejsc pracy wtedy starczało dla wszystkich. Podaż wręcz przekraczała popyt. Tworzono je nawet na zamówienie nie bacząc na ich sens ekonomiczny.

A jednak tytuł, choć sens jego trzeba wziąć w cudzysłów, bo dotyczył tylko naszej wakacyjnej praktyki, mówi prawdę. Byliśmy tak w swoich zajęciach zaangażowani, iż zdarzało się, że dwie lub nawet trzy grupy usiłowały równocześnie zająć stanowisko pomiarowe. Powód był zresztą prozaiczny. Kto szybciej skończył pomiary ten miał więcej czasu wolnego. Którejś soboty moja grupa wykonywała triangulację stolikową. Właśnie pozostało nam jedno stanowisko do skończenia tego tematu. Należało przejść na południową stronę Dunajca i wdrapać się dość wysoko na stok wzgórza.

Byliśmy chyba w połowie tego stoku kiedy zobaczyliśmy zmierzającą do tego samego celu grupę kolegów. Ambicja i możliwość wydłużenia czasu wolnego wyzwoliła w nas rządząc rywalizacji o to kto pierwszy. Ruszyliśmy do ataku niosąc mnóstwo sprzętu, ostro pod górę rwaliśmy ile sił w nogach i płucach. Ja z dziennego przydziału niosłem na plecach ciężki i nieporęczny statyw. Kiedy już, już mieliśmy osiągnąć upragnioną przewagę nad równie zdeterminowanymi kolegami, odwróciwszy głowę w celu skontrolowania sytuacji potknąłem się i noga niesionego statywu utknęła głęboko w moim udzie. To był koniec naszej „walki o miejsce pracy”. Polatała się krew. Koledzy jęli ją tamować, a wreszcie zawiązawszy ranę jakąś podręczną szmatą przestraszeni uznali, że lepsze będzie przeniesienie mnie w dół stoku do lekarza. Lekarz obmył ranę, zdezynfekował, zapakował udo w bandaż

i co najgorsze zaaplikował surowicę. Kilka następnych dni przeleżałem w łóżku z gorączką i w podłym samopoczuciu. Na dodatek wszystkiego złego zostałem uznany za symulanta, który woli leżeć w łóżku zamiast odrabiać praktykę. Tymczasem cudowne lato aż zapraszało w plener i im dłużej leżałem tym bardziej chciałem wyjść z kolegami i tym podłej się czułem.

Den In dostaje nadpłatę stypendium

Den In to był nasz studencki koleżka co wprawdzie nie „w Afryce mieszkał”, ale z równie albo jeszcze bardziej egzotycznych stron pochodził. Był to Koreańczyk z Korei Północnej, kraju dopiero co doświadczonego okrutną wojną, którego społeczeństwo już wtedy poddawane było skutecznemu praniu mózgow. Skutek u naszego przyjaciela z Korei był taki, że nie mógł on odżalować faktu, iż jego brat został skierowany na studia do ZSSR, kraju przodującego komunizmu, miodem i mlekiem płynącego, a on tylko do Polski. Opowiadał nam też z dużym przekonaniem jak to po realizacji planu pięcioletniego Korea Północna, bogata i internacjonalistyczna będzie wysypywać ryż na granicy z Koreą Południową, aby zaspokoić głód współbraci żyjących w kapitalistycznym wyzysku. Co z tego wynikło wszyscy dzisiaj widzimy, a i Inek szybko się edukował i z dystansem zaczynał traktować przywiezione z kraju przekonania. Mimo swojego żalu o to, że do Polski, a nie do Kraju Rad ojczyzna go wysłała, szybko nawiązał przyjaźnię i nabierał naszych studenckich zwyczajów.

Kiedy dostał nadpłatę (co zdarzyło się w trakcie opisywanej praktyki) podwyższonego stypendium w kwocie dość znacznej jak na studenckie kieszenie postanowił nas ugościć, czyli zorganizował obławianie. Uczta nie mogła się oczywiście odbyć w naszej siedzibie, Granicie. Wymyślił się więc, że odpowiednim miejscem będzie nabrzeże Dunajca w miejscu, gdzie składowano splewane sęki drzewa. Inek wraz z kilku kolegami udał się do miejscowego sklepu GS i dokonał zaopatrzenia w postaci sporej liczby butelek wina o swojskiej nazwie „Trzy Korony” oraz zagrychy składającej się z tego co akurat było dostępne, więc z pewnością nie były to luksusy. Rozsiadliśmy się na pniach sosen i uczta się zaczęła. Był obecny prawie cały skład osobowy sekcji geodezji górniczej naszego roku. Nie pamiętam czy piiliśmy z butelek, czy z jakichś naczyni „pożyczonych” z miejscowej knajpy. Nie było to jednak problemem. Szybko nabieraliśmy wigoru. W eter popłynęły coraz głośniejsze śpiewy z akompaniamentem gitary w wykonaniu Józia i powtarzającą się piosenką, której kilka słów zapamiętałem, a która stała się prawie hymnem tej praktyki. „Dżon miał rację Dżon nie chcemy żon

ani kochanek...” – oto kilka jej słów. Im słońce było bliżej zachodu i mniej było butelek w aktówce tym na sągach drzewa było głośniejsze i weselej.

Kiedy zaś słońce jęło za wzgórze okoliczne się chować i zmierzch zaczął krajobraz przykrywać nastąpiła kulminacja pomysłów na zabawę. Ktoś z nas, nie pomnę czy In, czy ktoś inny, wpadł na genialny pomysł, którego zaczynem był upał wzmoczonej oparami wina i bliskość Dunajca, którego wody z pewnością mogły służyć za ochłodę. „Genialność” pomysłu polegała zaś na tym, że mieliśmy gęsiego, w ubraniach, wejść w wody Dunajca i iść jego rwącym w tym miejscu nurtem po dnie do momentu kiedy pierwsza głowa zniknie pod wodą. Nikt w tej atmosferze podwyższonego stanu adrenaliny nie zauważył w pomysłu ani odrobiny braku rozsądku.

Zmierzch zlewał się już z kolorem wody i tylko most na Dunajcu okazywał jeszcze swą ciemniejszą sylwetkę. Weszliśmy więc jako się rzekło gęsiego. Na czele bohater wieczoru Den In, a tuż za nim gromada kilkunastu chłopaków wpatrzonych w most, wrzeszczących ostatnie strofy piosenki „Płonie ognisko w lesie”. Wnet w nurcie wody ostygł nasz „winny” zapal i jeden z kolegów nagle otrzeźwiawszy krzyknął: gdzie In? Ina nie było widać, a nas ogarnęło przerażenie. Ponieważ szliśmy ukosem w kierunku środka nurtu rzeki i w kierunku mostu, gdzie woda była najgłębsza, najniższy z nas i najbliższy głębi, zrealizował właśnie kulminacyjny punkt programu zabawy. Coś po krzyku zabalgotano i sylwetka naszego fundatora zaczęła się wylinać z otchłani wody i ciemności. Czy to z rozsądku, czy z przypadku Inek znalazłszy się pod wodą i usłyszawszy ów krzyk zabalgotał chcąc nam dać sygnał o miejscu swojej obecności, a następnie skręcił w prawo w kierunku brzegu, gdzie dno szybko się podnosiło i jak nagle zniknął tak nagle objawił się ociekający wodą i zmarnięty. Cała gromada dopiero co rozochoconych kolegów błyskawicznie wyskoczyła z wody i bez słowa, oszołomiona swoją głupią brawurą i możliwymi jej konsekwencjami, ruszyła do domu. Dopiero następnego dnia rano odszukaliśmy teczkę Ina i zebraliśmy puste butelki.

Biała sala

Następnego dnia po owych ekscesach zakończonych kąpielą w lodowatej wodzie Dunajca, nastąpił ciąg dalszy wydawania stypendium Den Ina. Tym razem pomysł i realizacja zabawy były z rodzaju ekskluzywnych. Powziąwszy skądś wiadomości o znanej restauracji stanowiącej ozdobę sąsiadującego z Krościenkiem kurortu, Inek postanowił zabłysnąć i zaprosił całe towarzystwo do „Białej Sali” w Szczawnicy. Sam lokal, nieznaną większości z nas Szczawni-

ca oraz menu restauracji zrobiły wielkie wrażenie i podziały oneśmielająco na dość nieobytych młodzieńców. Co jedliśmy i co piliśmy tego pewnie nikt nie zapamiętał, bo i całe wydarzenie dawno zapadłoby w mroki niepamięci, gdyby nie to, co stało się na koniec libacji, a właściwie wczesnym rankiem dnia następnego.

Biesiadowaliśmy długo, do późnego wieczora. Z czupryn biesiadników kurzyło się jak nie przymierzając z ogolonych głów żoldaków Kmicica opisanych w „Potopie”. Wreszcie zmęczeni z perspektywą kilkukilometrowego marszu powrotnego zaczęliśmy myśleć o opuszczeniu milego lokalu. Poszukiwania kelnerki w celu zapłacenia rachunku, jak to często wówczas bywało nie przynosiły pożądanego skutku. Czas upływał, alkohol się uaktywniał, a kelnerka przepadła. Wreszcie zdenerwowanie lekceważeniem naszych pieniędzy i brakiem zajęcia

go podopieczni i zlokalizował winowajcę na podstawie prostego opisu wzrostu, karnacji i skośnych oczu wrzasnął tak, że jego głos dotarł pewnie na szczyt Trzech Koron: „Den In do mnie!”. Szyby w oknach zadrżały, ale Inek spał snem kamiennym nieświadom przykrości, która czekała za oknem. Dopiero, których kolejny gromki wrzask pana doktora postawił Ina na baczność. Pół ubrany, zdezorientowany, bosy i ze spodniami częściowo trzymany w rękach wypadł z pokoju, zbiegł po schodach do holu, gdzie wściekły z rozwidrzoną czupryną stał dr Kalisz. Stali tak na przeciw sobie przez chwilę, aż ochłonawszy nieco ze złości dr Kalisz już spokojnie acz zachrypłym głosem powiedział. „In. Na dworze stoi kelnerka z „Białej Sali”. Wiesz co masz zrobić?” Po czym pozostawiliśmy na środku holu kompletnie zdumionego Koreańczyka, zde gustowany nieuczciwością i bezden-

ne dni. Pomijając kwestie moralne, samo pominięcie w naszym rozumowaniu faktu, iż adres sprawców był wypisany na twarzy Ina świadczy bowiem o naszej bezdennej głupocie nawet jeśli jako okoliczność łagodząca przyjmie się nasz stan „po spożyciu”.

Po latach

Niektórzy z kolegów jeszcze przez wiele lat utrzymywali kontakty korespondencyjne z przemitym kolegą z dalekiej komunistycznej Korei. Podczas gdy u nas uścisk ustrojowy stawał się z latami lżejszy, u nich było coraz gorzej. Wynikało to zarówno z informacji środków masowego przekazu, jak i ze zmieniającego się charakteru kontaktów z Inem. Zmieniała się częstotliwość wymiany listów i charakter korespondencji. Listy pisane z początku otwartym tekstem stawały się coraz bardziej schematyczne, zdawkowe i pokrętne aż w końcu zaczęły przychodzić ze znamionami otwierania i cenzury. Listy kolegów do Ina w świetle jego odpowiedzi stawały się dla niego balastem. W końcu korespondencja się urwała. Było to dla nas niezrozumiałe. In pochodził z zasłużonej dla reżimu rodziny. Ojciec lekarz z wykształcenia był nawet przez jakiś czas ministrem zdrowia. Sądziliśmy, że z wykształceniem w Polsce In zrobi w swoim kraju szybką karierę.

Nic jednak na to nie wskazywało. Ciśsza w kontaktach wzbudzała raczej podejrzenia, że polskie wykształcenie stało się dla Ina obciążeniem. Szczególnie w świetle przemian po polskim październiku pobyt w tym kraju mógł być odbierany przez władze Korei Północnej jako niepożądany politycznie.

Tymczasem pod koniec lat siedemdziesiątych nadszedł list, w którym Inek informował kolegów, że będzie w Polsce, prosił o spotkanie oraz dawał do zrozumienia, iż liczy na pomoc w dokonaniu jakichś zakupów.

Do spotkania doszło. Okazało się, że In jest członkiem jakiejś delegacji gospodarczej, o której charakterze nie wiele można się było dowiedzieć ze względu na towarzyszącego mu stale „kolegę”. W jego obecności zaś o sprawach służbowych ani o żadnych problemach życia w Korei rozmawiać nie chciał. W sprawie zakupów „marzeniem” Ina była pralka i lodówka. Realizacja „marzenia” stanęła jednak pod znakiem zapytania ze względu na finansowych. Nie było go na taki wydatek stać.

Koleczy postanowili więc nie tylko dołożyć starań by zakupu w naszych warunkach braku wszystkiego dokonać, ale również wspólnie go sfinansować i przekazać jako prezent.

Den In był później w Polsce jeszcze kilka razy. Do spotkania z kolegami z uczelni doszło zaś raz tylko. Było to spotkanie



foto. arch.

po zakończonym konsumpcji spowodowało, że wśród śmiechów i bezładnej rozmowy zrodził się pomysł zakończenia imprezy i dania nauki kelnerce. Nasz kolega Roman zaproponował mianowicie opuszczenie gościnnej „Białej Sali” bez zapłacenia rachunku. Propozycja została bezkrytycznie i z radosnym aplauzem przyjęta. Jak poprzedniego dnia gęsiego do Dunajca, tak dziś gęsiego daliśmy nura w ciemność wieczoru i z pijackim śpiewem nie niepokojejni przez nikogo wróciliśmy do Krościenka. Granit jeszcze otwarty przyjął nas spokojnie razem z bożkiem snu Morfeuszem. Podwójnie zmęczeni pozasypialiśmy tak szybko, że w głowie żadnego z nas nie zdążyła zagościć myśl o możliwych skutkach popelnionego czynu.

Rano skoro świt wpadła na podwórko, na rowerze, zdyszana kelnerka z „Białej Sali”. Narobiła rabanu głośno domagając się widzenia z „dyrektorem ośrodka”. Po dłuższej chwili zjawił się zaspany dr Kalisz. Uspokoił zdenerwowaną dziewczynę, uporządkował potok jej chaotycznych słów w ciąg logicznych zdań i słuchając wpadał w coraz to większe ostupienie. Kiedy wreszcie dotarło do niego co nabroili je-

ną głupotą swoich podopiecznych odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nasz biedny sponsor stał jeszcze przez chwilę zanim dotarł do jego koreańskiej świadomości sens dziwnego nawet w jego rodzimym języku, a wydane przeciw po polsku polecenia, po czym jak błysk pioruna dotarły do jego małego jeszcze sprawnego mózgu zdarzenia z wczorajszej uczy. In poczerwieniał, co uwidoczniło się nawet pod śniadą karnacją jego twarzy, pobiegł skacząc po trzy schody do pokoju po pieniądze i równie rączo wrócił na podwórze, gdzie ciągle stała prawie płacząc kelnerka. Ujrzawszy Ina z pieniędzmi w rękę z uśmiechem podała mu rachunek wymieniając równocześnie należną kwotę. Ten zapłacił i ukloniwszy się powiedział „psiepraszam”, po czym zdesperowany zniknął z jej pola widzenia.

Kelnerka zadowolona wsiadła na rower i odjechała. Incydent się na tym zakończył. Nie było doniesienia o przestępstwie, ani konsekwencji ze strony kierownictwa praktyki. Kierownik dr Kalisz w dobroci serca uznał nasz wyczyn za efekt pijackiej głupoty i więcej do niego nie wracał. My, uczestnicy i inicjatorzy mieliśmy co rozważać przez następ-

smutne. In był prawie bez zębów, wyniszczony, a w spotkaniu towarzyszył mu oficjalnie „ochroniarz”, który go na krok nie opuszczał. Inowi ledwo udało się przemycić prośbę o kupno maszyny do szycia, mającej służyć jego żonie do „dorobienia” w tragicznej sytuacji finansowej. Warunkiem umożliwiającym Inowi przyjęcie prezentu był wszakoż taki sam prezent dla „ochroniarza”. Tak się stało. Po czym kontakty uwały się na zawsze.

Październik 1956

Od wczesnej wiosny w polityce wrzało. W lutym radziecki zjazd partynny zamącił w istniejącym status quo komunistycznej ideologii wyznawanej przez władze „bratnich” państw od czasów II wojny. Kult jednostki, a głównie Stalina, wydawał się instytucją nie do złamania, składnikiem ideologii komunistycznej właśnie.

Ludzie ptakali – niektórzy szczerze – nawet po jego śmierci, kiedy brak łez na twarzy nie groził już uznaniem za wroga ludu i wystaniem na żer białych niedźwiedzi.

Wbrew intencjom autora tego swoistego puczu, którego celem było zabezpieczenie interesów, a może i życia najbliższego partyjnego otoczenia w atmosferze walki o władzę po dyktatorze, „mleko rozlało się” jednak szerzej. Wielu obywateli satelickich republik socjalistycznych uznało wystąpienie Chruszczowa i przejęcie przez niego władzy na Kremlu za oznakę korzystnej zmiany. Jak konie po zmianie furmana i poluzowaniu cugli jęli próbować ile luzu da się bez awarii wykorzystać.

W takiej politycznej aurze rozpoczęliśmy drugi rok studiów. Początek roku sprzyjał raczej leniuchowaniu i weekend owym odwiedzinom w domach rodzinnych, a przy okazji utrwalaniem wakacyjnych znajomości i załatwianiem spraw życiowych przed zimowym okresem wzmózionej nauki. Ten poniedziałek był właśnie dniem powrotów. Zajęcia na uczelni zaczynały się na naszym roku w poniedziałki w porze popołudniowej. Wracaliśmy więc porannymi pociągami. Na dworcu w Krakowie wsiadało się w autobus komunikacji miejskiej i wysiadało tuż obok głównego wejścia do budynku Akademii Górniczo Hutniczej.

W tym dniu wysiadło wyjątkowo dużo studentów, którzy wracali z domów z okolicy Katowic. Po opuszczeniu autobusu zaskoczył nas tłum zgromadzony u wejścia do akademii. Studenci stali stłoczeni na schodach i chodniku. Na szczyście schodów ktoś przemawiał, a jego słowa coraz to przerywały okrzyki aprobaty na przemian z oklaskami. Cały wysyp z autobusu, z bagażami, powiększył liczbę zgromadzonych. Ciekawo powodu mieszałyśmy się z uczestnikami spotkania, nasłuchiwali i usilowali pytać sąsiadów. Tłum, nie wiadomo czy celowo zorganizowany, rósł teraz spontanicznie. Szyb-

ko też dotarł do naszej świadomości powód tego wiecu. Coraz częściej padały z mównicy i z tłumy słowa o przyjaźni polsko węgierskiej, skandowano powiedzenie „Polak, Węgień dwa bratanki”, słychać było wezwania do pomocy napadniętym braciom. Z mównicy padały informacje o tym, że sowieckie czołgi wkroczyły do Budapesztu, a tłum coraz zapalczywiej skandował „precz z sowietami, niech żyją Węgry”. Pięści studentów poszły w górę. Temperatura rosła. Zebrani zaczęli żądać wydania broni. Wyciągnięte w kierunku mównicy ręce wskazywały do kogo były adresowane. Przy mównicy stał dowódca studium wojskowego, który właśnie zaczynał przemawiać. Jego słowa utonęły jednak w totalnym krzyku. Nagle wszystkie głowy zgromadzonych odwróciły się w kierunku skąd narastał szybko łomot i warkot motorów. To od strony mostu Dębnickiego nadjeżdżała kolumna pojazdów pancernych. Czołwka jej dojechała do ul. Karmelickiej w stronę mostu Dębnickiego. Tłum zamarł na chwilę z zaskoczenia. Oto mieliśmy „braci sowietów” na wyciągnięcie ręki na drugiej jezdni Alei Trzech Wieszców. Motory w kolumnie pancernej pozostały włączone, a wieżyczki pojazdów pancernych z charakterystycznym chrobotem zaczęły się zwracać w naszym kierunku. Wyglądało to groźnie i mogło się здаwać, iż tłum rozpierzchnie się w panice wzajemnie trując. Tymczasem cisza trwała krótko. Wrzask w tłumie zgromadzonych studentów jak nagle się skończył tak szybko teraz osiągnął apogeum. Słowa „precz z sowietami” przeplatały się ze skandowanym żądaniem „dajcie broń, dajcie broń, dajcie broń...” Stan napięcia narastał. Studenci stojący blisko jezdni zaczęli wyrwać kostki bruku. Od tragedii mogły nas dzielić minuty. Na drugiej jezdni w swoich stalowych pudłach czekali ruscy. Czekali na prowokację, choćby rzut kostką brukową, która dawała okazję do zdławienia i polskiego, rozdającego się właśnie buntu. Na mównicy, w samą porę, używając megafonu przedarł się przez gęstniejącą wrzawę głos zastępcy komendanta studium wojskowego, który skrajnie zaniepokojony, spokojnie, lecz stanowczo przemówił do studentów. Dzięki zdobycemu wśród nich autorytetowi udało mu się przemówić do rozsądku rozbuchanych głów. Zwrócił uwagę na widoczne jak na dłoni zagrożenie, przedstawił możliwe skutki rosyjskiej prowokacji i postarał się odwrócić uwagę zebranych od pancernej kolumny. Za pretekst posłużyła informacja o kłamiwej roli prasy, która nie informuje społeczeństwa o prawdziwych przyczynach sytuacji na Węgrzech i w kraju, lecz powieła propagandę interpretującą rzeczywistość według linii partii. Następnie zaapelował, by studenci w spokojnym pochodzie przeszli pod redakcję Gazety Krakowskiej, by tam przedłożyć w imieniu społeczeństwa swo-

je postulaty i spalić symbolicznie dzienny nakład gazety. Po tych słowach tłum kierowany ciągle przez zastępcę szefa studium wojskowego uformował się w karną kolumnę czwórkową. Na czele stanął jej sprawca. Śpiewając patriotyczne pieśni kolumna formowana w marszu ruszyła w ulicę stanowiącą przedłużenie ul. Reymonta, przecięła Aleję Mickiewicza i wykorzystując lukę w kolumnie pancernej, lekceważąc ją, skierowała się w kierunku rynku i dalej pod siedzibę redakcji gazety. Zebrany tłum powiększony o napotkanych przechodniów wypełnił plac przed redakcją, skandując swoje żądania wywołał do okien dziennikarzy, którzy przyjęli je z aplauzem. Odezwały się oklaski i posypały na bruk gazety, które studenci ułożyli w stos i symbolicznie podpaliłi. Strazy ogniowej nie było.

Tymczasem w Alejach zawiedziona dywizja pancerna „bratniej pomocy” zwinęła szyki i opuściła granice Krakowa.

Tak skończył się incydent, który mógł się łatwo stać krwawym poniedziałkiem w Krakowie i zarzewiem pacyfikacji rozwijających się dążeń wolnościowych w Polsce, mógł utopić „polski październik”.

A na marginesie krótka refleksja z październikowych dni 2007 roku. Odpoczywając w swoim domku nad cudownym jeziorem Mausz, oglądaliśmy z żoną telewizyjne refleksje z tamtych wydarzeń i z prowadzonej później na ten temat rozmowy dowiedzieliśmy się wzajemnie, że oboje, nie znając się, wysiedliśmy przed akademią z tego samego autobusu i z walizką w ręce braлиśmy udział w opisanych wyżej wydarzeniach.

Sierżant Drabik i profesor...

Sierżant Drabik

Studium Wojskowe, jak powszechnie wiadomo, było najważniejszym przedmiotem akademickim w ówczesnych czasach radosnej twórczości, niezależnie od kierunku studiów. Najważniejszym zaś przedmiotem w tej branży musztra, która miała z „gnuśnego i nierozgarniętego” studenta stworzyć obrońcę socjalistycznej ojczyzny, a najważniejszą szarżą sierżant – wychowawca i intelektualny partner tegoż studenta na drodze do założonej, patriotycznej indoktrynacji.

Naszym nauczycielem patriotyzmu żołnierskiego był znany na całej akademii sierżant Drabik.

Bohater narodowy co to przebywszy w latach II wojny na piechotę drogę ze wschodu na zachód, od Lenino do Berlina, i osiadłszy w ziemi swoich ojców, być może Polaków, nawet zasłużonych w którymś z wielu przegranych powstań narodowych i wywiezionych w kibitkach w kierunku odwrotnym, teraz uważał się za uprawnionego w odwecie za doznane na wschodzie

upodlenia jego i jego przodków traktować nas studentów jak bolszewicy traktowali wrogów ludu. Uwielbiał prowadzić z nami musztrę w prostokącie ograniczonym budynkiem gmachu głównego AGH, blokiem A-1, drogą wewnętrzną graniczącą z parkiem krakowskim i ulicą Reymonta. Jedyłą zaś przyczyną upodobania sobie tego miejsca była bliskość ruchliwej ul. Reymonta. Był początek 1956 roku. Roku brzemienego w ważne wydarzenia, które i naszego sierżanta miały w przyszłości dotkliwie doświadczyć. Tymczasem jednak nic nie wskazywało na późniejszy przebieg wydarzeń. Sierżant Drabik czuł się mocno osadzony w panującym stalinowskim porządku społecznym. Swoje miejsce na ziemi traktował jako poletko, nad którym dano mu władzę absolutną, dano możliwość jej okazania przez upodlenie tej władzy podległych. Być może małe doświadczenie poletko na drodze do ważniejszych zadań na innym polu? Każdego poniedziałku, począwszy od drugiego semestru tutaj, nasz Sierżant zyskiwał pełnię władzy nad studentami pierwszego roku wydziału geodezji górniczej i górnictwa. Z jednej strony my jeszcze nieco zahukani, w za długich szynelach pewnie z demobilu drugiej ojczyznianej. Z drugiej On w chwale frontowej drogi przebytej w czasach tejże ojczyznianej. Też w szynelu, ale dopasowanym do wzrostu i tuszy. Z upodobaniem wydawał gromkie rozkazy: Padnij! Powstań! Wstajesz, jak ze starej baby! Kładziesz się jak baba w ciąży! Co tydzień narażał się tak niejednej grupie młodych „gniewnych”, którzy ugryźć wprawdzie nie mogli, ale szczekania zabronić im nie był w stanie żaden system. Złośliwe kawały na jego temat krążyły po akademii, więc i do Studium Wojskowego docierały, a wraz z nimi opinie charakteryzujące fachowość i kulturę obywatela Drabika, jako „towarzysza wychowawcę” i „specjalistę od najważniejszej dyscypliny nauk wojskowych – musztry”. Kiedy Październik zaczął nabierać rumieńców, odwilż stawała się politycznym faktem, a w studenckim środowisku zaczęło wrzeć, towarzysz Drabik okazał się w pełni świadom uczuć jakimi darzą go podopieczni i osobą niezwykle wrażliwą, szczególnie w zakresie własnego interesu. Nagle uwierzył, że jego los może zależeć od zwykłego poniewieranego studenta. I oto ten ordynarny sierżant na kolejnych zajęciach studium wojskowego zmienił się nagle w młodzieńca, gotowego nieba przychylić lekceważonym do niedawna szeregowcom. Zamiast normalnej polajanki na oczach mieszkańców Krakowa zaproponował nam ćwiczenia na „polach cygańskich”. Podjechał wojskowy „zis”. Na komendę zajęliśmy miejsca.

Przewiezieni „zisem” z demobilu spodziewaliśmy się wycisku przy kopaniu rowów strzeleckich, gdy tymczasem po

tradycyjnym „w dwuszeregu zbiórka! Bacznośćśśś! Spoczniiiiij!”, zamiast padnij zabrzmiało – „rooooozejść się” – po czym sierżant Drabik dodając – „wolno palić” – zebrał towarzystwo w cieniu krzaków na skarpie starego okopu, poczęstował palących papierosami i po słowach „wolno palić” przystąpił do wygłaszania monologu. „Wiecie – zwrócił się do nas – każdy z nas ma swoje zadania do wykonania, wasze to nauka, a moje nauczyć was drylu wojskowego, który jako przyszli oficerowie będziecie przekazywać żołnierzom. Może się wam narażę surowym drylem i odzywkami, ale im więcej potu na ćwiczeniach tym mniej krwi na wojnie. Ja jestem człowiek prosty, od młodego w wojsku, żadnej szkoły nie kończyłem i niczego innego robić nie umiem. Nigdy nie robiłem niczego złośliwie. Teraz łatwo kogoś skrzywdzić. Nowe władze, nowe porządki od wszystkich żądają...” Trwało to jakąś chwilę, po czym sierżant zamilkł smutny i nie doczekawszy się reakcji studentów dodał jeszcze, że liczy na to, że nie damy go skrzywdzić. Bez regulaminowych rozkazów kazał nam się załadować na ciężarówkę i odwiózłszy pod akademię zwolnił z dalszych zajęć. Smutno było patrzeć jak ten butny sierżant maleje w oddali nie tylko z przyczyn wynikających z zasad perspektywy. Okazało się, że było to ostatnie spotkanie z sierżantem Drabikiem. Po wakacjach zobaczyliśmy go, smolującego dach jednego z budynków uczelni. Zwolniono go ze Studium Wojskowego, ale krzywdy nie znalazł zatrudniony przy pracach zgodnych z kwalifikacjami.

Profesor ekonomii politycznej Bolesław Kłapkowski.

Co może łączyć nazwisko sierżanta Drabika i prof. ekonomii politycznej B. Kłapkowskiego? Pozornie nic poza miejscem pracy – Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie. Wbrew pozorom jest coś co ich łączy i pozwala spaść wspomnienia z ich udziałem jedną kłamrą. Jest to wspólna dla obu cecha – nadgorliwość ustrojowa.

Pan profesor prowadził wykłady z ekonomii politycznej wspólne dla studentów drugiego roku dwóch wydziałów, Górniczego i Geodezji Górniczej. Ze względu na liczbę, kilkuset studentów, wykłady odbywały się w budynku głównym w dużej amfiteatralnej sali. Rozpoczynały się o bardzo wczesnej godzinie i nie budziły entuzjazmu słuchaczy zarówno z powodu tematyki jak i pory. Studenci nie lubią wstawać i nie kochają przedmiotów odległych od kierunku studiów. Frekwencja na wykładach ekonomii politycznej nie zapowiadała się więc imponująco. Na dodatek pan profesor prowadził wykłady nerwowo i chaotycznie. Od pierwszego wykładu konsekwentnie dawał też do zrozumienia, że jest to najważ-

niejszy wykład w programie uczelni i jego lekceważenie będzie piętnowane i uważane za postawę antysocjalistyczną upoważniającą nawet do relegowania studenta. Szantaż ten nie budził entuzjazmu studentów, ale stopniowo przynosił zaplanowane skutki. Frekwencja na wykładach wzrastała.

Proporcjonalnie rosła też jednak liczba spóźniających. Profesor szalał. Po słownych polajankach rozpoczął notowanie spóźniających grożąc konsekwencjami ostatecznymi. Nie ograniczało to liczby spóźnień, ale zmieniło taktykę studentów. Po pierwszych wpadkach studenci zaczęli się gromadzić pod drzwiami auli i na sygnał wpadali do sali na poziomie podestu wykładowcy, by następnie w różnych miejscach wyłaniać się prawie równocześnie w ławkach, wdrapawszy się do nich od spodu, wywołując zamieszanie w głowie polującego na winowajców profesora. Powtarzało się to przez pierwsze pół godziny wykładu kilkakrotnie. Profesor wpadał w szał, wzywał upatrzone osoby do wstania i podania nazwisk. Jedyńm skutkiem było oczywiście kategoryczne zaprzeczenie wywołanych, a dowodów spóźnienia pan profesor nie posiadał, bo zapamiętanie w tym zamieszaniu, gdzie się jaki spóźniałski wyłonił było absolutnie niemożliwe nawet dla profesora „najuczciwszej z nauk”, ekonomii politycznej w socjalistycznym wydaniu. Były i owszem ofiary przesładowane następnie w czasie zaliczeń i egzaminów, ale z powodu braku pewności profesora nie prowadzące do sankcji ostatecznych. Tak się działo do października 1956 roku kiedy to wiatr historii zachwiał niektórymi dogmatami. Pan profesor jak sierżant Drabik spuścił z tonu, przestał ścigać spóźniających i sprawdzać listę obecności na wykładach, co się również przedtem zdarzało. Stał się jeszcze bardziej nerwowo i całkiem niepewny siebie, a zupełnie zadziwił słuchaczy kiedy począł się kłaniać studentom spotkanym w stołówce, w której się, w której się, uchylając kapelusza z naprawdę głębokim ukłonem. To samo tchórzostwo spowodowane świadomością niegodziwych lub asekuranckich zachowań w okresie poprzedzającym wydarzenia październikowe 1956 roku i obawą o swoją synekurę w obliczu możliwych, a nieznanych zdarzeń.

Obawy pana profesora podobnie jak sierżanta Drabika okazały się uzasadnione. Odwilż, choć tylko chwilowa, wymiotła ekonomii polityczną z programu nauczania. Profesor stracił katedrę (przynajmniej chwilowo), studenci cotygodniowy kabarecik, socjalizm zmienił nieco swoją fasadę, by odwrócić uwagę społeczeństwa i poprawić nastroje, ale im dalej było od październikowego entuzjazmu mas, tym rzeka ustroju szybciej i brutalniej wracała do starego koryta, mimo rozmytych nieco skarp wyraźnie zaznaczając swój niedemokratyczny charakter.

Studium wojskowe

To był najbardziej socrealistyczny przedmiot czasu naszych studiów i najlepiej odzwierciedlający powiedzenie „najweselszy barak naszego obozu”, dotyczące wprawdzie całej Polski tamtych czasów, ale stanowiące dobre zwierciadło i tego fragmentu naszego studenckiego życia. Było w tym względnie na głowę nawet ekonomię polityczną.

Składał się na ten obraz cały splot okoliczności. Dobór kadry, jej kwalifikacje, program nauczania, „funkcje” dodatkowo pełnione wobec studentów uczestniczących w zajęciach, język, a nawet zaserwowane nam umundurowanie. Drelichowe mundury i przydługie szynele, jak z armii kościuszkowskiej nie dodawały nam urody, a poziom nauczania wojskowego nie wiele pewnie odbiegał od prezentowanego w szkole podoficerskiej pod Riazaniem. Słownictwo dostosowane raczej do poborowych niż studentów wyższej uczelni i schematyczny poziom wiedzy wojskowej dawały często zaskakujące efekty.

Wykład

Pamiętam pewien wykład z instrukcji strzelania artyleryjskiego prowadzony dla studentów kilku wydziałów przez jakiegoś kapitała studium wojskowego. Tematem były materiały wybuchowe. Kiedy była mowa o prochu strzelniczym w formie rurek, stosowanym w pociskach artyleryjskich, wykładowca stwierdził, że przecinając rurki na krótsze odcinki zwiększa się objętość prochu i zmniejsza jego powierzchnię styku z powietrzem. Dla studentów była to oczywista herezja. Podniosło się sporo rąk na sali, a brak reakcji wykładowcy spowodował narastający szmer, który bardzo szybko zagłuszył słowa wykładowcy. Wtedy z braku innego wyjścia kapitan wrzasnął coś na temat nieregulaminowego zachowania i łaskawie dopuścił kogoś do głosu. Po stwierdzeniu przez studenta, że wskutek podziału rurki prochu to objętość się zmniejsza, a zwiększa powierzchnia styku z powietrzem, bo i o to w tej operacji chodzi dla zwiększenia skuteczności wybuchu. Pan kapitan na chwilę zaniemówił. Następnie przeczytał w skupieniu fragment swoich notatek po czym dobitnie stwierdził, że student oczywiście się myli, bo instrukcja strzelania artyleryjskiego rozstrzyga tak jak przedstawił to wykładowca.

Na sali wybuchła burza, harmider nie do opisanias las rąk, przekrzykiwanie się i salwy śmiechu. Wykładowca zbaraniał. Zwałpił we wszechwiedzę instrukcji, a może w swoją umiejętność czytania, wobec tego masowego protestu chłopaków bądź co bądź uczących się fizyki i matematyki. Następnie zebrał się w sobie i zrobił to co wojskowy w tej sytuacji jedyne mógł zrobić. Wrza-

snął baczność! Ogłosił półgodzinną przerwę i obiecał wyjaśnić sprawę. Po przerwie pan kapitan w ciszy, z absolutną pewnością siebie oświadczył. „Instrukcja strzelania artyleryjskiego uległa zmianie wobec czego należy zapisać: przecięcie rurki prochu na mniejsze odcinki powoduje zmniejszenie objętości i zwiększenie powierzchni styku z powietrzem w stosunku do stanu pierwotnego”. Następnie spakował notatki, ogłosił koniec wykładu, zapowiedział kolokwium na kolejnych zajęciach i zadowolony wyszedł zegnany gromkim śmiechem

Obecność na zajęciach

Mimo tych kabaretowych zdarzeń nie lubiliśmy studium wojskowego. Byli nawet tacy, którzy mimo niewątpliwych oznak dyscypliny wojskowej z powodu obstrukcyjnej niechęci spóźniali się notorycznie na te zajęcia. Nie pomagały zagrożenia niezaliczeniem roku, a nawet wyrzuceniem z uczelni. Nie pomagało samozaparcie w próbach stosowania specjalnych metod budzenia.

Do takich osób należał nasz kolega Janusz, współmieszkaniec w pięcioosobowym pokoju akademika na Reymonta. Poranne wstawanie nie było jego mocną stroną, a niechęć do wszelkiej dyscypliny powodowała, że wczesne wstawanie na studium wojskowe było dla niego szczególną udręką. Zagrożenie nie zaliczenia również innych przedmiotów zmobilizowało jednak Janusza do szczególnych działań. Kupił sobie dodatkowy budziki o szczególnie głośnym dzwonku i postanowił sprostać wezwaniu. Ponieważ jednak dotychczasowe doświadczenia współmieszkańców z budzeniem się Januszka były dla nas uciążliwe, a dla niego nieskuteczne uknuiliśmy szatański plan. Nasz przyjaciel w wieczór poprzedzający studium wojskowe wrócił do

pokoju wyjątkowo wcześniej. Nastawił obydwa budziki na godzinę szóstą i już o godzinie dziesiątej wtulił się w poduchy i poprosił o zgaszenie światel.

Odczekaliśmy w napięciu do momentu aż z łóżka śpiącego kolegi dotarło miarowe chrapanie i przystąpiliśmy do działania. Zmieniliśmy godzinę budzenia na godzinę czwartą z piętnastominutową różnicą dla drugiego budzika ku większej skuteczności i zadowoleni ze swego dzieła poszliśmy spać.

Mieliśmy wprawdzie wątpliwości co do skutków naszego planu znając zwyczajnie Janusza, który zwykle walkę z budzikiem kończył zwycięsko wsuwając go pod poduszkę bez wyłączenia dzwonka, natychmiast zasypiając choć drżała od jego dźwięku tuż pod głową.

Jednak tym razem Janusz zerwał się po pierwszym dźwięku budzika, wyskoczył spod koldry i nie gasząc hałaśliwego dzwonka budzika wskoczył po ciemku w przygotowane sorty mundurowe i wyszedł z pokoju nie zwracając uwagi na nasz udawany sen. Pożegnał go tłumiony chichot uzupełniony satysfakcją udanego kawala. Sprzyjał nam fakt, że w grudniu równie ciemno jest o czwartej jak i o szóstej. Sądziiliśmy, że Janusz zastawszy zamknięte drzwi akademii zorientuje się w sytuacji i przeklinając nasz kawal poczeka w okolicy do godziny siódmej. Niestety zwyciężyła chęć pospania. Po piętnastu minutach wrócił do pokoju, rozebrał się równie szybko jak ubrał i również po ciemku nie włączając budzika wsunął się pod koldrę, by równie szybko zasnąć.

Nie zbudziło go nasze głośne ubieranie jedzenie śniadania i hałaśliwe wyjście. Nie działały emocje zagrożenia. Janusz znowu zaliczył nieobecność na zajęciach studium wojskowego.

Ślązak. Urodzony w Knurowie – mieście górniczym w 1937 roku. Dumny jest z tej swojej Śląskości. 74 lata. Absolwent Wydziału Geodezji Górniczej AGH w Krakowie z lat 1955–1960. W 1961 roku otrzymał dyplom mgr. inż. geodezji górniczej. W 1972 roku ukończył studium podyplomowe w zakresie „Ochrona powierzchni górniczej” i w 1995 roku studia podyplomowe w zakresie „Szacowanie nieruchomości”. W 1966 roku zdobył uprawnienia zawodowe szacowania nieruchomości. W 1960 roku rozpoczął pracę zawodową w górnictwie na KWK Bolesław Śmiały i Szczygłowice. W 1966 roku uzyskał uprawnienia mierniczego górniczego. Do 1975 roku zatrudniony w Kopalni Węgla Kamiennego Szczygłowice jako mierniczy górniczy, a następnie zastępca kierownika działu mierniczo geologicznego. Od 1976 roku Kierownik Zakładu Terenowego Słupsk (teren województwa śląskiego) w OPGK Koszalin, a od 1981 roku główny specjalista do spraw kontroli technicznej, technologii i innowacji w WPGK w Słupsku. Geodeta uprawniony od 1986 roku. W latach 1979–1981 zaliczył przygodę z Libią pracując tam przy obsłudze geodezyjnej budowy dróg. Od 1975 roku członek SGP, ostatnio prezes koła terenowego w Słupsku i wiceprezes zarządu Środkowo Pomorskiego Oddziału Słupsk-Koszalin. Inicjator i organizator ogólnopolskich sympozjów dla biegłych sądowych geodetów i Koła Geodetów Biegłych Sądowych przy ZG SGP i wiceprezes tego zarządu. Od 28 lat biegły sądowy. Lubi poezję, trochę pisuje do szuflady – co jest zamiłowaniem wyniesionym z liceum. Zajmuje się także wspomnieniami z czasów młodości. Píše anegdoty z czasów licealnych, wspomnienia z okresu okupacji i z okresu studiów. Prowadzi wykłady dla geodetów ubiegających się o uprawnienia zawodowe.

Pożegnanie z Azją

Spotkanie z Azją było zarówno dla mnie, jak dla mojej żony całkowicie przypadkowe. Stało się to przed prawie czterdziestoma laty, gdy mieszkaliśmy w Lublanie – stolicy Słowenii. Wybieraliśmy się bowiem na spektakl Kathakali – teatru tańca z południowego stanu Indii – Kerali. Uporczywa niechęć do zaślnięcia młodszego z naszych synów zniweczyła nasz plan na wieczór indyjski. Jednakże kilka miesięcy później żona znalazła ogłoszenie w gazecie i wzięła udział w trzydniowej wycieczce do Indii przy okazji wylotu IV Jugosłowiańskiej Wyprawy Himalajskiej. Trzy miesiące później ta sama wyprawa wracała drogą lotniczą do Lublany, więc „dopelniano” samolot turystami do Indii i Nepalu. W ośmiodniowej wycieczce tym razem ja wzięłem udział. Nepal tak głęboko mnie zafascynował, że już po powrocie do Polski zorganizowałem dwie wyprawy do tego kraju, w pierwszej z nich wzięli udział głównie pracownicy AGH. W Indiach bywałem z żoną wielokrotnie (nigdy jednak nie dotarliśmy na południe tego kraju), głównie przejeżdżając tranzytem do Nepalu, w którym spędziliśmy w ciągu paru pobytów po-

nad pół roku. Z żalem pożegnaliśmy tę podhimalajską krainę z powodów, o których wspominam poniżej w jednym z opowiadań. Później, będąc już na emeryturze, podróżując samowtór ze żoną, zwiedziliśmy prawie cały Półwysep Indochiński (byliśmy wielokrotnie w Tajlandii, dokładnie ją poznając, dwukrotnie w Laosie, w Kambodży oraz w Birmie, zaś nigdy nie byliśmy we Wietnamie), Półwysep Malajski włącznie z Singapurem, spędziliśmy miłe chwile na wyspach położonych na Morzu Andamańskim oraz na Morzu Południowochińskim (na drugiej z największych wysp świata – Borneo – spędziliśmy podczas dwu podróży trzy tygodnie). W Indonezji, kraju 1200 wysp, byliśmy tylko na jednej, ale za to „rajskiej” Bali. To właśnie tam pomyślałem, że może już czas wziąć rozbrat z Azją? Stąd tytuł dla zbioru opowiadań – *Pożegnanie z Azją*.

Krótkie opowiadania zamieszczałem od kilkudziesięciu lat bądź pod pseudonimem Józef Biedruń, bądź pod własnym nazwiskiem w czasopismach górskich. Przyszły zbiór opowiadań zostanie wydany, dzięki pomocy prof. Wojciecha Góreckiego, kierownika Katedry Surowców Energetycznych AGH i zarazem prezesa Towarzystwa Geosynoptyków GEOS, przez właśnie to Towarzystwo w serii wydawniczej pod tytułem *Dawnych wspomnień czar*.

Yeshee nazwany Janem

Zdarzyło się to wiele lat temu, gdy z kolegami z AGH wędrowałem dolinami himalajskimi, w czasie wyprawy geologicznej. Aby móc dostać się w Himalaje, musiałem zorganizować całą wyprawę, gdyż inna, prostsza droga w tych czasach nie istniała. Na temat paszportów, „dewiz” i innych wątpliwych przyjemności związanych z kontaktami z ówczesnymi władzami regulującymi życie mieszkańców peerelu wypisano już morze atramentu, wysuszając niejednego kałamarz, a więc zamilczmy o tym! Uczestnikowi wyprawy wpadł jednak do głowy pomysł, aby z Krakowa w Himalaje „przejechać się” samochodem. Od pomysłu do jego urzeczywistnienia oczywiście droga była niełatwa, ale dzięki przychylności dyrektora ówczesnego przedsiębiorstwa GEOFIZYKA w Krakowie udało się nam wyjechać nowiutkim samochodem ciężarowym zazwyczaj służącym do prac terenowych wykonywanych przez geofizyków. Nie byłoby elegancko stwierdzić, że otrzymaliśmy również „dodatek” w postaci kierowcy-mechanika Władka, który już w czasie przygotowań do wyprawy okazał się być jednym z mocniejszych filarów tego przedsięwzięcia.

Po przybyciu do podhimalajskiego kurortu Pokhary nasz specjalista od metod elektrycznych w badaniach geofizycznych – Wicek, skąd inąd zapalony koniarz, będąc organizacyjnie kierownikiem karawany, natknął się był nad jeziorem Phewa Tal na młodego Tybetańczyka. Ngodup Tsering, bo tak się nazywał, został zaangażowany jako sirdar naszej ekspedycji. Wicek zaś krzątał się do prac związanych z organizacją transportu naszego bagażu ważącego ponad tonę. Tybetańczycy okazali się równie jak Wicek miłośnikami koni. Tak nawiasem mówiąc, było to wkrótce po rozbiću przez wojska nepalskie oddziałów Kham-pów działających w terenie Mustangu i urządzających „wycieczki”, w znaczeniu jakie stosował Mały Rycerz z Trylogii, na terytorium Tybetu. Kham-powie posługiwali się kawalerią i te koniki oraz oporzędzenie: siodła, rzędy itp. były resztkami, które uratowały się z pogromu. W taki właśnie sposób została zorganizowana nasza karawana, która wyruszyła z tymczasowego obozowiska nad rzeką Seti Khola. Składało się na nią kilkanaście koni i około dziesięciu tragarzy – kulisów, którzy dźwigali w koszach najbardziej precyzyjne instrumenty, których nie chcieliśmy powierzyć końskiemu grzbiotom. Była to ze wszech miar słuszną decyzją. Otóż zaraz po wyruszeniu w drogę przyszło nam minąć wioskę pełniącą rolę obozu tybetańskich uchodźców (zresztą znajduje się tam obóz do dzisiaj, mimo upływu dziesięciu lat) i wtedy konie z naszej karawany, nic sobie nie robiąc z wysiłków poganiaczy, ruszyły galopem jeden za drugim do swoich stajni, których poczuły bliskość. Pierwsze z nich zablokowały wąskie wejścia do stajni, zrzucając przy sposobności juki. Po jakimś czasie kotłowanina koni się uspokoiła, a my zdecydowaliśmy się na spędzenie pierwszej nocy na trasie naszej ekspedycji w pobliżu obozu tybetańskiego. Rankiem Wicek wraz z tybetańskimi poganiaczami zmienił system troczenia juków do drewnianych sioდეłek, co wiązało się z przepakowaniem ładunków i rezygnacji z koszy, które z takim trudem poprzednio zapakowaliśmy. Konie wyglądały na zabiedzone, a ich wzrost nie był znacznie większy od ich hipotetycznych przodków – psów. Mając później szereg kontaktów z tymi sympatycznymi zwierzętami, udało się zauważyć, że są one bardzo bliskimi krewniakami innych silnych i przyjaznych koni – huculów.

Nasza trasa wiodła przez góry, w których ścieżki wybrukowane były kamiennymi płytami, służącymi jako schody dla tragarzy używających jedynie bosych nóg w swojej pracy. Konie, chyba trochę przeciążone przez swoich właścicieli, przeżywały swo-



Genek na pastwisku z jakami
pod czołem lodowca Dhaulagiri

istą kalwarię stąpając nie podkutymi kopytami po nierównościach kamienistych ścieżek. Szukały więc lepszych rozwiązań, rozpieczętując się po dżungli, co wywoływało niejednokrotnie ich upadki i gubienie juków, czasem bezpowrotnie. Po kilku dniach tej końskiej męczarni, osiągnąwszy miasteczko Birethanti, Wicek przebadał konie, zmierzył je, sfotografował i zdecydował, że dalsza droga w ich towarzystwie byłaby zbyt uciążliwa zarówno dla zwierząt jak i dla całej ekspedycji. Tym bardziej, że droga zaczęła prowadzić przez coraz bardziej strome góry i coraz pokaźniejsze schody. Dzięki zapobiegliwości Ngodupa udało się wymienić konie na muły, tradycyjnie używane na tej trasie do przewożenia towarów, a część poganiaczy zamieniliśmy na tragarzy spieszonych. Oczywiście do tej funkcji zostali wybrani co młodszy i bardziej atletyczny zbudowani, nasz sirdar nalegał, abyśmy w tej funkcji zatrudnili również jednego ze starszych. Ten sympatyczny, stale uśmiechnięty „staruszek”, który wtedy miał 44 lata, okazał się naszym tytułowym Yeshee. Imię to wymawia się jako Jiszi i bardziej przypomina swojskiego Jerzego, czyli Jurka. Aby uniknąć nieporozumień, gdyż w wyprawie mieliśmy już jednego Jurka, Władek nazwał Yeshee»go po prostu Janem. Kiedy osiągnęliśmy wreszcie miejsce, w którym zdecydowaliśmy się rozbić obóz bazy, nasze przedsięwzięcie transportowe jakim była karawana, zostało rozwiązane, muły odprawione, a ludzie wypłaceni. Część naszej ekspedycji wybrała się w górny bieg rzeki Kali Gandaki, dochodząc do znanej z pielgrzymek miejscowości Muktinath, zabierając ze sobą najmłodszych i najsilniejszych tragarzy. Na terenie przyszłej bazy postanowiliśmy zatrudnić jednego, najwyżej dwóch pomocników. Nalegania Ngodupa zaowocowały tym, że lekarz wyprawy zgodził się dodatkowo na zatrudnienie Yeshee»go pod warunkiem, że ten się wykąpie i uporządkuje swoje ubranie. Chyba w tym miejscu trzeba zrobić uwagę, że Tybetańczycy jako lud wędrowny, zamieszkujący suchy płaskowyż, nie przesadzają ze zbytnią częstotliwością zabiegów higienicznych. Szaty noszą zaś tak długo, aż się zaczęły rozpadać ze starości i zużycia. Nasz lekarz, prawdę mówiąc żywił nadzieję, że kandydat do pozostania w obozie, odmówi spełnienia warunku pozostając przy swoich przyzwyczajeniach. Jednakże grubo się pomylił!

Jeshi – Yeshee na odpoczynku przy herbaciarni

Nasz obóz urządziliśmy w sąsiedztwie gorących źródeł wypływających na powierzchnię terasów rzeki Kali Gandaki. Wody gorące, mieszające się z wodą rzeki biorącej swój początek z lodowca tworzyły tuż przy

brzegu „baniory” wypełnione sympatycznie ciepłą wodą nadającą się nawet do dłuższych kąpiei. Tam też zniknął nasz Yeshee na taką chwilę, że zdążyliśmy o nim zapomnieć. Nie tylko się wykąpał i wyprał swoje ubogie ubranie, ale również umył swoje długie, kruczoczarne włosy, które zaplatał w misterne warkoczyki, wplatając w nie czerwone wstążeczki. Tak wyświeżony stanął przed „komisją lekarską”, która orzekła, że w takim stanie może pełnić on funkcję obozową pomocnika kucharza z gażą 10 rupii dziennie. Na terenie obozu postawiliśmy wśród innych duży harcerski namiot, w którym na letnich obozach zazwyczaj mieściło się dziesięciu harcerzy. W tym namiocie założyliśmy magazyn żywnościowy oraz sprzętowy. W kącie tego namiotu urządzili sobie legowiska nasi pracownicy: kucharz i dwaj jego pomocnicy. Prawdę powiedziawszy zatrudnianie ich nosiło raczej charakter instytucji charytatywnej niż realnej potrzeby, gdyż w czasie naszego pobytu moglibyśmy się bez ich pomocy swobodnie obejść. Życie obozowe przebiegało spokojnie i można by rzec, według jakiegoś niepisanego planu. Z rana kąpiel w ciepłych „baniarach” (lekarz dodawał do tego pewien dystans, który przepływał w lodowatej wodzie, walcząc z rwącym prądem rzeki, nad którą obozowaliśmy), śniadanie i wymarsz w grupach na pomiary terenowe. Do lekarza schodzili się mieszkańcy bliższych lub nawet dalszych okolic, aby bezpłatnie otrzymać poradę czy pomoc lekarską, a nierzadko i odpowiednie medykamenty. Tak więc po śniadaniu nasi pomocnicy nie mieli prawie nic do roboty.

Doliny, którymi przebiegają szlaki turystyczne w Nepalu, lub zamieszkują je większe skupiska ludzi, są prawie całkowicie оголоcone z drzew. Drewno tradycyjnie używane jest jako podstawowe paliwo. Wiedząc o tym i nie chcąc przykładać ręki do dalszej dewastacji środowiska, nie używaliśmy drewna, lecz przywieźliśmy ze sobą pokaźny zapas gazu w butlach turystycznych. Na szczęście terenem naszego obozu było pole kukurydzy tuż po żniwach. Zostało mnóstwo wysuszonych łodyg, które zbierał nasz pomocnik kucharza i rozpałał z nich ognisko, co pozwalało nam oszczędzić nasze zapasy gazu. Władek pełnił funkcję kierownika bazy, zajmował się całym życiem gospodarczym, więc Yeshee-Jan był pracownikiem, który jemu bezpośrednio podlegał. Rozmawiali ze sobą trochę na migi, trochę wydając onomatopeiczne dźwięki i zapewne dość dobrze się rozumieli. Jednakże większość tekstów Władka była wygłaszana po polsku i Jan stopniowo się do tego przystosowywał. Jan był o kilka lat starszy od swojego „przełożonego”, miał już dorosłych synów, z których jeden służył w jednostce wojska tybetańskiego przy armii indyjskiej.



Yeshee na odpoczynku przy herbaciarni

Pewnego ranka po przebudzeniu, wylegując się jeszcze w rozgrzanych śpiworach, usłyszeliśmy wydawane przez Władka, który również nie wychodził ze śpiwora, głośnie polecenia:

– Janie! Pa!

Odpowiedziała mu głucha cisza. A właściwie nie tyle cisza, co chichoty dobiegające z namiotu – magazynu. Nasi tybetańscy pracownicy z wielkim upodobaniem oddawali się hazardowym grom i tego ranka prawdopodobnie noc dla nich jeszcze się nie zakończyła.

– Janie! Ty taki czy owaki! Pa!

I wtedy dopiero delikatniutko, po polsku odezwał się Jan, miękko wymawiając słowo:

– Zaraz.

Wkrótce w kociołku bulgotała woda i można było wstawać, gdyż zbliżało się śniadanie. Zastanawialiśmy się nieraz jak Jan to robi, że podgrzewając wodę na ognisku z łodyg kukurydzy, mających przecież tak niską wartość kaloryczną spalania, tak szybko doprowadzał ją do wrzenia. Dopiero kiedyś któryś z nas wypatrzył, że Jan szedł z pustym kociołkiem do źródła, w którym temperatura wody przekraczała ponad 80°C. Potem wystarczyło przyniesioną wodę podgrzać na tym „niskokalorycznym” ognisku z kukurydzianych łętów o kilkanaście stopni, gdyż na wysokości, na której znajdowała się nasza baza, woda gotowała się w temperaturze niższej niż 100°C.

W czasie wolnym od obowiązków Władek i Jan zapalali sobie papieroski, a właściwie Władek częstował Jana klubowcem. Nasz Yeshee chował tłącego się papiero-

sa w dłoniach złożonych w „muszlę” i wciągał dym ze szpary utworzonej przy nasadzie kciuków. Ten sposób palenia tytoniu jest popularny w Nepalu. Pozwala on na zaciąganie się wychłodzonym dymem pomieszanym z powietrzem. Władek jednak z uporem uczył swojego przyjaciela „europejskiego” sposobu trzymania papierosa pomiędzy palcami i wciągania dymu przez ustnik.

Badania nasze dobiegły końca, przyszedł czas na zwinięcie obozu bazowego. Utworzona została nowa karawana, która miała przenieść resztę naszych zapasów i przede wszystkim sprzęt do Pokhary, gdzie przechowywaliśmy nasz samochód. Jan dołączył do innych tragarzy i ze spokojem niósł swój ładunek. Wracając do domu kupowałem pamiątki, które były coraz to większe, więc zacząłem dociągać nimi ładunek Jana. Znosił to bez żadnego sprzeciwu. Któregoś dnia zauważyliśmy, że szedł sobie jak zwykle uśmiechnięty, z rękami założonymi za grzbiet, lecz... bez bagażu! Mruczał przy tym swoje mantry i wyglądał na zupełnie zadowolonego. Obok niego szedł jakiś wieśniak, którego Jan był najął do niesienia ładunku po przerwie spędzonej w przydrożnej herbaciarni. Naszemu przyjacielowi płaciliśmy stawkę powszechnie uznaną przez sahibów, a mianowicie 12 rupii. Swojego tragarza Jan zapewne zgodził za sumę daleko niższą niż sam zarabiał.

Po załadowaniu auta, przygotowania go do powrotu i przybyciu do Pokhary, urządziliśmy pożegnalną kolację w dość ekskluzywnym, jak na owe czasy, hotelu „Mt. Annapurna”, zapraszając na nią naszego sirdara oraz... na życzenie Władka – jego przyjaciela Jana. Pomimo że mieszkańcy tamtych okolic spożywają potrawy posługując się jedynie palcami, Jan w czasie kolacji z bezpretensjonalną gracją posługiwał się sztućcami jedząc swoje danie American Chop Sueyi. Po kolacji i kawie przyszła kolej na zaciągnięcie się dymem „klubowego” (to była taka nazwa popularnego ówczesnie w Polsce papierosa), których zdawało by się niewyczerpane zapasy przywiózł ze sobą Władek. Jan poczęstowany przez niego, wetknął sobie swoim zwyczajem papierosa w złożone dłonie.

– Jan! Jak palisz? Tak cię uczyłem?

– strofował go Władek.

– Przepraszam!

odpowiedział cicho Jan, używając polszczyzny i zmiękczając wszystkie „szeliszczące” dźwięki w tym słowie. Przełożywszy papierosa pomiędzy palec wskazujący i środkowy zaciągnął się dymem z wyrazem bezgranicznej błogości na swym szczerym obliczu.

Takim na zawsze zapamiętałem Yeshee’go – Jana, tybetańskiego uchodzącego ze swej okupowanej ojczyzny, z którym szczęśliwy los mnie zetknął.

His name is Polen?

W trakcie naszej wędrowki przedsięwziętej w 25-lecie wyprawy geologicznej z 1977 roku przemierzaliśmy z moją żoną Kasią i Gienkiem – lekarzem dawnej wyprawy większą część szlaku wiodącego wzdłuż rzeki Kali Gandaki w kierunku Jomosom i dalej do przełęczy Thorong.

Naszym pierwotnym zamiarem było udanie się do bazy pod Everestem. Przyłot na polowe lotnisko w Lukli na pewno nie byłby wskazany z naszego punktu widzenia racjonalnej aklimatyzacji. Kilkudniowy marsz dolinami uniemożliwiony był przez maoistycznych rebeliantów, którzy całkowicie opanowali ten teren. Jak by tego nie wystarczyło, to jeszcze w październiku na szlaku do bazy pod Everestem nocami jest przejmująco zimno. Ponieważ wyjazd do Nepalu miał miejsce w tybetańskim Roku Konia (pod tym znakiem zodiaku urodziła się moja żona), więc podporządkowaliśmy się jej ciepłolubnym przyzwyczajeniom i przenieśliśmy naszą wędrowkę na szlak nad Kali Gandaki. Jest on częścią bardzo popularnej drogi dookoła masywu Annapurny, którą co roku przemierza wielotysięczna rzesza turystów. Czarna rzeka (tak brzmi po nepalsku jej nazwa), choć byłaby dla niej właściwa nazwa – biała z uwagi na spieniony nurt na części jej biegu, wyżłobiła przełom w głównym grzbiecie Himalajów pomiędzy masywami Dhaulagiri i Annapurny. W okolicy wioski Pairothapla przełom rzeki znajduje się w kanionie o największej w świecie deniwelacji przekraczającej 6 kilometrów. Tam też na odcinku nie większym niż 20 km spadek rzeki przekracza 1200 m.

W ciągu lat, które upłynęły od wyprawy geologicznej, wybudowano drogę kołową z Pokhary do Beni. Nasza mini wyprawa wykorzystwała to i trasę tę przebyliśmy taksówką, oszczędzając parę dni drogi. Na trasie naszego przejazdu wielokrotnie zatrzymywały nas policyjne posterunki mające chronić szosę przed atakami bojówek maoistowskich. Wydawało się, że największej podejrzeń wzbudzał nasz kierowca, który zamienił czapkę „baseballówkę” na берет włóczkowy w zielono-czerwono-żółtych, rastafariańskich kolorach. W Beni przeszliśmy pieszo przez most na rzece Mayangdi, nie przystosowany do ruchu pojazdów. Inną taksówką jechaliśmy jeszcze kilka kilometrów do wioski Galeshar, gdzie szosa nadająca się do jazdy skończyła się, ustępując wykopom świeżo budowanej drogi. Na budowie przyczółka mostowego, pilnujący go młody żołnierz, chłopczek prawie, rozpaczliwie starał się nas zawrócić z obranej drogi. Jego starania były tak dalece nieskuteczne, że wkrótce dotarliśmy do najbliższej wioski, gdzie postanowiliśmy zjeść spóźniony obiad. Usadowiliśmy się na

ganeczku zawieszonym ponad wiejską ulicą. Oczekując na zamówione dania zauważyliśmy, że do wsi wszedł oddział uzbrojonych mężczyzn w zróżnicowanym wieku. Ponieważ zatrzymali się właśnie pod nami, mogliśmy się dobrze im przyglądać. Nie byli jednolicie umundurowani, właściwie każdemu coś brakowało z munduru, przede wszystkim nie mieli butów. Na nogach mieli tenisówki lub zgoła japonki. Mieli na głowach czapeczki, jakie noszą nepalscy wieśniacy, żaden z nich nie ozdobił nakrycia głowy czerwoną gwiazdą. Natomiast ich uzbrojenie było zbyt obfite jak na stan osobowy oddziału, każdy z nich miał po dwa karabiny lub karabin i jeszcze automat sten. Mężczyźni zatrzymali się i zażądali jedzenia. Mieszkańcy wioski zdawali się być wytrąceni z równowagi. Zamówione przez nas dania otrzymaliśmy dopiero po wyjściu oddziału ze wsi. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że nieopodal Tatopani miała miejsce zwycięska potyczka maoistów z policją i wojskiem. Dodatkowa broń noszona przez napotkany oddział chyba pochodziła z rozbitego oddziału rządowego, w którym zginęło dwóch policjantów.

W Tatopani, gdzie przed laty biwakowaliśmy i prowadzili pomiary geofizyczne przez kilka tygodni, zatrzymaliśmy się teraz na dwie noce. Kilka lat przed naszym powtórny przybyciem tutaj wioskę dotknął prawdziwy kataklizm. Zbocze góry po przeciwnej stronie rzeki, zbyt obciążone wodą z deszczów monsunowych, obsunęło się do koryta Kali Gandaki i zablokowało jej bieg, utworzywszy naturalną tamę ziemną. Tatopani zostało zalane i na miejscu wsi utworzyło się malownicze jezioro śródogórskie. Po przerwaniu tamy wody spłynęły, mieszkańcy zaś przystąpili do odbudowy wioski i kąpieliska termalnego, które za niewielką opłatą udostępnia turystom miejscowy „komitet kąpieliskowy”. Dokonaliśmy z Gienkiem odnowy biologicznej ciała w mineralnej wodzie termalnej po kilkudniowym marszu. Kasia pozostała w tej kąpieliskowej miejscowości w celu dalszej „odnowy”, zaś my, w miarę szybko, dotarliśmy do Kalopani, gdzie zatrzymaliśmy się na trzy noce. Stąd urządziliśmy wycieczki, głównie w celu uzyskania aklimatyzacji, przed celem jakim było ewentualne wyjście na ponad pięćdziesięcym przelęcz Thorong. Najpierw usiłowaliśmy odnaleźć ścieżkę, którą przed laty Gienek wyszedł na przelęcz Dhaubugi. Przelęcz w grani odchodzącej od Dhaulagiri odnaleźliśmy przy pomocy lornetki, zaś na właściwą ścieżkę nie trafiliśmy, błądząc w ich płątaniu w gęstym buszu. Innym nie zrealizowanym przedsięwzięciem było dojście do czoła lodowca spływającego spod Dhaulagiri.

Rada wycytana z przewodnika Bezruchki, aby wziąć człowieka ze wsi Chatang, okazała się bezprzedmiotowa, gdyż w mię-

dzyczasie sama wieś przestała istnieć, albo została przeniesiona w inne miejsce. Ścieżka, początkowo wyraźna, wkrótce rozczłonkowała się na sieć ścieżynek wydeptanych przez pasące się tutaj jaki. W końcu jedna z nich wyprowadziła nas na potężne, skalne zerwy moreny czołowej, w których utknięliśmy nie dochodząc do celu, jakim było czoło lodowca. Wycieczki były bez wątpienia interesujące, acz nie wnoszące wiele w dzieło budowania naszej aklimatyzacji. Po dotarciu do Kalopani Kasi z tragarzem, wyruszyliśmy znów we trójkę w górę rzeki (tragarza wyplacilem i odprawiłem z powrotem).

Wędrówanie w naszym trójkowym zespole nie zawsze sprzyja równomierności marszu. Gienek, pomimo tego, że wstawał jeszcze przed świtem, o godzinie siódmej zazwyczaj jeszcze przepakowywał swój niewielki, ale za to przepaścisty plecak. Kasia wyruszyła pierwsza, by już po godzinie osiąść na pierwszym popasie. Gienek, przebierając równomiernie nogami, miał zwyczaj zatrzymywać się dopiero na miejscu następnego noclegu. Tak więc w Khabangu, gdzie zatrzymaliśmy się z Kasią na wczesny obiad, Gienek dopiero się na dobre rozruszał i chciał iść dalej. Umówiliśmy się więc, że spotkamy się w Tukuche w hoteliku, którego nazwę restauratorka, u której zatrzymaliśmy się na obiad, nagryzmoiliła na karteczce. Po dotarciu na miejsce, przy głównej ulicy, zauważyliśmy rząd hotelików znajdujących się po obu stronach jezdni. Zaglądaliśmy tu i ówdzie dopytując się o naszego kolegę. Wreszcie natrafiliśmy na taki, którego nazwa Lakshmi przypominała tę, która była napisana na świstku, jaki wziął ze sobą Gienek. Właściciel hotelu zapytany, czy zatrzymał się tutaj niewysoki, starszy pan, krótko ostrzyżony, do pasa rozebrany, odpowiedział, że istotnie zatrzymał się u niego gość z czarnym plecakiem, odpowiadający rysopisowi. Zamówił on zresztą drugi pokój dla swoich przyjaciół. Ucieszony, kazalem prowadzić się na pięterko, gdzie znajdowały się oba pokoje. W pewnym momencie, idąc przodem, gospodarz zatrzymał się, odwrócił i dla uniknięcia nieporozumienia zapytał:

– his name is POLEN?

– Yes, YES, he IS my friend!

odpowiedziałem z wyraźnym ożywieniem w głosie. Pytanie gospodarza upewniło mnie, że to właśnie Gienek dotarł był tutaj. Wędrując na szlakach trekkingowych turyści przy spotkaniu się na trasie wymieniają parę zdań i przedstawiają się nawzajem. Gienek znał zwyczaj redukcji frazy w języku niemieckim „Ich bin aus Polen” i przedstawiał się:

– ICH – Polen, wskazując na siebie.

– A ty? pytał przygodnego interlokutora.

Przy odrobinie szczęścia w Tukuche można być świadkiem obrzędów buddyźmu tybetańskiego, gdyż święta będące

okazją do rytualnych tańców, procesji itp. nie są tutaj rzadkością. Miejscowość ta jest jedną z większych wsi Thakalów, gdzie znajduje się wiele budowli sakralnych, liczne guesthousy. Kiedyś była ona główną stacją przeladunkową soli, transportowanej na południe i zboża transportowanego na północ. Na handlu, usługach transportowych i hotelarstwie Thakalowie się wzbogacili. Tutaj formowały się karawany mulów, które te towary transportowały.

Karawany mulów liczące od kilkunastu do kilkudziesięciu zwierząt jucznych, przemierzają dolinę Kali Gandaki w górę i dół do Beni do Jomosom. Ruszają w drogę o świcie, oznajmiając swoją obecność dźwiękiem dzwonek zawieszonych u ich szyi. Na przewężeniach ścieżek i na licznych mostach karawany zbijają się w stada liczące nawet po kilkaset sztuk i tylko poganiacze są w stanie rozpoznać, które zwierzęta należą do której karawany. Spotkanie z karawaną może skończyć się nieprzyjemnie dla nieuważnego turysty, szczególnie na przepaścistych ścieżkach lub na mostach, gdy ich gospodarzami są muły. Dlatego bezpieczniej jest przeczekać, aż podzwaniająca zawieszonymi dzwonekami u szyi zwierząt karawana, wzniesając tumany kurzu, pójdzie swoją drogą.

Następnym miejscem, w którym zatrzymaliśmy się była Marpha – kolejna miejscowość zamieszkała przez Thakalów z domami o płaskich dachach, na których mieszkańcy składują drewno na zimę, które tutaj nie należą do łagodnych. Marpha słynie ze swoich sadów jabłkowych i morelowych, owoce są stąd rozprowadzane po całym Nepalu. Cena ich rośnie proporcjonalnie do odległości miejsca sprzedaży od sadów. Zarówno tutaj jak i w Tukuche funkcjonują destylarnie alkoholu produkowanego z wyhodowanych tu owoców. W całym regionie zamieszkałym przez Thakalów znajdują się znaczące świątynie i inne obiekty religijne buddyzmu tybetańskiego. Z Marphy, pokonując opór silnego wiatru wiejącego z północy, w ciągu paru godzin

osiągamy Jomosom – miasto będące stolicą regionu szerzej pojętego jako Mustang. Ten obszar administracyjny obejmuje zarówno dawne królestwo Mustangu jak i tzw. Pančgaon, w którym leży m.in. Muktinath, jeden z najbardziej uświęconych przez hinduistów ośrodków religijnych. W Jomosom mieści się poczta, liceum, muzeum, hotele z licznymi restauracjami, kawiarnie internetowe, garnizon wojskowy ze szkołą jednostek górskich. Większość tych zdobywców cywilizacyjnych skupionych jest w otoczeniu lotniska, na którym lądują i odlatują we wczesnych godzinach rannych, zanim nie zacznie wiać silny wiatr, niewielkie samolotki obsługujące, ograniczony z natury rzeźczy, lotniczy ruch turystyczny.

Kasia zostaje w Jomosom, my dwaj wyruszyliśmy w kierunku przełęczy Thorong. Droga wiedzie kamienistym dnem rzeki Kali Gandaki, która w okresie pomiędzy monsunami leniwie płynie wąskimi strugami. Pośród otoczek można znaleźć skamieliny zwierząt morskich tzw. saligramy. Znalazłem tam czarno-brunatny kamień, po rozbiciu którego ukazał się wewnątrz zupełnie dorodny amonit. Kagbeni – miasteczko leżące w widłach rzek Jhong i Thak Khola (Kali Gandaki) jawiące się jako zielono-złota oaza w surowym, pustynnym krajobrazie Tybetu, pełniło rolę twierdzy ryglującej dostęp do królestwa Mustangu. Nawet współcześnie przy północnej bramie miasta znajduje się punkt kontrolny, regulujący ruch turystyczny do Mustangu Górnego. Po pokonaniu stromego brzegu rzeki wdrapaliśmy się na płaskowyż z widokiem na przełęcz w grani bocznej Himalajów. Ścieżka przez Khingar i twierdzę Jharkot doprowadza nas do Ranipauwy, gdzie zainstalowaliśmy się w hoteliku. Przed nastaniem zmroku odwiedziliśmy jeszcze kompleks świątynno-klasztorny Muktinath z licznymi wyciekami wód termalnych i występowaniem gazu ziemnego, który płonąc służy jako lampka wotywna w świątyni ku czci boga Wisznu. O świcie wyruszyliśmy w górę, osiągając po kilku godzinach kamienny schron o nazwie Thorong

Wojciech Lesław Biedrzycki urodzony 24 lutego 1940 roku we Lwowie. Związek z AGH 1974–2000; studia – AGH 1964; dr – AGH 1971; dr hab. Univerza Ljubljana, Słowenia 1975; dyscyplina: górnictwo i geologia inżynierska, geologia; kierunki i specjalności: wiertnictwo, inżynieria złożowa, eksploatacja złóż ropy i gazu, geotermia; adiunkt w Zakładzie Surowców Energetycznych AGH 1995; związany z Wydziałem Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska. Autor ponad 90 publikacji w tym 2 książek. Posiada 2 patenty. Wyróżniony Krzyżem Kawalerskim OOP, Złotym Krzyżem Zasługi, Odznakami: Zasłużony dla Górnictwa RP, Zasłużony dla Geologii Polskiej, Zasłużony dla Górnictwa Naftowego i Gazownictwa. Dyrektor Górniczy I stopnia, członek honorowy DITINA „Naftaplin”, Zagreb. Członek organizacji: Stow. Inżynierów i Techników Górnictwa Naftowego i Gazownictwa 1963; Institute of Electrical and Electronical Engineers 1973–1978; Society of Petroleum Engineers – 1991–2000; Komisja Naftowa Jugosłowiańskiej Akademii Nauk i Sztuki – 1973–1989; i innych. Organizator wypraw naukowych do Nepalu i Maroka; hobby: turystyka górską, narciarstwo wysokogórskie, fotografia. Emeryt.

La, choć od przełęczy dzieli nas jeszcze 1200 m różnicy wzniesień. Gospodarujące tutaj Tybetanki oznaczyły budynek flagą niezależnego Tybetu. W ten sposób, nie przekraczając granicy Nepalu – znaleźliśmy się w TYBECIE! Podchodzimy nadal pod górę, wąska ścieżka staje się coraz bardziej stroma, oddechy mijanych przez nas turystów są wyraźnie płytkie i przechodzą w regularne rżenie. Pomimo pozornie nieudanych prób dochodzenia do aklimatyzacji z naszej strony, nasza kondycja wygląda znacznie lepiej od spotykanych turystów. Choć do celu brakuje jeszcze kilkaset metrów w pionie, zatrzymaliśmy się na odpoczynek i kontemplowanie widoków. Gienek wspiął się jeszcze 100 lub 200 m wyżej, choć widoki stamtąd nie były lepsze.

Nie osiągnąwszy celu naszej wycieczki postanowiliśmy schodzić bez odpoczynków aż do Kagbeni, gdzie zatrzymaliśmy się na kolację i nocleg. Następnego ranka wracamy kamienistym dnem Kali Gandaki do Jomosom. Słońce już wystarczająco przygrzewa, a wiatr jeszcze nie zaczął dokuczać. Mój towarzysz, jak zazwyczaj w takich sytuacjach, jest już rozebrany do pasa i paradyje w krótkich spodenkach. Spoty-

kani pielgrzymi z Indii pozawijani w zwoje wielu warstw tekstyliów nie mogą się nadziwić, że Gienkowi nie dokucza zimno. Z Jomosom już wspólnie z Kasią kontynuujemy powrót do Pokhary. W Tatopani znowu korzystamy z kąpieliska termalnego, nie wracamy przez Beni, lecz przez Deorali i Ghandruk schodzimy do doliny rzeki Modi Khola i do Birethanti, gdzie w symboliczny sposób zamykamy pętlę naszej wędrówki. Przeszliśmy w sumie 305 km, pokonując przy tym około 10000 m różnicy wzniesień idąc do góry i drugie tyle schodząc. Z Pokhary mamy zamiar wyruszyć na spływ pontonem po rzece Seti Khola. Plany nasze musieliśmy podporządkować wydarzeniom politycznym, ponieważ pod dyktando maoistów związku zawodowe ogłosiły strajk generalny i całe życie w Nepalu zamarło. Czas ten wykorzystaliśmy na odpoczynek po trzytygodniowym trekkingu i na dokonanie zakupów końcowych, które mieliśmy ochotę poczynić dopiero w Katmandu. Po trzech dniach strajk się skończył i wyruszyliśmy na ostatni etap naszej przygody. Agencja raftingowa, w której zamówiliśmy spływ, przydzieliła nam do towarzystwa doświadczonego retmana i młodzieńkiego załoganta,

gdyż nasza trójka okazała się jedynymi postrajkowymi klientami firmy. Seti Khola jest jedną z najbezpieczniejszych rzek, na których urządzone są spływy, w dodatku jej wody są wyjątkowo ciepłe, co jest niewątpliwą zaletą przy notorycznym zalewaniu płynących przez spienione fale. Mieliśmy okazję do zapoznania się z niezaprzeczalnymi urokami poznawania Nepalu od strony rzeki: spokojem, przyjemnością przebywania w niewielkiej grupce miłośników sportu wodnego, poznawania nowego otoczenia przyrodniczego. Nasi opiekunowie z ramienia agencji nie tylko zapewнили nam bezpieczny spływ po licznych bystrzach i przemykanie się wśród wielkich głazów sterczących w nurcie rzeki, przygotowywali nam posiłki i urządzali obozowiska, traktując nas jak dzieci na kolonii zucowej. Było super! Na koniec wyekspediowali nas do Katmandu tak dokumentnie wypełnionym autobusem, że... zmuszeni byliśmy zając nieliczne wolne miejsca na dachu, które dzieliłiśmy z uczestnikami spływu innym pontonem, z którymi płynęliśmy obok siebie przez dwa dni.

✎ Wojciech Biedrzycki

Wspomnienie z praktyki studenckiej w Czechosłowacji

W czerwcu 1948 roku ukończyłem trzeci rok studiów na Wydziale Elektromechanicznym Akademii Górniczej i udało mi się uzyskać skierowanie na praktykę zagraniczną w Czechosłowacji. Z kilkunastoosobową grupą studentów AG przyjechałem w sierpniu do Pragi. Warszawa leżała w gruzach, zrujnowany był Białystok, w którym przeżywałem okupację. Wojna nie oszczędziła Budapesztu i Wiednia. Złota Praga ocalała.

Powstanie praskie, przeciwko wycofującym się wojskom niemieckim, wybuchło 5 maja 1945 roku, trzy dni przed zakończeniem wojny. Na niektórych ulicach można było zobaczyć fotografie z nazwiskami poległych uczestników powstania. W Warszawie takie upamiętnienie powstańców było niemożliwe.

Nie spodziewałem się, że zobaczę zniszczone, tak ładne miasto. Szczególnie wspaniały był widok głównej arterii Pragi – Václavské Náměstí ze zmieniającymi się wieczorem barwnymi neonowymi reklamami, oświetleniem witryn sklepowych, iluminacją gmachu Muzeum Narodowego i pomnika Św. Wacława oraz dużym ruchem samochodowym.

W Pradze grupa nasza przebywała 6 dni. Zaczęliśmy od zwiedzania miasta jadąc

otwartym autokarem. Jechaliśmy z góry ustaloną trasą, co pewien czas wysiadając, celem obejrzenia kolejnego zabytku. Pod pomnikiem Jana Husa, na Starym Mieście, zrobiono nam pamiątkową fotografię. No-

wością w tym okresie były bluzki nylonowe. Bluzkę taką posiadała koleżanka Ludmiła Luśniak, córka naszego wykładowcy geometrii wykreślnej dypl. inż. Zygmunta Luśniaka. Koledzy żartowali, że na zdjęciach



Praga – pod pomnikiem Jana Husa. W tylnym rzędzie w środku Ludmiła Luśniak, z jej prawej strony Józef Lichnowski, drugi z jej lewej strony – autor.

for. arch. KK



Karlovy Vary – pod pomnikiem jelenia. W tylnym rzędzie drugi z lewej – autor, pierwszy z prawej – Józef Lichnowski.

nylon jest przezroczysty. Ludmiła do zdjęcia nałożyła żakiet. Po ponad czterdziestu latach, gdy ją spotkałem w Stowarzyszeniu Wychowanków AGH, pani doc. dr inż. Ludmiła Luśniak-Lech śmiała się ze swoich ówczesnych obaw.

Zwiedzając w dalszych dniach Pragę, mogliśmy się przekonać, jak wiele to miasto zawdzięcza Karolowi IV – królowi czeskiemu i niemieckiemu, i cesarzowi rzymsko-niemieckiemu. Z jego inicjatywy rozszerzono granice miasta, przebudowano zamek i katedrę Św. Wita na Hradczanach, zbudowano most na Wełtawie, powstały nowe kościoły i ratusz, a w 1348 roku założony został pierwszy w środkowej Europie uniwersytet.

Nieodzwonne było naturalnie odwiedzenie słynnych piwiarni „U Fleku”, w której serwowano tylko ciemne piwo oraz „U Kalicha”. W tej ostatniej było dużo pamiątek po Jarosławie Haszku i jego dobrym wojaku Szwejku.

Atrakcją było też oglądanie zawodów lekkoatletycznych, na które przyjechało wielu czołowych sportowców z zakończonych igrzysk olimpijskich w Londynie.

Z Pragi mniejsza już grupa 8 studentów wyjechała na praktykę zawodową do Chomutowa, miasta położonego 80 km na północny-zachód od Pragi, u podnóża Rudaw. Miasto wtedy liczyło ok. 35 tys. mieszkańców. Niemcy z tego rejonu zosta-

li wysiedleni, a na ich miejsce napłynęła ludność różnych narodowości: Węgrzy, Cyganie, Słowacy, Czesi, Polacy, a nawet Włosi. Z powodu suszy w poprzednim roku, żywność była racjonowana na kartki. W Polsce w tym okresie produktów żywnościowych nie brakowało.

To tutaj właśnie w Chomutowie bracia Mannesmann, w zakładzie hutniczym swojego ojca, skonstruowali pierwszą walcarkę skośną z głowicą drążącą do walcowania tulei stalowych i opatentowali ją w 1885 roku. W 1891 roku opatentowali walcarkę pielgrzymową, przeznaczoną do pocieniania ścianek i wydłużania tulei w rurę. Oba te wynalazki umożliwiły przemysłową produkcję stalowych rur bez szwu. Walcownia w Chomutowie w dalszym ciągu wytwarza takie rury.

Zamieszkaliśmy w willi położonej na jednym z otaczających miasto wzgórz. Do walcowni jeździliśmy autobusem. Razem z moim kolegą z roku Józefem Lichnowskim pracowaliśmy blisko cztery tygodnie w dziale elektrycznym walcowni. Mieliliśmy możliwość zaznajomienia się z pracą układów elektrycznych i pomagaliśmy przy ich konserwacji i remontach. Po pracy wędrowaliśmy góorskimi szlakami Rudaw. W górach natrafialiśmy często na bunkry systemu fortyfikacji obronnych przed Niemcami,

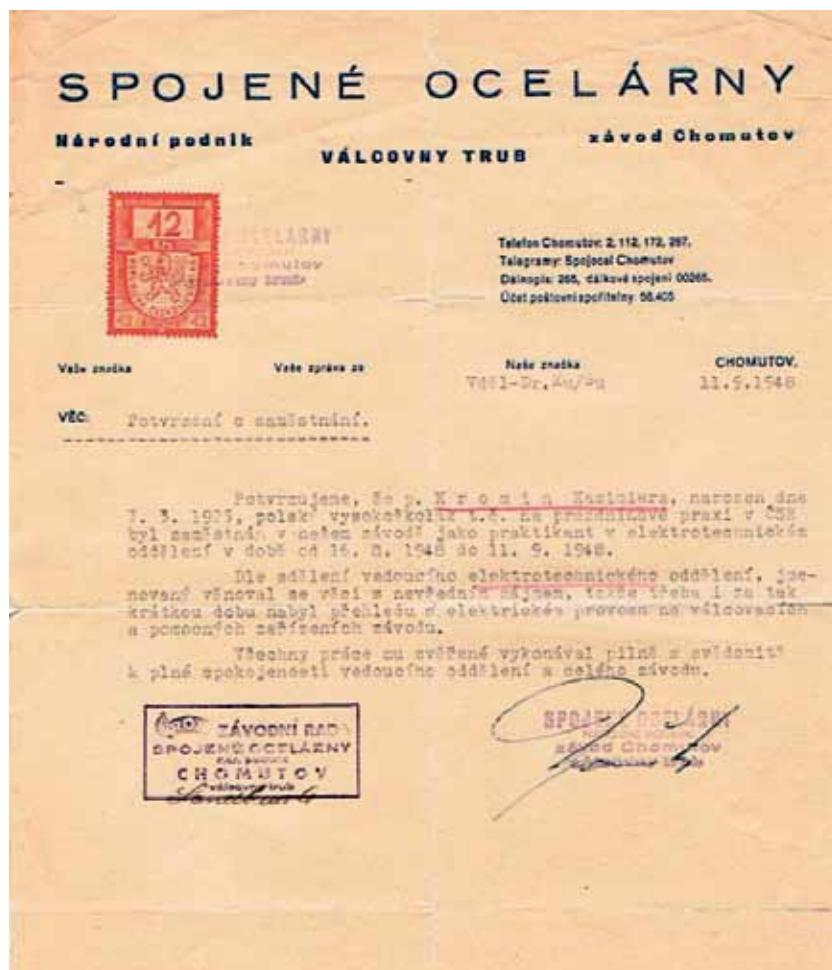
budowane przez Czechosłowację w latach 1933–1938.

Zwiedzaliśmy również inne sąsiednie miejscowości. W Karlowych Warach, tak jak wszyscy turyści, zrobiliśmy zdjęcie pod symbolem miasta – jeleniem. Na tego jelenia polował król Karol IV. Psy, które goniły rannego jelenia, wpadły do gorącego źródła i zaskowyczały. Karol IV założył w tym miejscu osadę, później w 1370 roku nadał jej prawa miejskie. Tak powstało, znane w całym świecie, uzdrowisko Karlovy Vary. Nie wiadomo tylko, dlaczego rzeźbiarz zamiast jelenia umieścił na skale kozicę.

Podróże kształcą. Nie mieliśmy wtedy takich możliwości zwiedzania świata, jak ma dzisiejsza młodzież. Po wojnie przez długie lata, granice naszego kraju były zamknięte, wyjazdy ograniczone. Nam się udało wyjechać. Miesięczny pobyt w Czechosłowacji był wspaniałą przygodą, pozostały wspomnienia.

W latach siedemdziesiątych byłem ponownie kilkakrotnie w Pradze. Z ramienia przedsiębiorstwa, w którym pracowałem załatwiałem dostawy naszych urządzeń elektrycznych. Zawsze z wielką przyjemnością wędrowałem zabytkowymi, uroczymi ulicami tego pięknego miasta.

✉ Kazimierz Kromin



Świadectwo praktyki polskiego „wysokoszkolaka”.

Krakowskie echa cieszyńskiego Pomnika Legionów

W przeciwieństwie do znanego na ogół faktu wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej Legionów z krakowskich Oleandrów w dniu 6 sierpnia 1914 roku pod przywództwem Józefa Piłsudskiego w kierunku Kielc dla wywołania powstania w Kongresówce, to wiedza o wymarszu Legionu Cieszyńskiego nazwanego później Legionem Śląskim w dniu 21 września 1914 roku pod przywództwem Hieronima Przepilińskiego, Jana Łyska oraz Feliksa Hajduka z Parku Sikory w Cieszynie na front wschodni jest wielce niewystarczająca wśród społeczeństwa polskiego. Tymczasem jest wielkim fenomenem, że znalazło się tak wielu patriotów na Śląsku Cieszyńskim po 600 latach oderwania tych prastarych ziem piastowskich od Macierzy. Legion ten, zrzeszający harcerzy w Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „SOKÓŁ” w 25-ciu sokolich gniazdach na ziemi cieszyńskiej, w tym na Zaolziu, odznaczał się wielkim patriotyzmem. Bezprzykładne męstwo tych legionistów walczących w składzie trzeciego pułku piechoty II Brygady Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego na obszarze Karpat Wschodnich, Besarabii, Wołynia oraz na Bukowinie charakteryzowało się wielką daniną krwi dla powstającej Polski po 123 latach zaborów.

Martyrologia powstańców odżywała na ogół w pamięci polskiego społeczeństwa z chwilą upamiętniania ich pod postacią pomników. W Kielcach powstaje pomnik słynnej legionowej czwórki z dedykacją „Legionom Naród” odsłonięty dopiero w 1938 roku. Natomiast w Cieszynie społeczeństwo ufundowało monument dedykowany pamięci „Legionistom Ślązakom Poległym za Polskę” znacznie wcześniej, bo już 28 października 1934 roku, tj. w 20. rocznicę wymarszu Legionu na front.

Oba pomniki łączy osoba ich twórcy Jana Raszki (1871–1945), rzeźbiarza, malarza i medaliera, również legionisty, urodzonego w Ropicy koło Cieszyna, syna najpierw odlewnika trzynieckiego, a później dróżnika kolejowego. Artysta ten po osiedleniu się w Krakowie obejmuje posadę najpierw profesora, a później dyrektora Szkoły Przemysłu Artystycznego. Jest on także autorem rzeźb figuralnych górników i hutników które umieszczono w 1938 r. przed gmachem głównym Akademii Górniczej.

A oto jak wizja artysty zakuta w brąz i granit zobrazowana została w cieszyńskim pomniku (tab. 1):

Na wysokim cokole stoi postać cieszyńskiej NIKE, popularnie zwanej Ślązaczką (ze względu na strój cieszyński), która uosa-



foto: Renata Karpińska (wzrch, AGH)

bia sobą matkę Legionistów Śląskich oraz wszystkich innych żołnierzy, którzy walczyli o polskość Śląska. Jej wzniesiona szabla w szermierczym geście obronnym zdaje się mówić: „wara wrogom od moich bohater-skich dzieci”.

U stóp pomnika artysta umieścił dwie tablice upamiętniające szarżę piechoty pod dowództwem por. Jana Łyska oraz proroczy tekst o brzmieniu: „**wysłicie na zwycięstwa zew, wy śląskiej ziemi pancerni nasz, polskiego ludu tzy i krew, wy śląska straż**”.

Na szesnastu kartuszkach zapisano złotymi literami miejsca i daty znaczących walk

Legionu Śląskiego i pokrewnych mu polskich formacji.

Dla niemieckiego okupanta była nie do przyjęcia chwala polskiego oręża, stąd monument zostaje zburzony już 1 września 1939 roku przez miejscowych „zaprzachców”. Tylko dzięki cieszyńskim harcerzom z drużyny rzemieślniczej z zachowaniem głębokiej konspiracji udaje się uratować dwie brązowe płaskorzeźby z pomnika oraz tablicę poświęconą odsieczy wiedeńskiej.

Bardzo długo społeczeństwo Cieszyna musiało czekać na odbudowę pomnika ze względu na mroki okupacji i zniewolenia so-

Tabela 1

CZOŁO (PRZÓD) COKOŁU POMNIKA:	PRAWY BOK COKOŁU POMNIKA (OD LEWEJ):	LEWY BOK COKOŁU POMNIKA (PATRZĄC OD CZOŁA):	TYŁ COKOŁU POMNIKA (LICZĄC OD LEWEJ STRONY PATRZĄC OD TYŁU):
I Kartusz Molotków 29–X–1914 Rafajłowa 24–I–1915	V Kartusz (najbliższy od czoła) Laski 23-26–X–1914 Krzywopłoty 16-19–XI–1914	VIII Kartusz (najbliższy czoła) Nadworna 24–X–1914 Pasieczna 30–X–1914	XI Kartusz Bogumin 23–I–1919
II Kartusz Rarańcza 15-16–II–1918 Kaniów 11–V–1918	VI Kartusz Łowczówek 22-25–XII–1914 Tarlów 1-2–VII–1915	IX Kartusz Zielona 2–XI–1914 Maksymiec 9-11–XII–1914	XII Kartusz Karwina 23-25–I–1919
III Kartusz Kostiuchnówka 5–XI–1915 Polska Góra 6–VII–1916	VII Kartusz Kulikowicze 18–X–1915 Kukle 22–X–1915	X Kartusz Rokitna 13–VI–1915 Rarańcza 11-17–VI–1915	XIII Kartusz Bystrzyca 24-25–I–1919
IV Kartusz Konary 16-25–V–1915 Jastków 30–VII do 3–VIII–1915			XIV Kartusz Stonawa 26–I–1919
			XV Kartusz Kończyce 26–I–1919
			XVI Kartusz Skoczów 28-30–I–1919

wieckiego. Brak było także zgody miejscowych decydentów wywodzących się spoza Śląska Cieszyńskiego.

Dopiero w 2003 roku powstaje Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika skupiający siły patriotyczne, które swym zaangażowaniem w to dzieło doprowadza do pełnej odbudowy. Wszystkim ofiarodawcom Społeczny Komitet podziękował w specjalnie wydany folderze, wśród których znalazły się cieszyńskie szkoły, Urząd Marszałkowski w Katowicach jeszcze za czasów PIS, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Kancelarię Prezydenta RP i wiele innych.

Odnotujemy tu również reminiscencje krakowskie, kiedy to redakcja „Przeglądu Odlewnictwa” – miesięcznika naukowo-technicznego wydawanego w Krakowie, podaje pomocną dłoń w odbudowie, drukując cykl publikacji pt.: *Historia Pomnikami Pisana...*¹ dzięki inicjatywie jego redaktora naczelnego, a później działowego doc. dr inż. Jana Marcinkowskiego. Czwarłą część tej publikacji stanowi apel o pomoc w odbudowie skierowany do polskich odlewników zrzeszonych w Stowarzyszeniu Technicznym STOP. Na apel odpowiada odlewnia GZUT w Gliwicach, która deklaruje i następnie wykonuje odlew „Cieszyńskiej Nike” ze szczęśliwie zachowanego przedwojennego modelu tej postaci. Również redakcja wymienionej wyżej miesięczni-

ka, zraszająca również profesorów AGH, wykupuje pewną ilość cegiełek wydanych w związku z odbudową i prowadzi bieżącą informację prasową z postępu prac nad tym dziełem. Odbudowę pomnika wspiera również Oddział Stowarzyszenia Technicznego Odlewników Polskich w Bielsku Białej, m.in. za sprawą jego honorowego prezesa inżyniera Zbigniewa Szczepanika. Odbudowę wspiera materialnie wielu wychowanków AGH.

7 czerwca 2008 roku po przezwycięzeniu niezliczonych trudności następuje uroczyste odsłonięcie pomnika, którego dokonują Danuta Bielecka – córka autora monumentu na stałe mieszkająca w Krakowie oraz Barbara Michejda-Pinno wywodząca się z rodzin legionistów. Sam akt odsłonięcia usytuowanego pod zamkiem cieszyńskim pomnika poprzedza nabożeństwo ekumeniczne w zabytkowej piastowskiej kaplicy zamkowej. Uroczystość zgromadziła dużą rzeszę uczestników, której towarzyszyły liczne przemówienia wygłoszone m.in. przez przewodniczącą Rady Miejskiej Cieszyna – Halinę Bocheńską, Przewodniczącą Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Pomnika – Zbigniewa Cichomskiego, Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – ministra Andrzeja Przewoźnika, tudzież Danutę Bielecką i Barbarę Michejdę-Pinno oraz inne osoby.

Uroczystości towarzyszyły orkiestry i chóry, w tym Jabłonkowski zespół „Gorol” – jedyny reprezentant Zaolzia w programie uroczystości poświęcenia pomnika.

Przypomniano również słowa poety Jana Łyska – legionisty, który zginął w czasie walk legionowych – „...że przez udział swój w Legionach Śląsk Cieszyński zdał egzamin wobec Polski...”.

Od momentu odsłonięcia pomnika jest on świadkiem organizowanych w mieście świąt narodowych, tak jak to miało miejsce w okresie międzywojennym.

Organizatorzy odbudowy z satysfakcją odnotowali fakt złożenia u stóp pomnika wieńca przez pierwszą osobę w państwie: Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej prof. Lecha Kaczyńskiego w następnym roku po odsłonięciu monumentu tuż przed spotkaniem z prezydentem Czech Wacławem Klaussem na moście nad Olzą, związanym z otwarciem granicy.

☞ Zbigniew Tomanek

członek Komitetu Odbudowy Pomnika w Cieszynie, wychowanek AGH

¹ *Historia Pomnikami Pisana...* cykl publikacji zawartych w „Przeglądzie Odlewnictwa” o nr: 04/1999, 07/1999, 7-8/2000 oraz 11-12/2003 autorstwa Zbigniewa Tomanka.

Terenowe Koło Grodzkie SW AGH „Czczott” w Tychach – coraz liczniejsze

Liczące aktualnie 46 członków Grodzkie Koło „Czczott” w Tychach powiększa swoje szeregi. W ostatnich dwóch latach, po kolejnych atrakcyjnych zarówno dla członków, jak i małżonek, spotkaniach i imprezach, doszły kolejne zgłoszenia. Akces przynależności do koła zgłosili między innymi:

- dr inż. Józef Lajzerowicz – górnik,
- mgr inż. Józef Michałowski – geolog,
- mgr inż. Leszek Bydłoń – mechanik,
- dr inż. Henryk Pawełczyk – górnik,
- mgr inż. Wioletta Łabanowicz – geofizyk,
- mgr inż. Teresa Pabian,
- mgr inż. Aleksander Zięba – górnik.

Wymienieni wyżej złożyli już podpisane deklaracje członkowskie oraz ankiety SW AGH i stali się członkami naszego koła.

Kim są nowi członkowie koła, będziemy prezentować w krótkich notach biograficznych, które napiszą sami zainteresowani. Będziemy je prezentować w wydawnictwie AGH Vivat Akademia. Dziś prezentujemy sylwetkę dr. inż. Józefa Lajzerowicza zamieszkałego w Kanadzie.

Józef Lajzerowicz urodził się w 1931 roku w Kaliszu. Z górnictwem zetknął się już w 1946 roku w Wałbrzychu. Rozpoczął tam edukację w Gimnazjum i Liceum Górniczym (przed II wojną światową znanej szkole sztygarów górniczych), które ukończył w 1951 roku świadectwem dojrzałości i dyplomem technika górnika. W tym samym roku rozpoczął studia w AGH na Wydziale Górniczym, które ukończył w 1956 roku dyplomem mgr. inż. górnictwa, specjalizacji Budowa Zakładów Górniczych.

Ponieważ jeszcze jako student zdradzał zdolności i zainteresowania naukowe, otrzymał zaraz po dyplomie propozycję pracy jako asystent w katedrze prof. Bolesława Krupińskiego – faktycznego twórcy nowej dziedziny wiedzy i praktycznych metod zagospodarowania nowych okręgów górni-

czych – prowadzonych w Katedrze Ekonomiki i Projektowania Zakładów Górniczych, której szefem był właśnie prof. B. Krupiński. Po obronie pracy doktorskiej w 1963 roku został adiunktem w tej katedrze. Równoległe z pracą naukową w AGH, dr inż. J. Lajzerowicz brał udział w licznych pracach i zespołach dla przemysłu. Za tę działalność w AGH otrzymał szereg nagród i wyróżnień, między innymi Państwową Nagrodę Zespołową I stopnia za opracowanie i wdrożenie praktycznych zasad naukowo-technicznych zagospodarowania okręgów górniczych, a także nagrodę Rektora AGH w 1964 roku.

W 1969 roku – nie z własnej woli – wyemigrował do Kanady. W Kanadzie przez pierwsze trzy lata zajmował się pracą naukową na Wydziale Górniczym Uniwersytetu Mc GILL w Montrealu, zaś w latach 1972–1981 pracował w Ministerstwie Górnictwa Rządu Federalnego w Ottawie i zajmował się sprawami ekonomii górnictwa i ochroną środowiska. Następnych 18 lat był Generalnym Dyrektorem ds. Rozwoju w Ministerstwie Rozwoju Terytoriów Północnych Kanady. Kierował między innymi zespołem specjalistów w celu uruchomienia upadłej kopalni Zn+Pb w Terytorium Yukon, czwartej co do wielkości w świecie o dużym znaczeniu dla ekonomii tego terytorium oraz ważnych stosunków gospodarczych z Alaską i Japonią.

Gdy odkryto w północnej Kanadzie złoża diamentów, kierował z ramienia Rządu Kanady całokształtem polityki rozwoju tej branży przemysłu w aspekcie projektowania i budowy nowych kopalń, tworzeniem prawa górniczego, ochrony środowiska, kojarzenia problematyki technicznej, prawnej, ekonomiczno-finansowej i handlowej związanych z nowopowstałą gałęzią przemysłu diamentowego. W tym okresie pracy wiele podróżował do krajów wydobywających i szlifujących diamenty. Z ramienia rządu pełnił także w latach 1983–1986 funkcję Dy-



rektora Rady Nadzorczej kopalni Nanisivik w której rząd miał 18 proc. akcji.

Z ramienia ONZ prowadził liczne seminaria z tej dziedziny przemysłu, między innymi w Chinach, Turcji, Szwecji i innych, a w Kanadzie opracował i wygłosił wiele referatów na międzynarodowych konferencjach z tej tematyki.

Za bogatą działalność w Kanadzie otrzymał wiele nagród i wyróżnień, między innymi trzy nagrody państwowe i tytuł Honorowego Obywatela | Miasta Faro w terytorium Yukon. Otrzymał także osobiste podziękowanie od premiera Kanady za ogromny udział w rozwoju kanadyjskiego górnictwa. Opracował i opublikował około 50 prac w Polsce, Kanadzie i innych krajach.

Już jako emeryt od 1999 roku pracował przez dwa lata jako konsultant w zakresie diamentów i polityki zagospodarowania górniczego Północnej Kanady.

Józef Lajzerowicz jest żonaty z panią Reginą, doktorem medycyny, mają syna Marka oraz dwoje wnucząt.

✉ **mgr inż. Jerzy Strzemppek**
Rzecznik Koła SW AGH „CZCZOTT”
w Tychach

FOTOGRAFIE Z ŻYCIA AGH
ZAPRASZAMY NA PORTAL
FOTO.AGH.EDU.PL

foto.agh.edu.pl
Baza Fotografii AGH

Wzrost: 180cm, Ciężar: 75kg, Data urodzenia: 1931-01-01, Miejsce urodzenia: Kalisz, P10

AGH
Białystok

Strona Główna

Na stanowisko Rektora AGH na kadencję 2012-2016 wybrano prof. Tadeusza Stankę

Stanisław Dyguda – wspomnienie

Kiedy odchodzą od naszego życia ludzie wspaniali
zostawiają swoje rodziny, sąsiadów, przyjaciół bliskich i tych z dali.
Obiecujemy sobie, że będziemy o nich pamiętali,
a wspomnienia żyją tak długo z jaką energią serca będziemy je pielęgnowali.

Mgr inż. Stanisław Dyguda – absolwent Wydziału Ceramiki AGH 1969 roku.

Członek Honorowy Stowarzyszenia Wychowanków Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, długoletni Członek Zarządu Głównego SW AGH i oddany działacz programu stowarzyszenia.

Urodził się 2 maja 1933 roku w Mierzynie w powiecie piotrkowskim. Przygotowanie zawodowe zdobył w Technikum Przemysłu Hutnictwa Szkła w Wołominie w 1952 roku. W tym samym roku podjął pracę w Hucie Szkła w Wyszku nad Bugiem na stanowisku hutmistrza. W latach 1957–1958 wykonywał funkcję hutmistrza w Krakowskiej Hucie Szkła. Pierwszą przygodę z naszą Alma Mater rozpoczął w 1958 roku na stanowisku asystenta technicznego – laboranta w katedrach: Fizyki Ogólnej, Ceramiki Budowlanej i Metalurgii Stali. W tym samym roku poślubił Annę Szulc, która w 1960 roku urodziła córkę Lidę.

Od 1962 roku pracował w HSO Kara w Piotrkowie Trybunalskim na stanowiskach topiarza szkła i hutmistrza. W 1964 roku uzyskał zakładowe skierowanie na studia w AGH wraz z ufundowanym przez zakład pracy stypendium. Po ukończeniu studiów powrócił do zakładu, gdzie szybko awansował na Kierownika Działu Przygotowania Produkcji, a następnie Kierownika Huty nr 1. W marcu 1975 roku rozpoczął pracę w Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów na stanowisku specjalisty technicznego, a po trzech miesiącach awansował na pierwszego asystenta dyrektora pionu inwestycyjnego. Niezależnie od bardzo wymagającego przełożonego potrafił zorganizować szereg konferencji naukowych i spotkań towarzyskich, dzięki którym doprowadził do rozpoznania najważniejszych problemów związanych z budową Bełchatowskiego Zespołu Górniczo-Energetycznego. Należał do czołowych aktywistów, którzy postanowili zespolić wysiłki na wszystkich kierunkach prowadzących do bezwzględnego wdrożenia budowy Kopalni Bełchatów. Zawsze kierował się najpiękniejszym przesłaniem zawodu górniczego jakim jest jednocześnie sił załogi w obliczu niewyobrażalnych wyzwań i trudności jakie pojawiały się w trakcie budowy Kopalni Bełchatów. Kopalniane Koło SW AGH pod jego przewodnictwem ściśle współpracowało z Kolem Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa KWBB przyczyniając się do rozwiązywania istotnych problemów dla długofalowego dzia-



for. Z. Sulima

łania na rzecz rozwoju województwa piotrkowskiego. Ze względu na stan zdrowia w 1991 roku przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Czuł się spełniony zawodowo.

Pomimo postępującej choroby nie rezygnował z działalności społecznej na rzecz stowarzyszenia. Zawsze kierował się celem utrzymywania więzi wychowanków z uczelnią, a w tym zawiązywania przyjaźni absolwentów, kultywowania tradycji obyczajowości zawodowej, ochroną i pomocą materialną dla członków i ich rodzin znajdujących się w bardzo trudnych warunkach życiowych. Pierwsze koło SW AGH zorganizował w 1968 roku w HSO Kara w Piotrkowie Trybunalskim i był jego rzecznikiem do 28 lutego 1975 roku. Po przejściu do KWB Bełchatów po dwóch miesiącach pracy, 2 maja 1975 roku zarejestrował w ZG SW AGH założone z jego inicjatywy nowe koło, którego był rzecznikiem do czasu przejścia na emeryturę.

W trakcie transformacji ustrojowej i przemian społeczno-politycznych po 1989 roku liczne grono absolwentów AGH należących do kół zakładowych zmieniało bądź traciło pracę. Rola tych kół słabła lub zanikała. Dlatego wśród wielu koleżanek i kolegów eme-

rytów, rencistów, pracujących w małych firmach i instytucjach samorządowych oraz bezrobotnych, a pragnących nadal utrzymywać bliskie więzi z AGH odnalazł się doskonałe w wiodącej roli Stanisław Dyguda. W dniu 18 września 1998 roku doprowadził do zebrania założycielskiego Koła SW AGH Piotrkowsko-Bełchatowskiego w siedzibie FSNT NOT w Piotrkowie Trybunalskim, które w klimacie pełnej aprobaty i poparcia przedstawicieli ZG SW AGH, przewodniczącego prof. Władysława Longi i sekretarza dr. inż. Zygmunta Kuliga powierzyło mu funkcję przewodniczącego. Przy wsparciu grupy założycielskiej i wybranego zarządu, koło pod jego przewodnictwem wypełniało w całej rozciągłości programy ZG SW AGH i uchwały zebrań ogólnych członków koła. Poszczególne zebrania przygotowywał bardzo starannie. Prowadził planową działalność stowarzyszeniową ze sprawnym przepływem informacji. Dawalo mu to ogromną satysfakcję i radość, że może pozostać aktywnym i działać na rzecz innych.

Był bardzo szczęśliwy. Kochał ludzi i kochał Kraków. Był urodzonym społecznikiem i organizatorem. Jeśli ktoś potrzebował pomocy – to ją dawał, jeśli ktoś miał problem

– pomagał go rozwiązać. Pamiętał także o swojej najbliższej rodzinie. Był z niej dumny. Z wielką radością opowiadał o swojej wnuczce Edycie, która urodziła mu 6 sierpnia 2011 roku prawnuka Jakuba. Z wielkim szacunkiem i patosem opowiadał im o akademii. To on pierwszy oprowadzał wnuczkę Edytę po obiektach AGH, wspominał pola, na których stoi obecne miasteczko studenckie. Wybór uczelni dla niej był oczywisty, to dziadek wpoił jej szacunek do akademii, zanim jeszcze ukończyła liceum. Podjęła studia na ówczesnym Wydziale Fizyki i Techniki Jądrowej (zmieniona obecnie nazwa na Wydział Fizyki i Informatyki Stosowanej) w AGH w 2001 roku na specjalności Fizyka Medyczna i Dozymetria (interdyscyplinarny kierunek prowadzony przy współpracy z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie).

Ta sytuacja pozwalała mu pozostać w kontakcie z uczelnią. Uczelnia dała mu doskonałą wiedzę, pracę i przyjaciół na całe swoje życie. To dzięki niej poznał i przyjaźnił się między innymi z tenorem Wiesławem Ochmanem. To z jego zespołem wybitnych artystów Renaty Dobosz i Roberta Grudnia zorganizował w dniu 19 września 2008 roku wspaniały prezent dla mieszkańców Piotrkowa Trybunalskiego i Bełchatowa, koncert w klasztorze oo. Bernardynów z okazji X-lecia Koła P-B SW AGH. Liczny udział melomanów okazał się wielką promocją uczelni i stowarzyszenia. Po koncercie w siedzibie firmy MUSI odbyło się uroczyste zebranie członków Koła SW AGH Piotrkowsko-Bełchatowskiego, na którym przedstawiciele ZG SW AGH – przewodniczący prof. Stanisław Mitkowski i sekretarz Andrzej Miga, wręczyli Stanisławowi Dygudzie dyplom Honorowego Członka Stowarzyszenia, przyznany mu przez VI Krajowy Zjazd Stowarzyszenia. W czasie wspaniałej biesiady główną postacią był mistrz Wiesław Ochman, mgr inż. ceramik, doctor honoris causa AGH, który powiedział wiele



foto: Z. Sulima

słów o swoim bliskim koledze z czasów studenckich Stanisławie Dygudzie.

Koło po podsumowaniu swojego dziesięciolecia nabrało rozmachu i przyczyniło się do znacznego rozgłosu działalności stowarzyszenia w regionie byłego województwa piotrkowskiego. Wykorzystując ruch więzi towarzyskich koło postanowiło rozwinąć swoją działalność na całym kulturowo i historycznie ukształtowanym regionie piotrkowskim przyjmując nazwę Trybunalskie. Aby lepiej powiązać aktualne potrzeby utrzymywania kontaktów absolwentów z władzami uczelni i Zarządem Głównym SW AGH, wprowadzono rozszerzoną strukturę zarządu koła wynikającą ze zmiany nazwy koła i nowych form spotkań. Przewodzenie zarządem koła powierzono nestorowi ruchu stowarzyszeniowego w regionie piotrkowsko-bełchatowskim rzecznikowi koordynatorowi Stanisławowi Dygudzie wraz z czterema rzecznikami regionalnymi: Grzegorzem Smużnym, rzecznikiem regionu centralno-północnego, Stanisławem Nowakiem, rzecznikiem regionu południowego, Andrzejem Kacperskim, rzecznikiem regionu wschodniego, Bolesławem Herudzińskim, rzecznikiem regionu zachodniego.

Inicjatywa Stanisława Dygudy i Stanisława Nowaka wyjazdowych spotkań turystyczno-kajakowych do Krzętowa i Rudki sprawiły niesamowite odczucie piękna tych okolic. Docenili to także przedstawiciele ZG SW AGH z Honorowym Przewodniczącym Stowarzyszenia prof. Kazimierzem Matlem, wiceprzewodniczącym prof. Arturem Bębnem, wiceprzewodniczącym Henrykiem Konieczko, Zastępcą Skarbnika Renatą Waclawik-Wróbel, Sekretarzem Generalnym Andrzejem Migą. Na jednym z walnych zebrań uczestników sesji wyjazdowej w dniach 21–22 sierpnia 2010 roku prof. Kazimierz Matl poinformował zebranych o wysokiej ocenie aktywności Przewodniczącego Stanisława Dygudy i całego Koła przez władze Stowarzyszenia, a prof. Artur Bęben udekorował go Medalem 90-lecia AGH.

Stanisław Dyguda mimo podeszłego wieku był pełen energii i do czasu pojawienia się oznak choroby wyniszczającej organizm prowadził aktywną działalność. Podjął walkę o zdrowie, ale ją przegrał. Zmarł 13 września 2011 roku. W dniu 16 września 2011 roku został pochowany na cmentarzu w Piotrkowie Trybunalskim. Żegnała go rodzina, liczne grono społeczności miasta Piotrkowa Trybunalskiego, Radomska, Bełchatowa wraz z orkiestrą Kopalni Bełchatów, żegnała go liczne grono koleżanek i kolegów absolwentów AGH z pocztym sztandarowym ZG SW AGH dziękując za owoce wspólnej pracy. Po tłumionym wewnątrz żalu zaczęło się rozpamiętywanie i przypomnianie jego indywidualnych dokonań, wspólnych projektów i zainteresowań. Znaczącym śladem jego obecności w życiu społecznym była praca wspierana wiedzą doświadczeniami życiowymi i talentem pozyskiwania koleżanek i kolegów do współpracy. Można było na nim polegać, bo punktualność, rzetelność i kultura osobista to cechy, które go wyróżniały. Cały czas starannie wypełniał swoje pracowite życie. Nie zapomnimy pięknych chwil spędzonych na wspólnej pracy.

✉ Bolesław Herudziński



foto: Z. Sulima

Ignacy Łukasiewicz (1822–1882)

w polskiej dokumentacji filatelistycznej

W auli Akademii Górniczo-Hutniczej, we wnęce na ścianie od strony alej znajduje się pomnik Ignacego Łukasiewicza, twórcy przemysłu naftowego, chemika i farmaceuty, wynalazcy lampy naftowej, uczonego i przedsiębiorcy, a jednocześnie działacza niepodległościowego i wielkiego społecznika (fot. 1). W „Vivat Akademia” – wydawanym wspólnie przez Rektora AGH i Stowarzyszenie Wychowanków AGH z przeznaczeniem dla tych, którym bliska jest nasza uczelnia, a więc przede wszystkim dla jej absolwentów – od czasu do czasu staram się prezentować dokumentację filatelistyczną poświęconą osobom i gałęziom przemysłu związanym z AGH. Jedną z najwybitniejszych takich postaci – obok patrona akademii Stanisława Staszica – jest moim zdaniem Ignacy Łukasiewicz. Zanim przejdę do prezentacji pamiątek filatelistycznych z nim związanych pragnę przedstawić kilka przynajmniej faktów z jego życia.

Jan Józef Ignacy Łukasiewicz urodził się 8 lub 23 marca 1822 roku w Zadzusznikach (powiat mielecki) w zubożałej rodzinie szlacheckiej herbu Łada. W latach 1832–1836 uczył się w gimnazjum w Rzeszowie, gdzie ukończył cztery klasy. Trudna sytuacja finansowa rodziny zmusza go do podjęcia pracy w aptece Antoniego Swobody w Łańcucie (1836–1840), a następnie w Rzeszowie (1840–1846). Okres ten to nie tylko praca, ale także nauka w zakresie chemii i farmacji. Wiąże się także z organizacjami demokratyczno-niepodległościowymi, w efekcie czego zostaje zarejestrowany przez władze jako politycznie podejrzany. W 1845 roku nawiązuje kontakt z Edwardem Dembowskim i zostaje zaprzysiężony jako przedstawiciel Towarzystwa Demokratycznego Polskiego na Rzeszów. Aresztowanie 19 lutego 1946 roku (wraz ze współpracownikami) uniemożliwiło wybuch w Rzeszowie powstania, razem z powstaniem krakowskim. Po wyjściu

z więzienia (27 grudnia 1947) jest pod stałą obserwacją policji i otrzymuje zakaz opuszczania Lwowa. W tej sytuacji zaprzestaje działalności konspiracyjnej. W sierpniu 1948 roku podejmuje pracę w lwowskiej aptece „Pod Złota Gwiazdą”, której właścicielem był Piotr Mikolasch. Dzięki jego protekcji otrzymuje zgodę na wyjazd do Krakowa, gdzie podejmuje studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, które kończy ostatecznie na Uniwersytecie Wiedeńskim uzyskując 30 lipca 1852 roku dyplom magistra farmacji. Po uzyskaniu dyplomu wraca do Lwowa do apteki Piotra Mikolascha i tu wspólnie z drugim pracownikiem Janem Zehem prowadzi badania nad destylacją ropy naftowej i starają się znaleźć praktyczne jej zastosowania. W ten sposób powstaje pierwsza lampa naftowa, która oświetliła wystawę apteki. Wreszcie przychodzi 31 lipca 1853 roku – uchodzący symbolicznie za dzień narodzin przemysłu naftowego. W tym dniu po raz pierwszy zastosowano oświetlenie naftowe w praktyce podczas pilnej nocnej operacji we lwowskim szpitalu na Łyczakowie. W 1854 roku Łukasiewicz przenosi się do Gorlic, aby być bliżej terenów roponośnych. Tu zakłada pierwszą kopalnię ropy naftowej w Bóbrce koło Krosna, której właścicielem jest spółka naftowa Trzeciecki – Łukasiewicz. W tym samym roku (1854) w gorlickiej dzielnicy Zawodzie na skrzyżowaniu ulic Węgierskiej i Kościuszki zapłonęła pierwsza uliczna lampa naftowa. W 1857 roku w Kłęczanach koło Nowego Sącza otwiera Łukasiewicz rafinerię produkującą naftę, smary, oleje i asfalt. W 1858 roku przenosi się do Jasła, gdzie w Rynku prowadzi aptekę. Ze zgromadzonego majątku wspomaga finansowo powstanie styczniowe, a po jego upadku pomaga uchodźcom z powstania. W 1865 roku kupuje koło Krosna wieś Chorkówkę wraz z folwarkiem Leśniówka i zakłada w Chorkówce nowoczesną rafinerię. W latach 1868–1881 inicjuje powsta-



fot. 1

fot. Z. Sulima



fot. 2



nie kilku kopalń nafty – między innymi w miejscowościach Ropianka, Wisznia, Smereczne, Ropa i Wójtowa. We wspomnianej już wcześniej Bóbrce tworzy zakład leczniczo-kąpielowy, jodowo-bromowy. W miejscowości Zręcin koło Chorkówki ufundował ze swoim wspólnikiem kościół w stylu neogotyckim. Drzemala w nim chęć wydzwignięcia ludzi z biedy. Tworzy więc miejsca pracy w swoich kopalniach, sprowadza do nich najlepsze urządzenia, które stale unowocześnia. Dzięki temu rosną zyski, a te przeznaczają np. na zakładanie Kas Brackich będących pierwszą formą ubezpieczeń na wypadek choroby górnika i jego zabezpieczenie emerytalne. Cieszy się za życia sławą dobroczyńcy regionu. Mówiono, że wszystkie drogi w Zachodniej Małopolsce brukowane były guldenami Łukaszczyka. Podejmuje walkę z lichwą i lichwiarzami oraz karczmarszami rozpijającymi społeczeństwo. W 1873 roku papież Pius IX za działalność charytatywną nadał mu tytuł Szambelana Papieskiego i odznaczył Orderem Świętego Grzegorza. W 1877 roku zorganizował we Lwowie kongres naftowy, a następnie założył w Gorlicach Krajowe Towarzystwo Naftowe. Pod koniec życia został wybrany posłem do Sejmu Galicyjskiego. Zmarł 7 stycznia 1882 roku z powodu ciężkiego zapalenia płuc i został pochowany na cmentarzu w Zręcinie.

Istnieje wiele pamiątek filatelistycznych poświęconych Ignacemu Łukaszczykowi i związanemu z nim przemysłowi naftowemu. Zaczniemy oczywiście od znaczków pocztowych. Poczta Polska poświęciła Łukaszczykowi dwie emisje. Pierwszą był znaczek o nominale 60 groszy (nr w katalogu Fischera Fi 1034) wydany 14 września 1960 roku z okazji V Naukowego Zjazdu Farmaceutycznego. Na znaczku tym przedstawiono portret uczonego na tle lampy naftowej. Znaczek ten prezentujemy (fot. 2) ostemplowany okolicznościowym datownikiem stosowanym w Upt Krosno n/W. – 13.10.1960 z okazji 100-lecia Polskiego Znacznka Poczтового. Drugą była emisja 6-ciu znaczków z okazji setnej rocznicy śmierci Ignacego Łukaszczyka. Znaczki te wprowadzono do obiegu 22 marca 1982 (Fi 2651–6) i przedstawiono na nich zabytkowe lampy naftowe. Na pierwszym znaczku z tej serii o nominale 1 zł umieszczono portret Łuka-



fot. 3

szczyka (Fi 2651). Znaczek ten prezentujemy na przesyłce poleconej ostemplowanej datownikiem okolicznościowym stosowanym w Upt Krosno 1 w dniu 10 września 1982 roku z okazji roku jubileuszowego Ignacego Łukaszczyka (fot. 3). Natomiast na fot. 4 pokazujemy trzy koperty pierwszego dnia obiegu (FDC) ze znaczkami tej serii ostemplowanymi w dniu wprowadzenia do obiegu datownikiem stosowanym w Upt Warszawa 1 – 22 marca 1982 roku o treści: 100 rocznica śmierci I. Łukaszczyka. Obok znaczków Poczta Polska wydaje także kartki i koperty z wydrukowanym znaczkiem (znakiem opłaty) – tak zwane całostki. Za pierwsze takie emisje związane z I. Łukaszczykiem można uznać pięć wydań kartek pocztowych z okresu międzywojennego, na których umieszczono ilustrację przedstawiającą kopalnie nafty w Borysławiu. Tu prezentujemy taką kartkę (nr katalogowy Cp 76 ilustracja 26) ze znakiem opłaty „Lwów – Uniwersytet” (fot. 5). Po wojnie wydano dwie całostki poświęcone bezpośrednio I. Łukaszczykowi. Pierwsza weszła do obiegu 13 października 1973 roku z okazji Roku Nauki Polskiej w ramach serii siedmiu kartek. Na jednej z nich Cp 591 ze znakiem



fot. 4

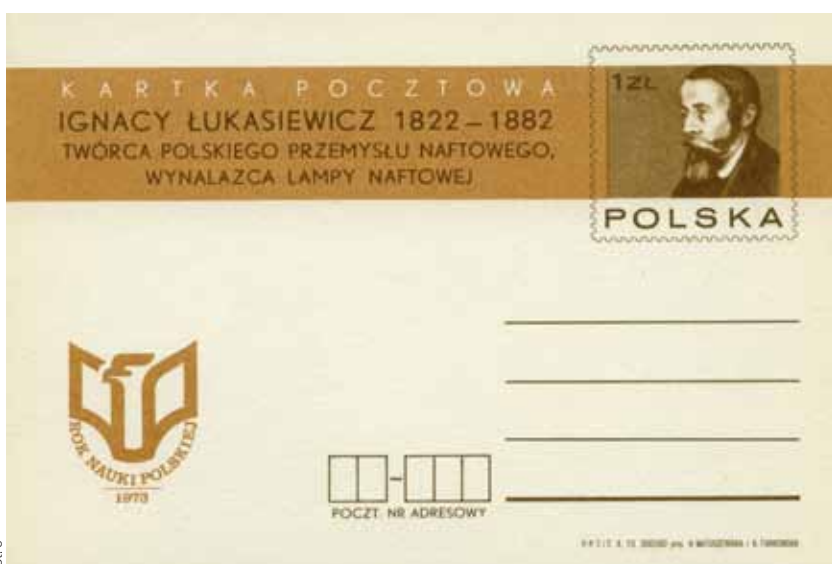




fol. 5



fol. 8



fol. 6



fol. 9



fol. 7

okazji prezentacji znaczków i kartek pocztowych – Poczta Polska stosuje także okolicznościowe datowniki w wybranych urzędach pocztowych. Pokażemy tu kilka nie prezentowanych wcześniej. Urząd pocztowy Krosno 1 stosował 8 marca 1982 roku datownik okolicznościowy o treści: 160. rocznica urodzin twórcy przemysłu naftowego / Ignacy Łukasiewicz 1822–1882 (fol. 8). Natomiast w Upt Gorlice 3 w dniu 27 października 1984 roku stosowany był datownik okolicznościowy o treści: Sto lat rafinerii nafty „Glimar” w Gorlicach (fol. 9). Poczta Polska upamiętniła także 25-lecie Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych w Płocku kartką Cp 896, którą prezentujemy z datownikiem okolicznościowym stosowanym 7 czerwca 1985 w Upt Płock 1 o treści „25 lat Petrochemii – Wystawa Filatelistyczna – Płock’85” i podobizną Ignacego Łukasiewicza (fol. 10). Na zakończenie pragnę pokazać dwie, tak zwane kartki beznominałowe, wydane przez Rejonowy Urząd Poczty w Nowym Sączu. Pierwsza z nich wydana została w 2002 roku w nakładzie 2000 sztuk (zecz. 82/2002) z okazji 150-lecia założenia pierwszej na świecie kopalni ropy w „Pustym Lesie” (fol. 11). Drugą wydano rok później w nakładzie 3000 sztuk (zecz. 58/2003) z okazji Roku Ignacego Łukasiewicza – 2003. Na ilustracji tej kartki prezentowana jest kapliczka w Gorlicach, przy której w 1854 roku zapłonęła pierwsza na świecie uliczna lampa naftowa (o czym była mowa wcześniej) (fol. 12).

W tym krótkim z konieczności opracowaniu nie przedstawiono wszystkich pamiątek poświęconych Ignacemu Łukasiewiczowi bezpośrednio, a zwłaszcza tych wiążących się z tematem pośrednio. Jest bowiem tych pamiątek bardzo dużo, a wydawane są one przez poczty niemal wszystkich krajów świata.

Jestem przekonany także, że Ignacy Łukasiewicz jest na tyle wybitną postacią, że zasługuje na obszerniejsze opracowanie, aby nie kojarzono go tylko z lampą naftową. Jest on patronem Politechniki Rzeszowskiej i jednym z wielkich prekursorów

opłaty 1 zł przedstawiono portret Łukasiewicza (fol. 6). Drugą ze znakiem opłaty 5 zł wprowadzono do obiegu 12 lipca 1984 roku (Cp 871) z okazji „130 lat pierwszej polskiej kopalni ropy naftowej w Bóbrce k.

Krosna”. Kartkę tę ostemplowaną okolicznościowym datownikiem stosowanym 28 września 1984 roku w Upt Krosno 1 z okazji 130-lecia Kopalni Nafty w Bóbrce pokazujemy na fol. 7. Jak już pokazaliśmy przy



fol. 10



fol. 11



fol. 12

święconego życia i działalności Ignacego Łukasiewicza.

✉ Stanisław Mitkowski

Bibliografia:

1. Wikipedia – encyklopedia internetowa.
2. Halina Czajkowska, *Ignacy Łukasiewicz* (Internet: polonialife.ca/polacy/polacy-swiatu/lukasiewicz-ignacy)
3. Jerzy Duda, Henryk Filipowski, *Ropa – Nafta – Gaz na znakach pocztowych*. „Fielatelist Małopolski”, nr 3–4 (76–77) 2010, s. 41–47.
4. Myślicki Andrzej, *Katalog Polskich Stempli Okolicznościowych*.
5. Fischer, *Katalog Polskich Znaków Pocztowych*, t. I i II.
6. Zbiory własne autora.

PS. Już po napisaniu powyższego tekstu otrzymałem wiadomość o „Poczcie Maziarskiej” organizowanej z okazji 190. Rocznicy Urodzin i 130. Rocznicy Śmierci Ignacego Łukasiewicza – pioniera przemysłu naftowego, ogłoszenia roku 2012 Rokiem Ignacego Łukasiewicza w powiecie gorlickim oraz otwarcia Skansenu Naftowego na Magdalenie. „Poczta Maziarska” zostanie zorganizowana w dniu 31 maja 2012 roku. Przewóz przesyłek wozem maziarskim nastąpi na trasie: Urząd Pocztowy Ropa – Zagroda Maziarska Łosie – Bielanka – Ropica Polska – Skansen Naftowy na Magdalenie – Urząd Pocztowy Gorlice 1. Do przewozu „Pocztą Maziarską” zostaną dopuszczone listy priorytetowe i ekonomiczne, krajowe i zagraniczne, nierejestrowane i polecane oraz kartki pocztowe opłacone zgodnie z obowiązującymi cennikami za usługi pocztowe w obrocie krajowym i zagranicznym. Przesyłki przeznaczone do przewozu „Pocztą Maziarską” po ich przygotowaniu, w tym prawidłowym zaadresowaniu i opłaceniu zgodnie z obowiązującymi cennikami należy przesłać/przekazać w zamkniętej kopercie w terminie do dnia 25 maja 2012 roku na adres: Urząd Pocztowy Ropa, 38-312 Ropa z dopiskiem na kopercie „Poczta Maziarska”.

Przesyłki dopuszczone do przewozu „Pocztą Maziarską” zostaną w Urzędzie Pocztowym Ropa ostemplowane datownikiem okolicznościowym z hasłem: W 190. Rocznicy urodzin Ignacego Łukasiewicza Poczta Maziarska, który prezentujemy na fot. 13, a po przewiezieniu wystane do adresatów.



fol. 13

badania prowadzonych obecnie w AGH. Sądzę więc, że Stowarzyszenie Wychowanków AGH, które wydało książki poświęcone

Stanisławowi Staszycowi i Józefowi Morzewiczowi powinno pomyśleć nad wydaniem także takiego obszernego opracowania po-

AGH STUDIA PODYDPLOMOWE

PONAD

80

SPECJALNOŚCI



AGH

AKADEMIA GÓRNICZO-HUTNICZA
im. Stanisława Staszica
w Krakowie

al. Mickiewicza 30
30-059 Kraków
pawilon C-1, pokój 112

tel.: 12 617 32 81, 617 31 57

www.podyplomowe.agh.edu.pl